# Pętla wstecznego czasu

# Siergiej Sniegow

## 1. Dysharmonia gwiezdna

1

Tego dnia, doskonale to pamiętam, lunął niezapowiedziany deszcz. Widocznie instalacje Zarządu Osi Ziemskiej uległy jakiejś drobnej awarii, bo święto Wielkiej Burzy Letniej miało się odbyć dopiero za tydzień. A tymczasem strugi ulewy łomotały o szyby, na bulwarze zaś woda sięgała zaskoczonym przechodniom do kostek. Popędziłem na werandę osiemdziesiątego piętra i z rozkoszą wystawiłem twarz na niezaprogramowany deszcz, łowiąc ustami grube krople. Oczywiście natychmiast przemokłem do suchej nitki i kiedy Mary mnie zawołała, nie odezwałem się. Wiedziałem, że się na mnie gniewa. Nigdy zresztą wybiegając na deszcz nie zakładałem płaszcza, co nieodmiennie wywoływało jej niezadowolenie. Mary nie rezygnowała:

— Eli! Eli! Zejdź na dół! Romero chce z tobą mówić.

Skwapliwie wróciłem do mieszkania. Pośrodku pokoju stał Paweł. Oczywiście nie on sam z krwi i kości, lecz tylko jego przestrzenny wizerunek, ale technika łącznościowa osiągnęła już takie wyżyny doskonałości, że przynajmniej dla mnie stereofantom niczym się na oko nie różni od żywego człowieka, któremu chciałoby się uścisnąć rękę.

— Drogi admirale! Mam złe wiadomości!

Już od co najmniej dwudziestu lat nie jestem admirałem, ale Romero nadal się tak do mnie zwraca.

— Wreszcie rozszyfrowaliśmy okoliczności, w jakich uległy zagładzie wyprawy naszych przyjaciół Allana i Leonida. Muszę pana z najwyższym ubolewaniem poinformować, iż pierwotna hipoteza o przypadkowej awarii została definitywnie obalona. Nie potwierdziło się również przypuszczenie, że Leonid i Allan popełnili jakieś błędy lub przedsięwzięli nieprzemyślane działanie. Wszystkie ich rozkazy zostały dokładnie przeanalizowane i zaaprobowane przez Wielką Maszynę Akademicką, która stwierdziła, iż działania naszych biednych przyjaciół były najlepsze z możliwych w tych straszliwych warunkach, w jakich się znaleźli.

— Chce pan powiedzieć... — zacząłem, ale Paweł nie pozwolił mi dokończyć. Był tak zdenerwowany, że zapomniał o swoich nienagannych manierach.

— Tak, właśnie to, admirale! Chociaż Allan i Leonid niczego się nie domyślali, prowadzono przeciw nim działania bojowe! Meldowali o naturalnych klęskach żywiołowych, my zaś w trakcie analizy wykryliśmy celowe wrogie działania. Opisywali niecodzienne zjawiska natury, które w gruncie rzeczy były okrutnymi ciosami podstępnego przeciwnika, konsekwentnie wznoszącego przeszkody na ich drodze. Nie było groźnych żywiołów, drogi admirale, tylko bezpardonowa wojna! Nasza pierwsza wyprawa do jądra Galaktyki zginęła na gwiezdnym polu bitwy, a nie w wyniku igraszki żywiołów — taka jest smutna prawda o losach eskadr Allana i Leonida.

Romero zawsze wyrażał się nader kwieciście. Od kiedy został wybrany do Wielkiej Rady i mianowany głównym historiografem Związku Międzygwiezdnego, ta jego zabawna cecha przybrała jeszcze na sile. Być może ludzie w starożytności rozmawiali tylko w ten sposób, ale mnie osobiście jego nazbyt wyszukany styl czasami mocno irytuje, zwłaszcza kiedy posługuje się nim dla omawiania jakichś zwykłych, powszednich spraw. Teraz jednak ów styl był zupełnie na miejscu. O zagładzie pierwszej wyprawy do jądra Galaktyki nie można było mówić inaczej. Zapytałem:

— Kiedy odbędzie się pogrzeb poległych?

— Za tydzień. Admirale, jest pan pierwszą osobą, którą poinformowano o okolicznościach zagłady wyprawy galaktycznej. Naturalnie domyśla się pan, dlaczego Rada zwróciła się najpierw do pana!

— Wręcz przeciwnie, nie mam najmniejszego pojęcia, dlaczego tak się stało!

— Wielka Rada pragnie zasięgnąć pańskiej opinii. — Romero powiedział to z takim naciskiem, jakby powierzał mi tajemnicę równie ważną jak prawda o zagładzie wyprawy. — Prosimy, aby zechciał pan zastanowić się nad tym, co panu przekazałem.

— Zastanowię się — powiedziałem, i wizerunek Romera rozpłynął się w powietrzu.

Narzuciłem płaszcz i wróciłem do wiszącego ogrodu na osiemdziesiątym piętrze.

Wkrótce zjawiła się tam również Mary. Objąłem ją ramieniem i przytuliłem. Jasny ranek zamienił się w mroczny wieczór, nie było widać ani chmur, ani drzew na bulwarze, ani nawet krzewów na werandzie sześćdziesiątego piętra. Na świecie był tylko deszcz, połyskliwy, rozgłośny, śpiewny i rozbuchany, że zatęskniłem za skrzydłami, abym mógł sam zmierzyć się w powietrzu ze strumieniami tej triumfującej wody. Lot awionetką jednak nie daje tej pełni wrażeń.

— Wiem, o czym myślisz — powiedziała Mary.

— Tak — odparłem. — Dokładnie trzydzieści lat temu również w czasie święta Burzy Letniej leciałem wśród strumieni wody, ty zaś zarzuciłaś mi, że zachowuję się w powietrzu zbyt lekkomyślnie. Zestarzeliśmy się, Mary. Teraz już bym nie zdołał utrzymać się w jądrze wyładowań elektrycznych.

Czasami wręcz przeraża mnie fakt, iż Mary o wiele lepiej ode mnie samego potrafi zanalizować moje własne odczucia i nastroje. Uśmiechnęła się ze smutkiem.

— Myślałeś o czymś zupełnie innym — powiedziała. — Żałujesz, że nie było cię w tym zakątku Wszechświata, w którym zginęli nasi przyjaciele. Wydaje ci się, że gdybyś tam był, wyprawa wróciłaby bez takich strat.

...Dyktuję ten tekst w kokonie bytu pozaczasowego. Co to znaczy wytłumaczę później. Przede mną w przezroczystym pojemniku zawieszonym w polu siłowym spoczywają nieruchomo zwłoki, obrzydliwe i niezniszczalne, zwłoki zdrajcy, który zepchnął nas w otchłań bez wyjścia. Na trójwymiarowych ekranach widnieją pejzaże niewyobrażalnego, nieprawdopodobnego świata, piekło katastrofalnego gwiezdnego wiru. Wiem ponad wszelką wątpliwość, że ten potworny świat jest mi obcy, nieludzki, wrogi nie tylko wszystkiemu co żywe lecz również wszystkiemu co rozumne. I już nie wierzę, że mój udział w wyprawie może zapobiec stratom. Odpowiadam za naszc wyprawę i świadomie prowadzę ją drogą, na której końcu najprawdopodobniej czyha zguba. Taka jest prawda. Jeśli te notatki jakimś cudem dotrą na Ziemię, niechaj ludzie dowiedzą się: wyraźnie widzę groźną prawdę i całkowicie uświadamiam sobie własną winę. Nic nie może mnie usprawiedliwić! To nie jest krzyk rozpaczy, tylko zimna konkluzja.

A owego dnia na pięknej zielonej Ziemi, na Ziemi teraz niewyobrażalnie dalekiej, wśród radosnego plusku ulewy, odpowiedziałem żonie ze smutkiem:

— Pragnę bardzo wielu rzeczy, Mary! Pragnienia zwiększają inercję, bezwładność istnienia — najpierw ciągną do przodu, a potem hamują uwiąd. W młodości i starości człowiek pragnie więcej niż może osiągnąć. Niestety, jestem za stary na moje marzenia... Teraz pozostaje nam tylko jedno, moja droga, po prostu spokojnie i w pokorze usychać. Tylko to: spokojnie usychać!

2

Na kosmodromie, gdzie lądował gwiazdolot z Perseusza, nie byłem, na uroczystości żałobne w sali Wielkiej Rady nie poszedłem, stereoekrany w moim pokoju wyłączyłem. Mary zrelacjonowała mi potem ze łzami w oczach przebieg obu uroczystości. Wysłuchałem jej w milczeniu i poszedłem do siebie.

Gdybym tak zachował się w pierwszych latach naszej znajomości żona zarzuciłaby mi brak serca, ale teraz doskonale mnie rozumiała. Na Ziemi od dawna już nie ma żadnych chorób, nawet słowo „lekarz” zniknęło ze słownika, ale stanu, w jaki popadłem po zapoznaniu się z przebiegiem wyprawy Allana i Leonida, nie można było nazwać inaczej, jak tylko chorobą. „Niełatwo jest to przeżyć” — powiedział Romero, wręczając mi kasetę z zapisem wszystkich wydarzeń poczynając od startu wyprawy z Trzeciej Planety w Układzie Perseusza i kończąc na powrocie do bazy statków z martwymi załogami. Miał rację, tego nie dało się łatwo przeżyć, to trzeba było wręcz ciężko odchorować.

Prawdopodobnie nie poszedłbym także na uroczysty pogrzeb ofiar, gdybym nie dowiedział się, że na Ziemię przyleciała Olga. Z pewnością nie wybaczyłaby mi, gdybym nie oddał ostatniej posługi jej mężowi. Należało też zobaczyć się ze starymi przyjaciółmi — Orlanem i Gigiem, Osimą i Gracjuszem, Kamaginem i Trubem, którzy przybyli wraz z Olgą na jej „Orionie”, aby uczestniczyć w uroczystym złożeniu prochów w Panteonie. Mimo wszystko jednak długo nie mogłem się zdecydować wyjść z domu. Bałem się, że nie zniosę ceremonii żałobnych. Romero uprzedził mnie, że powinienem wygłosić mowę, a cóż ja mogłem powiedzieć poza tym, że polegli byli mężnymi pionierami Kosmosu, i że bardzo ich kochałem?

W Sali Ceremonii Żałobnych Panteonu zebrali się krewni i przyjaciele poległych. Olga rozpłakała się i oparła głowę na mym ramieniu, a ja ze współczuciem gładziłem jej siwe włosy. Ona najdłużej z nas wszystkich opierała się niszczącemu wpływowi czasu, ale nieszczęście kompletnie ją załamało. Z trudem, żeby tylko coś powiedzieć, wymamrotałem:

— Olu, mogłabyś wybrać jakiś inny kolor włosów, to przecież takie proste.

Nadal wszystko brała dosłownie. Teraz też potraktowała moje słowa poważnie i uśmiechnęła się z takim smutkiem, że omal się nie rozpłakałem.

— Leonidowi podobałam się taka, jaka jestem, a poza nim nie mam się dla kogo upiększać.

Wraz z Olgą przyszła na pogrzeb Irena, jej córka. Nie widziałem Ireny co najmniej piętnaście lat i zapamiętałem ją z tamtych czasów jako rozkapryszoną, nieładną dziewczynkę, podobną jak dwie krople wody do Leonida i z jego charakterem. Dawniej często się dziwiłem, że Irena tak mało wzięła od matki rozsądku, spokoju, jej umiejętności przenikania do sedna każdej tajemnicy i niezłomnej woli ukrytej pod pozorami miękkości, dobrego wychowania i nieudawanej życzliwości dla wszystkich. A w Panteonie ujrzałem kobietę smukłą i smagłą, porywczą, mówiącą szybko i zdecydowanie, o energicznych ruchach i tak ogromnych czarnych oczach, że trudno było od nich oderwać wzrok. Irena wydała mi się jeszcze bardziej podobna do Leonida niż dawniej, przy czym nie było to podobieństwo czysto zewnętrzne. Dzisiaj, kiedy trudno już cokolwiek naprawić, widzę jak bardzo myliłem się co do charakteru Ireny. W długim łańcuchu przyczyn, które doprowadziły do dzisiejszego nieszczęścia, również i ta moja pomyłka odegrała swoją rolę.

Objąłem dziewczynę przyjaźnie i powiedziałem:

— Bardzo kochałem twojego ojca, drogie dziecko. Odsunęła się ode mnie gwałtownym gestem, błysnąwszy przy tym oczami. Zbanalizowane do szczętu wyrażenie „błysnąć oczami” w tym wypadku jest jedynie odpowiednie, gdyż po prostu nie mogę wyrazić się inaczej. Błysnęła więc oczami i odpowiedziała z wrogością, która mnie zdumiała:

— Ja też kochałam swojego ojca, ale już nie jestem dzieckiem, Eli.

Powinienem był zastanowić się nad sensem jej słów, a zwłaszcza nad tonem i wówczas wiele spraw potoczyłoby się inaczej. Ale akurat wtedy podeszli do nas Lusin i Trub, więc nie miałem już czasu na analizowanie zachowania się jakiejś postrzelonej dziewczyny. Lusin ze łzami w oczach uścisnął mi rękę, a stary anioł mocno objął mnie czarnymi skrzydłami. Leki na nieśmiertelność, tak energicznie propagowane przez Galaktów, równie mało pomagają moim przyjaciołom, jak i mnie. Lusin wyglądał znakomicie, bo w jego szczupłym ciele więcej było ścięgien i kości niż mięsa, a tacy ludzie długo się nie starzeją. A Trub bardzo się posunął. Nigdy jednak nie przypuszczałem, że można się tak pięknie zestarzeć, tak, proszę mi wybaczyć ten zbyt może kwiecisty zwrot, cudownie zwiędnąć. Ze wzruszeniem mówię o tym cudownym więdnięciu i z bólem w sercu przypominam sobie poległego Truba takim, jakim ujrzałem go na żałobnej ceremonii — ogromnego, czarnoskrzydłego, z bujną, całkowicie posiwiałą czupryną i gęstymi też zupełnie siwymi bokobrodami...

— Nieszczęście! — powiedział głucho Lusin. — Cóż to za nieszczęście, Eli!

— Dokoła byli wrogowie! — ryknął Trub. — Allan i Leonid analizowali naukowo zagadkowe zjawiska przyrodnicze, kiedy trzeba było walczyć! Ty byś walczył, Eli, jestem tego pewien! Szkoda, że mnie tam nie było! Ja też bym potrafił skorzystać z doświadczeń wyniesionych z bitew na Trzeciej Planecie!

Zbliżył się do nas Gracjusz z Orlanem. Kiedy pojawiają się obaj na planetach zamieszkałych przez ludzi, wówczas chodzą tylko razem. Jest w tym jakaś wzruszająca w swej naiwności demonstracja — Galakt i Niszczyciel zdają się przekonywać każdego, że okrutna nienawiść od wielu milionów lat dzieląca ich narody teraz zamieniła się w gorącą przyjaźń. Po dawnemu nazwałem Orlana Niszczycielem, chociaż teraz nadano im miano „Demiurgów”, z którego są niezmiernie dumni, bowiem oznacza ono coś w rodzaju mechanika lub budowniczego, w każdym razie twórcy, nie zaś niszczyciela. Nowa nazwa dość dokładnie oddaje rolę byłych Niszczycieli w naszym Związku Gwiezdnym, ale nie sądzę, aby ostentacyjnie demonstrowana przyjaźń łatwo przychodziła Orlanowi i Gracjuszowi, zwłaszcza temu ostatniemu. Astropsycholodzy utrzymują, że podobnie jak ludziom, nie da się zaszczepić zamiłowania do brzydkich zapachów i brzydkich postępków, tak samo Galaktów nie można skłonić do tolerowania sztucznych narządów i tkanek, a Demiurgowie zmienili tylko nazwę, nie zaś strukturę ciała, w którym pełno jest sztucznych tkanek i narządów.

— Witaj Eli, mój stary przyjacielu i preceptorze! — rzekł uroczystym tonem Galakt, ludzkim zwyczajem wyciągając do mnie rękę. Moje drobne palce zniknęły w jego gigantycznej dłoni jak w ogromnej muszli.

Wymamrotałem jakąś stosowną odpowiedź. Nie przyszło mi to łatwo, bo kwiecistością mowy Galaktowie nawet Romera potrafią zapędzić w kozi róg. Orlan ograniczył się do tego, że powitalnie rozpromienił swą niebieskawą twarz, uniósł wysoko głowę i z głośnym trzaskiem wbił ją w ramiona. Weszliśmy razem na salę.

Po zakończeniu ceremonii, której nie będę tu opisy wał, by nie przywoływać raz jeszcze bolesnych dla mnie wspomnień, zamierzałem jak najszybciej udać się do domu, ale zatrzymał mnie Romero, który podszedł do mnie w towarzystwie Olega. Romero powiedział:

— Drogi admirale, mam obowiązek poinformować pana, iż Wielka Rada postanowiła zorganizować drugą wyprawę do jądra Galaktyki i na stanowisko dowódcy eskadry gwiazdolotów powołała kapitana Olega Szerstiuka, naszego wspólnego przyjaciela.

Oleg, nie dopuszczając mnie do głosu, pospiesznie dodał:

— Zgodziłem się objąć dowództwo jedynie pod warunkiem, że pan, Eli, również weźmie udział w wyprawie! Powinienem równie kategorycznie odmówić, jak już to wielokrotnie czyniłem w odpowiedzi na propozycje dowodzenia wyprawami gwiezdnymi lub brania w nich czynnego udziału. Po wyzwoleniu Perseusza, po tragicznej śmierci Astra na trzeciej Planecie, Mary i ja straciliśmy zapał do dalekich podróży. Wróciliśmy na zieloną pramatkę Ziemię, aby nigdy już jej nie opuszczać. Tak postanowiliśmy dwadzieścia lat temu i do tej pory nigdy temu postanowieniu się nie sprzeniewierzyliśmy.

Teraz jednak nieoczekiwanie dla siebie samego odparłem:

— Zgoda. Przyjdźcie do mnie wieczorem. Naradzimy się.

3

Mary chciała wracać do domu pieszo. Dzień był pochmurny, po niebie pędziły ciemne obłoki. Na Bulwarze Okrężnym wiatr unosił w powietrze opadłe liście. Z rozkoszą wdychałem zimne, jesienne już powietrze, powoli dochodząc do siebie po przeżytym wstrząsie. Mary powiedziała cicho:

— Jakaż piękna jest nasza stara Ziemia! Czy ujrzymy ją jeszcze kiedykolwiek, czy też na zawsze zagubimy się w gwiezdnych przestworzach?

— Możesz zostać w domu — zaproponowałem ostrożnie.

— Naturalnie! — odrzekła z lekką ironią. — Ale czy ty zdołasz beze mnie polecieć?

— Nie, Mary, nie potrafię — wyznałem uczciwie. — Być bez ciebie, to niemal być bez siebie samego. Taki już mój los, że w pojedynkę jestem tylko połową całości. A to nie jest najprzyjemniejsze uczucie...

— Mógłbyś przynajmniej dzisiaj obyć się bez wątpliwych dowcipów! — skarciła mnie żona.

Przez dłuższą chwilę szliśmy w milczeniu, a ja zerkałem na nią z niepokojem. Od tylu już lat jesteśmy razem i mimo wszystko nadal lękam się zmiennych nastrojów Mary: Wreszcie mars na jej czole ustąpił miejsca wyrazowi rozmarzenia. Zapytała:

— Wiesz, o czym myślę?

— Oczywiście, że nie.

— Przypomniał mi się wiersz pewnego starożytnego poety — powiedziała i zadeklamowała coś o krążących na wietrze liściach, śmierci i tajemnicach bytu.

Zgodziłem się z nią, że wiele w tej poezji kojarzy się z obecną chwilą, zwłaszcza owe krążące liście. Ale tajemnice bytu?

— Jak ty to wszystko potrafisz sprymitywizować! oburzyła się na mnie i znów zamilkła.

Aby przerwać wreszcie milczenie, zapytałem ją, co sądzi o przyczynach katastrofy wyprawy Allana.

— W każdym razie zdecydowanie nie zgadzam się z teorią, którą lansuje Paweł — odparła lekceważąco. Mężczyźni zawsze szukają w każdej zagadce czyjejś złej woli. Tyle w was wojowniczości, że gotowi jesteście uwierzyć, że to sama natura toczy z wami ciągłą walkę i marzy tylko o tym, aby rzucić was na kolana. Przypisywanie naturze własnych wad jest łatwe i niesłychanie wygodne, ale z pewnością nie najsłuszniejsze!

— Za wojowniczość mężczyzn ponoszą winę kobiety, bo to one właśnie wydaj ą nas takimi na świat — postarałem się obrócić sprawę w żart. — Mówiąc jednak poważnie, nie obaliłaś żadnego z argumentów Romera.

— Nie muszę niczego obalać — odparła swym zwykłym ostrym tonem — bo znalazłam w raporcie jedynie opis niezrozumiałych faktów i nieudolne próby ich interpretacji.

Jej słowa wywarły na mnie większe wrażenie niż owego dnia skłonny byłem to przyznać.

Wieczorem nasz salonik wypełnił się po brzegi. Olga, Romero, Orlan i Lusin zajęli fotele, zaś Trub i Gracjusz z trudem usadowili się na kanapach: aniołowi przeszkadzały skrzydła, zaś trzymetrowy Galakt bał się ruszyć z miejsca, żeby nie uderzyć głową w sufit. Romero swoim kwiecistym stylem opisał wrażenie, jakie na Wielkiej Radzie wywarł raport o przyczynach zagłady pierwszej wyprawy do jądra Galaktyki. Oświadczył również, że kolejna wyprawa ma na celu wykrycie nieznanego przeciwnika czy przeciwników i zbadanie możliwości pokojowego współżycia z nimi. Dlatego też Wielka Rada przeznaczyła wszystkie swe zasoby na wyposażenie drugiej wyprawy galaktycznej.

— Czekam teraz na pańskie pytania i zastrzeżenia, admirale — zakończył Paweł.

Miałem tylko jedną wątpliwość: pierwsza wyprawa nie zdołała odnaleźć Ramirów, na poszukiwanie których wyruszyła. Drapieżne planety ścigające nasze statki zostały przez Allana nazwane żywymi istotami, ale niezbite dowody na to, że rzeczywiście są to istoty żywe, a nie igraszka martwej natury, nie istnieją. Rejon „słońc pyłowych”, na peryferiach którego zginęła wyprawa, jest zdaniem Allana siedliskiem rozwiniętej cywilizacji, ale żadnego jej przedstawiciela nie spotkano, zatem istnienie owej cywilizacji pozostaje jedynie hipotezą. Próby przedarcia się do jądra napotkały na aktywne przeszkody, ale co z tego wynika? Przeciwdziałanie mogło mieć naturę czysto fizyczną, choć na razie nam nieznaną, bo przecież nikt nie odważy się twierdzić, że znamy już wszystkie prawa rządzące Wszechświatem.

Paweł chciał mi odpowiedzieć, ale ja zwróciłem się do Olega:

— Dowodzisz drugą eskadrą. Co sądzisz o moich wątpliwościach?

— Że można je rozstrzygnąć — odparł powściągliwie — tylko w jeden jedyny sposób: należy znów polecieć w kierunku jądra Galaktyki i na miejscu sprawdzić, co przeszkadza w przedarciu się do jej wnętrza.

— Twoja odpowiedź w pełni mnie zadowala — powiedziałem, patrząc z przyjemnością na syna Andre, który odziedziczył po ojcu nie tylko odwagę i charakter, lecz także urodę. — A teraz powiedzcie mi, na jakim etapie są przygotowania do wyprawy.

Romero wyjaśnił, że prace przygotowawcze prowadzone są na znanej nam wszystkim Trzeciej Planecie Perseusza, i że kieruje nimi Andre wraz z Demiurgiem Ellonem. Na gwiazdolotach poza anihilatorami Taniewa instaluje się również broń biologiczną Galaktów oraz mechanizmy zmieniające rozmiary statków wraz z całą ich zawartością. Najważniejszymi jednak nowymi instalacjami są urządzenia szybko zmieniające metrykę przestrzeni wokół gwiazdolotu. Dzięki temu każdy statek upodobni się do małej Trzeciej Planety, zdolnej do wytwarzania wokół siebie dowolnego zakrzywienia przestrzeni. Gdyby eskadra Allana była wyposażona w mechanizm ślimaka grawitacyjnego, mogłaby uniknąć wielu nieszczęść. Konstrukcję generatorów metryki opracowuje grupa kierowana przez Ellom.

— Ellon... Nic o nim nie słyszałem. Znasz go, Orlanie?

— To ja zaproponowałem jego kandydaturę oświadczył z dumą Orlan. — W Perseuszu nie ma Demiurga, który dorównywałby mu pod względem zdolności konstruktorskich.

Zauważyłem, że Gracjusz z zatroskaniem pokręcił głową.

— Pozostaje jeszcze jedna kwestia — ciągnąłem. — W jakim charakterze, zdaniem Wielkiej Rady, mam uczestniczyć w wyprawie? Czyli, że użyję starożytnych terminów, jakie stanowisko mi się proponuje?

— Będzie pan duszą i sumieniem wyprawy, Eli powiedział Oleg.

— Trudno wyobrazić sobie dobrze zorganizowaną wyprawę, w której dusza i sumienie byłaby oderwana od pozostałych jej uczestników.

Mówiłem poważnie, ale moje słowa wywołały śmiech. Gdy ucichły, Romero powiedział:

— Skoro zależy panu na terminach określających tak zwane stanowisko, to nazwijmy je kierownictwem naukowym. Używano niegdyś i takiego określenia, drogi admirale.

— Pan też zamierza uczestniczyć w wyprawie?

— Sądzę, że Wielka Rada pozwoli mi opuścić na pewien czas Ziemię.

Po zakończeniu narady przysiadłem się do Galakta:

— Kiedy Orlan chwalił Ellom, westchnąłeś Gracjuszu. Dlaczego? Czyżbyś się nie zgadzał z jego oceną?

Gracjusz uśmiechnął się promiennie. Galaktowie tak lubią się uśmiechać, że rozpromieniają się z byle powodu.

— Nie, Eli, mój przyjaciel, Demiurg Orlan całkiem słusznie scharakteryzował Ellom jako geniusza inżynierskiego. Ale widzisz, Eli... — Zająknął się, choć nie zmienił promiennego wyrazu twarzy. — Znasz przecież nasz stosunek do sztucznych tkanek... W organizmie Ellona stopień sztuczności jest o wiele, wiele wyższy niż u pozostałych Demiurgów; obawiam się, że i jego mózg zawiera sztuczne elementy, chociaż Orlan zdecydowanie temu zaprzecza...

Teraz ja się uśmiechnąłem, ale po człowieczemu, ironicznie. Niechęć Galaktów do sztucznych narządów zawsze wydawała mi się zabawnym dziwactwem, puściłem więc zastrzeżenia Gracjusza mimo uszu. Wszyscy ludzie popełniają błędy, mnie zaś zdarzało się to chyba o wiele częściej niż innym. I wiele moich błędów czy pomyłek, tak na pierwszy rzut oka niewinnych, miało niestety tragiczne wręcz następstwa.

4

Jak okropnie zmienił się Andre! Olga uprzedzała mnie, że mogę go nie poznać, a ja się tylko śmiałem. Nie wyobrażałem sobie sytuacji, w której nie poznałbym swego najbliższego przyjaciela! I naturalnie poznałem Andre natychmiast, gdy tylko „Orion” zawisł nad lądowiskiem Trzeciej Planety i Andre wpadł jak burza przez rozwarte na oścież wrota statku. Byłem jednak wstrząśnięty. Pozostawiłem Andre w Perseuszu jako schorowanego, na wpół jeszcze szalonego, ale w miarę energicznego mężczyznę w średnim wieku, a teraz w moje objęcia padł rozdygotany, nerwowy, pomarszczony, siwy jak gołąbek staruszek.

— Tak, tak, Eli! — wykrzyknął z nerwowym śmieszkiem Andre, widząc moje poruszenie. — Obcując bezpośrednio z nieśmiertelnymi Galaktami nie wiedzieć czemu szczególnie szybko się starzejemy. Zresztą winna jest raczej piekielna grawitacja tej planetki, a ciągłe zwijanie i rozwijanie przestrzeni też pewnie nie sprzyja harmonijnemu metabolizmowi. Pamiętasz Włóczęgę? Ten potężny mózg, który nie wiadomo czemu zapragnął wcielić się w postać figlarnego smoka?

— Mam nadzieję, że dobrze się miewa?

— Żyje, ale za smoczycami już od dawna się nie ugania. Jego intelekt zresztą na tym nie ucierpiał. Opuściliśmy pokład „Oriona” i wylądowaliśmy na planecie. Nie opisuję naszej podróży do Układu Perseusza, bo wrażenia z tego rejsu nie mają żadnego znaczenia dla przyszłych wydarzeń. Wspomnę jedynie, że Oleg zatrzymał się na Ziemi, żeby skompletować załogi statków i zamierzał przybyć na Trzecią Planetę następnym rejsem. Nie będę również opisywał wszystkich spotkań na tym globie, gdyż były one interesujące jedynie dla Mary i dla mnie. Zrelacjonuję tylko jedno wrażenie spośród tych, które nie wywarły wpływu na dalszy bieg wydarzeń. Mówię o wrażeniu, jakie sprawia obecny krajobraz Trzeciej Planety.

Lecieliśmy z Mary nad jej powierzchnią w zwyczajnej awionetce, takiej samej, jakich używamy powszechnie na Ziemi. Zapamiętaliśmy na zawsze straszliwy obraz groźnej kosmicznej twierdzy Niszczycieli — naga ołowiana powierzchnia z rozrzuconymi po niej złotymi głazami. Teraz nie było ołowiu ani złota i wszędzie jak okiem sięgnąć rozpościerały się błękitnawe lasy, połyskiwały jeziorka i rzeki.

— Chciałabym tu wylądować — Mary wskazała samotny wzgórek, którego nagi szczyt na razie oparł się zwycięskiemu pochodowi roślinności.

Wysiedliśmy z awionetki i po raz pierwszy poczuliśmy, że znajdujemy się na dawnej planecie. Ekrany grawitacyjne pojazdu osłaniały nas przed jej straszliwym ciążeniem, które zresztą w okolicach Stacji niewiele różniło się od ziemskiego, a tutaj dosłownie przycisnęło nas do gruntu. W głowie mi zaszumiało, zachwiałem się i byłbym upadł, gdyby nie podtrzymała mnie Mary, która łatwiej poradziła sobie z przeciążeniem.

— Teraz już nie zdołałbym odbyć drogi od miejsca lądowania do Stacji — wyznałem, próbując się uśmiechnąć.

— Poznajesz to miejsce, Eli?

— Nie.

— U podnóża tego pagórka umarł nasz syn...

Przeszłość ożyła w mojej pamięci. Popatrzyłem z obawą na żonę. Uśmiechnęła się do mnie. Zdumiał mnie ten uśmiech, tak wiele w nim było spokojnej radości. Powiedziałem ostrożnie:

— Tak, to było właśnie tutaj... Ale czy nie powinniśmy stąd odejść?

— Tak wiele razy widziałam w myślach to złote wzgórze i martwą pustynię wokół niego — powiedziała. I zawsze wspominałam, jak Aster bardzo marzył o tym, żeby ta metalowa martwota zapulsowała życiem. Pamiętasz, jak nazywał się siewcą życia? Na niklowej planecie ten siew nie był trudny, gdyż panuje tam niska grawitacja, ale i tutaj udało się zaszczepić życie metalowi. Chciałam zobaczyć, jak czują się tutaj nasze nowe rośliny wyhodowane umyślnie dla światów o wysokim ciążeniu.

— To właśnie te rośliny, nad którymi pracowaliście w Instytucie Astrobotaniki?

— Nad którymi pracowałam wyłącznie ja, Eli! Wyhodowałam je specjalnie dla Trzeciej Planety, to jest mój pomnik wystawiony synowi. Aster byłby zadowolony, że jego marzenie się spełniło. A teraz wróćmy na Stację.

Dwa inne wydarzenia, o których wspomnę, są bezpośrednio związane z losami wyprawy.

Wśród witających nie było Włóczęgi, więc Lusin natychmiast pobiegł go szukać. Nic dziwnego, gdyż to właśnie Lusin był w jakiejś mierze twórcą tej niecodziennej istoty i pysznił się nią bardziej niż którymkolwiek ze swych innych tworów. Włóczęga, jak się okazało, niedomagał i żadne leki już nie skutkowały. Lusin po powrocie od niego powiedział ze smutkiem, że Włóczęga przy całej swej nieczłowieczej postaci jest zbyt ludzki, aby można było mu zaszczepić nieśmiertelność lub chociażby prawdziwą tężyznę.

— Bardzo chce zobaczyć. Ciebie — dodał swym telegraficznym stylem, więc następnego ranka poszliśmy odwiedzić smoka.

Włóczęga na oko niemal się nie zmienił. Latające smoki nie chudną i nie tyją, nie odbarwiają się i nie siwieją. Włóczęga był więc niemal taki sam, jak w chwili naszego rozstania — jaskrawo ubarwiony, potężny i skrzydlaty. Ale już nie latał. Na nasz widok wysunął się ze swej jamy i z wysiłkiem popełznął naprzeciw. Smok z latającego przekształcił się w pełzającego. Ponadto prawie już nie zionął ogniem. To nie ironia, tylko smutne stwierdzenie faktu.

— Witam przybysza! — usłyszałem niemal zapomniany, sepleniący głos. — Cieszę się, że cię widzę, admirale! Usiądź mi na grzbiecie, Eli.

Przysiadłem mu na łapie i żartobliwie trąciłem nogą pancerny bok:

— Jeszcze jesteś mocny, Włóczęgo, chociaż pewnie już młodej smoczycy nie dopędzisz.

— Nalatałem się już, nabiegałem i naszalałem, ale niczego nie żałuję, Eli. Żyłem jak król i zaznałem wszystkich rozkoszy, jakie dać może istnienie w żywym ciele. Ale tak to już jest, że im większa radość, tym krócej trwa. Niedługo przyjdzie mi umierać, ale możesz być pewien, że nie zadrżę, kiedy nadejdzie czas pożegnać się z życiem.

— Daj spokój! — przerwałem mu, huśtając się na jego muskularnej łapie. — Na Ziemi opracowano nowe metody stymulowania organizmu. Wypróbujemy je na tobie i z pewnością jeszcze sobie pohulasz nad tą planetką ze mną na grzbiecie. Tylko obiecaj, że nie zrzucisz mnie na ziemię, jak to ci się już raz zdarzyło!

Popatrzył na mnie ironicznie swymi wypukłymi, bursztynowymi ślepiami i nic nie odpowiedział. Wróciłem do siebie zdenerwowany, smutny i pełen poczucia winy. Włóczęga w swoim poprzednim wcieleniu jako marzycielski mózg mógł żyć dziesięciokrotnie dłużej niż ktokolwiek z nas. Ja obdarzyłem go ciałem, ale radości cielesnego bytu są przelotne i kończą się nieuchronną śmiercią. Dlatego też poniewczasie zacząłem się zastanawiać, czy postąpiłem słusznie.

Drugim ważnym wydarzeniem było spotkanie z Ellonem.

Odwiedziliśmy jego pracownię w szóstkę: Mary, Olga, Irena, Andre, Orlan i ja. Przed laty niejednokrotnie schodziłem do wnętrza planety, zanurzałem się w gąszcz jej tytanicznych mechanizmów, ale nigdy nie zapuszczałem się tak głęboko. Andre mówił, że trzeba pokonać windą zaledwie trzysta kilometrów, ale mógłbym przysiąc, że opadaliśmy co najmniej na tysiąc. W ogromnej i jasnej, jakby rozsłonecznionej sali powitał nas Ellon.

Powinienem go opisać takim, jakim go ciągle jeszcze widzę, ale nie potrafię. Powiem zatem tylko jedno: jeśli kiedykolwiek w życiu zetknąłem się z istotą w pełnym tego słowa znaczeniu niezwykłą, to istota ta nosiła imię Ellon!

— Ellonie, ludzie przyszli zapoznać się z twymi dokonaniami — powiedział Orlan tonem dziwnie nieśmiałym i niepewnym, zupełnie nie licującym z osobą nieulękłego wojownika, jakiego znałem. — Mam nadzieję, że nasze odwiedziny nie zakłócą toku twoich myśli?

— Patrzcie i podziwiajcie! — odparł Ellon w nienagannej ziemszczyźnie i zatoczył szeroki łuk długą i giętką, bezkostną ręką. Jego niebieskawa twarz poróżowiała, chyba z zadowolenia.

Nie było jednak czego podziwiać. Dokoła były mechanizmy, na oko dokładnie takie same, jakie wypełniały całe wnętrze planety. Orlan zauważył moje niezadowolenie i powiedział tym samym nieśmiałym tonem:

— Czy nie byłoby lepiej, gdybyś osobiście nam wszystko wyjaśnił?

Ellon bez słowa ruszył wzdłuż ściany sali i wskazując ręką kolejne maszyny wyjaśniał ich przeznaczenie i opisywał konstrukcję. Szedł przodem, ale głowę miał obróconą w naszym kierunku. Wszyscy Demiurgowie mają bardzo giętkie szyje, ale nikt poza Ellonem nie potrafi obrócić głowy o pełne sto osiemdziesiąt stopni. Słuchałem więc jego wyjaśnień i patrzyłem tylko na niego, na jego twarz, starając się zrozumieć nie tyle sens jego słów, ile ich ton. I im baczniej wpatrywałem się w Ellona, tym silniej utwierdzałem się w przekonaniu o jego niezwykłości.

Po zakończeniu obchodu sali Ellon powiedział (tylko to zapamiętałem z długiego wykładu):

— Ani ludzie, ani Demiurgowie, ani tym bardziej Galaktowie jeszcze nigdy nie mieli równie doskonale uzbrojonych statków. Gdybyśmy w trakcie ataku ziemskich eskadr mieli w Perseuszu chociaż jeden taki statek, wydarzenia potoczyłyby się zupełnie inaczej.

— Martwi cię to, Ellonie? — zapytałem sucho. Diabolicznie zachichotał, opanował się i powiedział :

— Ani martwi, ani cieszy. Po prostu stwierdzam fakt, nic więcej.

Wtrąciła się Olga i zaczęła wypytywać Ellona o jakieś szczegóły, po czym do dyskusji na tematy techniczne włączyła się Irena. Odciągnąłem Andre na bok:

— Stworzone przez Demiurgów urządzenia są bez wątpienia znakomite — powiedziałem. — Ale kto będzie nimi naprawdę sterował?

Andre przerwał mi bezceremonialnie. Nadal jak widać potrafił łowić myśl rozmówcy w pół słowa i nadal dobre wychowanie nie było jego najsilniejszą stroną.

— Możesz się nie obawiać! — wykrzyknął. — Ellon konstruuje instalacje, ale ja nimi dowodzę. Ich pola rozruchowe sprzężone są bezpośrednio z promieniowaniem mojego mózgu. A kiedy eskadra wyruszy w Kosmos, przekażę nadzór nad nimi Olegowi i dowódcom poszczególnych statków.

Wyjechaliśmy na powierzchnię. W windzie Irena wykrzyknęła z zachwytem:

— Demiurg Ellon jest doprawdy niezwykły! Całkiem niepodobny do innych! — Przyciszyła głos, żeby Orlan jej nie usłyszał. — Oni wszyscy wydają mi się potwornie brzydcy, a Ellon jest przystojny! I cóż za doskonałe rozwiązanie konstrukcyjne!... Eli, pozwoli mi pan na statku pracować w grupie Ellona?

— Wybór miejsca pracy zależy wyłącznie od ciebie — odparłem i pomyślałem przy tym, że jeśli o mnie chodzi, to właśnie Ellon wydał mi się najbrzydszy ze wszystkich znanych mi Demiurgów.

— Nie mam prawa wtrącać się do decyzji kierownictwa naukowego wyprawy — powiedziała do mnie Mary w hotelu — ale mogę wyrazić opinię o postępowaniu męża. Eli, jestem z ciebie niezadowolona!

— Dlaczego? Znów się nietaktownie zachowałem? Obraziłem kogoś?

— Niepokoi mnie Ellon — odparła z westchnieniem. — Jest tak potworny, że wręcz piękny w swej brzydocie, w tym się mogę z Ireną zgodzić. Ale pozwolić, żeby ktoś taki kręcił się na co dzień po statku!... A widziałeś, jak Irena na niego patrzyła? Gdyby tak patrzyła na mężczyznę, powiedziałabym, że dziewczyna się bez pamięci zakochała.

— A cóż w tym złego? — zapytałem beztrosko. Doskonale pamiętasz, że i mnie samemu zdarzyło zakochać się kiedyś w nieziemiance Fioli. Taki afekt jest nieszkodliwy już z tego chociażby powodu, że absolutnie pozbawiony perspektyw. A Ellona musimy wziąć ze sobą, bo to przecież uznany geniusz inżynieryjny. Obawiam się, że przemawia przez ciebie zwyczajny ludzki szowinizm, a w naszej epoce braterstwa gwiezdnego musimy zwalczać wszelkie przejawy szowinizmu. Mam nadzieję, że to cię przekonuje?

— Przekonałeś mnie swoją beztroską — odparła Mary ze smutnym uśmiechem. — Nie zwracaj uwagi na moje nastroje i obawy. Wynikają one nie z rozumowej analizy, jak u ciebie lub Olgi lecz z idiotycznych przeczuć...

Często później wspominałem tę rozmowę z żoną w hotelu na groźnej Trzeciej Planecie!

5

Nie sporządzam przeznaczonego dla potomków raportu z naszej wyprawy! Mówiłem już, iż nie jestem pewien, czy moje notatki trafią w ogóle na Ziemię i dlatego po prostu staram się zwyczajnie zanalizować dla siebie samego sens i przebieg wydarzeń. Wciąż od nowa zadaję sobie inkwizytorskie pytania, podchodzę do martwego ciała zdrajcy zawieszonego nieruchomo w polu siłowym i po raz setny powtarzam w duchu: „Eli, tu coś nie jest w porządku, coś jest inaczej niż myślisz i dlatego musisz, za wszelką cenę musisz rozwikłać tę zagadkę!” Ale nie potrafię, bo jestem na to zbyt rozsądny. Może to paradoksalne, ale jedna z nowych prawd, która tak długo i z takimi oporami docierała do naszej świadomości, brzmi następująco: im wywód jest logiczniejszy, tym wniosek dalszy od prawdy. Świat, w którym dziś wędrujemy, podporządkowany jest prawom fizyki, ale rządzi się logiką odmienną od naszej. Zbyt późno ten świat zrozumieliśmy i właściwie nie jestem pewien, czy i dziś pojmujemy go do końca.

Nie będę opisywał przygotowań do wyprawy i samego jej startu, bo na Ziemi wszyscy znają to w najdrobniejszych szczegółach. Wiedzą, że ograniczyliśmy skład eskadry do piętnastu gwiazdolotów (jedenastu bezzałogowych gigantycznych magazynów sterowanych przez automaty oraz czterech z załogami dowodzonymi przez Osimę, Olgę, Kamagina i Petriego), że pozwoliłem zaokrętować na pokład flagowego „Koziorożca” Włóczęgę, chociaż Oleg był przeciwny zabieraniu w podróż starego smoka, i że na tymże „Koziorożcu” zainstalowaliśmy laboratorium inżynieryjne Ellona. Wiedzą też jak ruszyliśmy do gwiazdozbioru Strzelca przez obłoki pyłowe zasłaniające przed naszym wzrokiem jądro Galaktyki, jak przez trzy lata pędziliśmy w jego kierunku, podtrzymując łączność z Ziemią na falach przestrzeni za pośrednictwem przekaźnika na Trzeciej Planecie, gdzie pozostał Andre, bo przy tysiąckrotnej prędkości światła wszelkie inne środki łączności zawodzą, jak wreszcie w czwartym roku podróży łączność nadświetlna urwała się bezpowrotnie...

Właśnie od tego momentu rozpocznę swoją relację o naszych przygodach w jądrze Galaktyki.

Nagle wszystkie generatory fal przestrzennych całkowicie odmówiły posłuszeństwa: nie mogliśmy już odbierać żadnych wiadomości z Trzeciej Planety i wysyłać na nią własnych depesz. Urządzenia były sprawne, zmieniła się sama przestrzeń. Kosmos był taki sam, nadal z równą energią pochłanialiśmy go gardzielami anihilatorów, przekształcając w obłoki pyłów i gazów, wszystko zatem dokoła było takie samo, a jednak niezrozumiale się zmieniło: impulsy generatorów nie przenikały na zewnątrz, anteny nie odbierały żadnych sygnałów. Wyprawa nagle jakby oniemiała i straciła słuch.

Nie straciła jednak wzroku. Przyrządy pokładowe wykryły w dużej odległości drapieżną planetę, dokładnie taką samą, jaka napadła na eskadrę Allana. Z tym, że Allan w momencie napadu utrzymywał łączność z bazą w Perseuszu, a my byliśmy takiej możliwości pozbawieni. Wówczas z niedowierzaniem przyjęliśmy wiadomość od Allana, że ściga ich nie martwy bolid, a nawet nie ogromny statek kosmiczny, niepomiernie większy od każdego z naszych gwiazdolotów, lecz zagadkowa istota kosmiczna najwyraźniej zamierzająca dopaść i połknąć całą eskadrę. Wyobrażenie o niesłychanej wielkości gwiazdolocie było jednak bliższe naszemu ówczesnemu pojmowaniu świata.

Ale bez względu na to, czy był to gwiazdolot, czy też istota kosmiczna, wszyscy odczuliśmy głęboki niepokój, kiedy analizatory wykryły w oddali zagadkowy glob i zameldowały beznamiętnie, że ciało to podąża za nami. Szliśmy wówczas skrajem ciemnych obłoków pyłowych osłaniających jądro. Słowo „skraj” jest pojęciem umownym, bo na wiele miliardów kilometrów dokoła rozpościerała się mgławica gazowa — zimna, półprzezroczysta, mętna i niezmiernie przygnębiająca. Gwiazdy ledwie tliły się. w jej purpurowym półmroku. Mary powiedziała do mnie z westchnieniem: „Nieźle nadymili w tym zakątku Wszechświata”. Drapieżna planeta ukazała się jako pomarańczowa plamka w krwistej mgle i szybko się powiększała. Szliśmy w obszarze ponadświetlnym, ona zaś pędziła w przestrzeni Einsteinowskiej. Za nami ciągnął się ogon przekształconej w pył pustki. Kosmos za planetą był czysty. My niszczyliśmy przestrzeń, a planeta pędziła w niej z taką potworną prędkością, że dopędzała nas i sprawiała, że prawa fizyki przestawały obowiązywać. Tak się nam przynajmniej wydawało. Dopiero teraz zaczynamy niejasno pojmować, jak skąpa była nasza wiedza o prawach natury.

Tak więc planeta nas dopędzała. Była ogromna jak Ziemia, a nawet chyba od niej większa. Tysiące naszych gwiazdolotów mogły pomieścić się na jej powierzchni, dziesiątki tysięcy zapaść w jej wnętrzu. Tor jej lotu zmieniał się nieustannie, zdradzając niewątpliwy cel — naszą eskadrę. Podobnie jak Allan moglibyśmy mówić o wolnej woli kierującego lotem drapieżnika, ale nadal uważaliśmy, że ściga nas nie żywa istota, lecz statek kierowany przez istoty rozumne ukryte we wnętrzu globu, przy pulpitach sterowniczych nieznanych nam, groźnych urządzeń. Istoty te nie odpowiadały na nasze sygnały, chociaż niepotrzebny był zbyt wyrafinowany intelekt, aby je rozszyfrować. To było zadanie dla ucznia szkoły podstawowej, a nie dla inżyniera kosmicznego. Ale planeta milczała, milczała i nieubłaganie nas dopędzała. Dopędzała w sposób wręcz nadprzyrodzony z prędkością nadświetlną w zwykłej przestrzeni podświetlnej.

Oleg przemówił do załóg wszystkich gwiazdolotów. — Allan uratował się przed atakiem drapieżnej planety w ten sposób — powiedział — że gwałtownie zanihilował substancję aktywną. Ścigający nie zdołał pokonać bariery wytworzonej w ten sposób nowej pustki. Ale eskadra straciła trzy czwarte zasobów i później nie miała już środków na pokonanie dalszych trudności. Czy mamy powtórzyć manewr Allana?

Wszyscy jednogłośnie opowiedzieli się przeciwko takiemu rozwiązaniu. Byliśmy uzbrojeni o wiele lepiej niż eskadra Allana, mogliśmy zatem dopuścić dziwnego prześladowcę bliżej niż on. Ponadto trzeba było ponad wszelką wątpliwość ustalić, czy to istotnie jest atak, czy też jakaś nowa forma kontaktu. A na to pytanie mógł dać odpowiedź jedynie eksperyment.

Jeśli nasze stereofilmy kiedykolwiek dotrą na Ziemię, ludzie na własne oczy zobaczą wynik tego eksperymentu. Oddzieliliśmy od eskadry jeden z automatycznych gwiazdolotów opróżniony uprzednio z wszystkich ładunków. Planeta rzuciła się na statek jak jastrząb na przepiórkę. Ujrzeliśmy wybuch, rozbłysk płomienia, a potem chmurę szybko ciemniejącego pyłu. I planetę czółenkowym ruchem przeszywającą tę chmurę i chciwie, całą powierzchnią wchłaniającą resztki eksplozji. Pył osiadał, kondensował się na globie i natychmiast zapadał pod jego powierzchnię. Przestrzeń oczyściła się i po chwili pozostał w niej tylko gigantyczny odkurzacz.

— Obrzydliwa kosmiczna paszczęka! — wykrzyknęła z oburzeniem Mary.

Siedzieliśmy w sali obserwacyjnej, przypatrując się zagładzie podrzuconej drapieżnikowi przynęty.

— Raczej kosmiczny asenizator, droga Mary — powiedział Romero i dodał z westchnieniem: — Przykre jest tylko to, że ten galaktyczny śmieciarz nie wiedzieć czemu i nas uważa za niepotrzebny strzępek papieru.

Słuszność uwagi Romera oceniliśmy znacznie później, kiedy stało się oczywiste, że drapieżna planeta nie pędziła zupełnie bez celu przez mgławicę, do której wtargnęła nasza eskadra, lecz przy okazji pochłaniała otaczający ją gaz, likwidując w ten sposób samą mgławicę. Jednak w tamtym momencie rozważania o funkcji kosmicznego asenizatora wydawały się nam zbyt akademickie. Oleg wezwał mnie i Romera, a ponadto Orlana i Gracjusza. Zaprosił na stanowisko dowodzenia również Ellona, który jednak wymówił się pilnymi zajęciami w laboratorium. Demiurgowie w przeciwieństwie do Galaktów nie przepadają za naradami, które uważają za niepotrzebną stratę czasu.

Olega interesowało tylko jedno: uciekać czy odeprzeć atak?

— Uciekać, oczywiście uciekać! — powiedział skwapliwie Gracjusz.

Już dawno zauważyłem, że jeśli istniała najmniejsza bodaj możliwość uniknięcia walki, to nieśmiertelni Galaktowie zawsze starali się z niej skorzystać. Zresztą akurat w tym wypadku wszyscy zgodnie poparli Gracjusza.

Natomiast sposób ucieczki wywołał gorące spory. Ja uważałem, że możemy sobie pozwolić na wykorzystanie substancji aktywnej, której mamy o wiele więcej niż Allan. Tym bardziej, że był to sposób o wypróbowanej już skuteczności. Ale nie zgodzono się ze mną.

— Tylko ślimak grawitacyjny! — oświadczył bezapelacyjnym tonem Orlan. — Mamy przecież instalacje zmieniające skutecznie metrykę przestrzeni, co pozwoli nam łatwo zgubić kosmicznego rozbójnika. Jakie jest twoje zdanie w tej sprawie, Ellonie? — zapytał, nie czekając na naszą decyzję.

Ellon, którego twarz ukazała się na ekranie, potwierdził, że zastosowanie ślimaka grawitacyjnego jest rozwiązaniem najprostszym i dodał, że eskadra nie musi uciekać, bo łatwiej jest wpędzić drapieżnika do tunelu grawitacyjnego.

— Planeta wystrzeli z niego, jak z armaty. I będzie miała szczęście, jeśli wyjdzie z tej przygody bez szwanku! — wykrzyknął. Najwidoczniej w przeciwieństwie do Gracjusza cieszyła go perspektywa starcia, był bowiem równie wojowniczy co utalentowany.

Zjechałem do laboratorium Ellona, który krzątał się już przy urządzeniach sterujących, podskakując przy tym jak wszyscy Demiurgowie. Przy pulpicie przypominającym klawiaturę starożytnego fortepianu siedziała Irena wodząc oczyma za Ellonem. Pod przeciwległą ścianą rozłożył się Włóczęga, zajmując niemal trzy czwarte wolnej przestrzeni. Na mój widok przyjaźnie wypuścił z nozdrzy dwa kłęby dymu i rozjarzył koronę powitalnymi błyskawicami, dużo jednak słabszymi i bledszymi od tych, jakie miotał w latach bujnej młodości. W milczeniu skinąłem mu głową i stanąłem za plecami Ireny.

— Włącz pierwsze zakrzywienie — rozkazał Ellon, i Irena przebiegła palcami po klawiszach startowych.

Do tego czasu wszystkie gwiazdoloty eskadry zgrupowały się tak blisko „Koziorożca”, że poczułem się zaniepokojony. Nic na to nie mogę poradzić, że zbliżenie skutków na odległość kontaktu wizualnego zawsze wywołuje we mnie lęk. Ale bez maksymalnej koncentracji floty nie dałoby się jej otoczyć barierą nieeuklidesową, którą Irena właśnie włączyła kilkoma ruchami palców. Przez chwilę nic się nie działo, a potem Ellon ze śmiechem pokazał na ekranie, jak planeta, czy też sterujące nią istoty, rozbija sobie o zaporę głupi łeb. Nie wiem, czy planeta może mieć łeb, ale wpadła na zakrzywioną przestrzeń z niesłychaną prędkością i równie gwałtownie odskoczyła. Powtórzyło się to kilka razy. Atak i odskok, atak i odskok. Ellon był zachwycony, cały pochłonięty bitewnym zapałem i nie mógł oderwać wzroku od uparcie atakującej i wciąż od nowa odrzucanej do tyłu planety. Ja jednak wolałbym, żeby Ellon zbyt długo nie kusił losu. Musiał to wyczuć, bo rozkazał:

— Włącz tunel odlotowy!

Irena znów nacisnęła kilka klawiszy i zaraz przekonaliśmy się jak potężne są nasze generatory metryki. Planeta została wyrzucona w jakąś otchłań i to nie bezwładnym ślizgiem w zakrzywionej przestrzeni, z którym tak rozpaczliwie walczyliśmy podczas naszej pierwszej bytności w Perseuszu, lecz energicznym „kopniakiem” pola. Powiedziałem coś do Ellona, który nie zareagował, zwijając się w pełnym samozachwytu bezdźwięcznym chichocie, zwróciłem się więc do smoka:

— To nie jest zwyczajna zmiana metryki. Wiesz o tym, Włóczęgo?...

Smok pląsał nie gorzej od Ellona, sypiąc blade iskry ze swej korony.

— Naturalnie! Kiedy byłem jeszcze Głównym Mózgiem zawsze marzyłem o tym, żeby nie trzeba było ograniczać się do biernego zakrzywiania przestrzeni, żeby nadać wyrzucanemu z układu gwiazdolotowi dodatkowy impuls skierowany na zewnątrz. Ellonowi udało się zrealizować to moje stare marzenie. Skuteczny środek, nieprawdaż?

Zgodziłem się, że środek istotnie jest niezwykle skuteczny i pospiesznie odszedłem na drugi koniec sali, bo rozentuzjazmowany Włóczęga wyrzucił z siebie kłąb duszącego dymu.

— Eli, Eli! — powiedziała Irena głosem, jakiego jeszcze u niej nie słyszałem. — Cóż to za człowiek! Cóż to za zdumiewający człowiek!

Mógłbym zaoponować, powiedzieć, że zdumiewająca niecodzienność Ellona polega akurat na tym, że nie jest on człowiekiem, ale zmilczałem. Odchodząc popatrzyłem na pozostawianą w laboratorium trójkę. Od tej chwili minęło mnóstwo czasu, być może rok albo wiele milionów lat przemknęło w realnym świecie obok naszej dzisiejszej pozaczasowości, ale ten obraz widzę tak dokładnie, jakbym go oglądał dopiero przed chwilą. Na podłodze pod ścianą rozciągał się dymiący triumfalnie smok, przed ekranami pląsał rozgorączkowany Ellon, a Irena, z ręką przyciśniętą do piersi i pobladłą twarzą patrzyła na niego w niemym zachwycie...

6

Tak oto wdarliśmy się do mgławicy zasłaniającej jądro. Najpierw odmówiły posłuszeństwa generatory fal przestrzennych, pozbawiając nas łączności z bazą na Trzeciej Planecie, a następnie zaatakował nas drapieżny glob, którego Ellon pozbył się tak skutecznie, że jak wykazały analizatory w ogóle zniknął z naszego świata. Teraz sądzę, że po prostu wypadł z naszego czasu...

A na ekranach dzień po dniu widzieliśmy ten sam ponury obraz: mglisty tuman, a w tej mgle pojawiające się z rzadka zjawy gwiazd. Przez wiele miesięcy mknęliśmy w mglistym mroku nie zmieniając kursu prowadzącego do jądra Galaktyki i tylko od czasu do czasu wymijając napotykane po drodze gwiazdy. I dopiero gdy analizatory wykryły krążącą wokół jednej z nich samotną planetę, na której mogło istnieć życie, eskadra zmieniła kurs i wynurzyła się w przestrzeni Einsteinowskiej. Wszystkie napotykane dotychczas gwiazdy pozbawione były satelitów, więc pierwsza na naszej drodze planeta musiała nas zainteresować.

Gwiazdę nazwaliśmy Czerwoną, choć taką wydawała się tylko z daleka, a w miarę zbliżania się przybierała stopniowo barwę błękitną. To była młoda, energiczna, życiodajna gwiazda, prawdziwy dar losu dla krążącej wokół niej planety. Nasze analizatory wykryły na niej życie, chociaż na żaden sygnał planeta nie odpowiadała. Nawet kiedy gwiazdoloty zawisły nad jej powierzchnią, hipotetyczni mieszkańcy globu nie zareagowali.

Oleg rozkazał głównej grupie eksploracyjnej wylądować na planecie. Na każdym statku jest własna grupa eksploracyjna, a grupą główną kieruję ja. Na członków grupy wyznaczono Truba i Giga — latających zwiadowców i wojowników, Romera — historyka i znawcę obcych cywilizacji, Mary — astrobotanika, Lusina — astrozoologa, Irenę ze wspomagającymi ją robotami oraz Orlana i Gracjusza. Z własnej inicjatywy włączyłem do grupy Włóczęgę. Wprawdzie Oleg uważał, że starzejący się smok będzie zawadą w poszukiwaniach, ja jednak uparłem się, bo na stosunkowo ciasnym statku staruszek nie mógł nawet porządnie rozprostować swoich gigantycznych kości.

Wylądowaliśmy. Planeta wyglądała zwyczajnie jedynie z daleka, z Kosmosu, ale po wylądowaniu ze zdziwienia zaparło nam dech w piersiach. Ten świat znał tylko dwa kolory czerwony i czarny. Po czerwonej ziemi płynęły czerwone rzeki, połyskiwały niewielkie czerwone jeziorka, z czerwonych skał spadały czerwone siklawy. A na tle tej wszechobecnej czerwieni czerniały lasy i pola — czarne drzewa, krzewy i trawy. Nad czarnymi lasami polatywały czarne ptaki, w czarnych zaroślach przemykały się czarne zwierzęta, w czerwonej wodzie pływały czarne ryby. I nad tym wszystkim unosiły się chmury, których czerń na krawędziach przechodziła w krwistą czerwień.

— To wygląda na przedsionek piekieł, nie uważasz, Eli? — mruknął Trub, tarmosząc pazurami bokobrody. — Co anioł może wiedzieć o piekle? — spróbowałem zażartować.

— Zaraz się wszystkiego dowie — odparł i wzbił się w powietrze.

— Wydaje mi się, że cała materia nieożywiona jest tu zabarwiona na czerwono, zaś formy żywe wyróżniają się czernią — zauważyła Mary.

Gracjusz majestatycznie skinął głową, bo doszedł do tego samego wniosku, ale Trub niebawem wyprowadził ich oboje z błędu. Popędził za ptakiem przypominającym ziemską gęś, tylko co najmniej trzy razy od niej większym. Czarna gęś nie zdołała umknąć szybko dopędzającemu ją aniołowi, złożyła więc skrzydła i zaczęła spadać zmieniając się w oczach z czarnej w ogniście czerwoną. Na czerwoną ziemię opadła czerwona bryła. Trub wylądował przy niej i zawołał nas. Na ziemi leżał niewielki głaz, martwy, zimny i czerwony jak wszystko dokoła.

— To on, to on! Ptak zamienił się w kamień! — wykrzykiwał Trub i z irytacją podważał czerwoną bryłę to nogą, to znów skrzydłem, ale w żaden sposób nie mógł ruszyć jej z miejsca. Kamień wrósł w ziemię tak, jakby przeleżał na tym miejscu co najmniej kilka tysiącleci.

— Tu nawet dźwięki są czarne! — powiedziała Mary z obrzydzeniem.

Istotnie, wszystko brzmiało tu głucho i niewyraźnie. Dodałbym do tego, że i zapachy były na tej planecie czarne: czerwona woda i czarne rośliny pachniały jednakowo, a właściwie nie pachniały wcale. Kopnąłem nogą czerwony kamień, który wedle Truba miał być przeistoczonym ptakiem, Romero stuknął swoją metalową laseczką w metalową pokrywę deszyfratora i nic: usłyszeliśmy jedynie głuchy szelest, jakby otarły się o siebie dwa kłęby waty.

Trubowi zachciało się polatać nad lasem, nad którym wypatrzył inne ptaki, ale po chwili żadnych ptaków już nie było, a i sam las zaczął znikać, gdy tylko Anioł zbliżył się do niego... Drzewa kurczyły się, opadały na ziemię, czerwieniały i po chwili leżała przed nami już tylko naga, martwa krwistoczerwona pustynia.

— Gig — zwróciłem się do zwierzchnika niewidzialnych. — Twojemu przyjacielowi zwiad się nie powiódł. Czy nie mógłbyś mu pomóc?

— Już zakładam mundur, admirale! — wykrzyknął dziarskim tonem Gig i popędził za aniołem. Zniknął nam z oczu już w powietrzu.

Zdezorientowany Trub szybował nad byłym lasem, zataczając coraz to szersze kręgi. Widzieliśmy go doskonale. Gig oczywiście był niewidzialny, ale kręta linia czerwieni przecinająca stojący jeszcze las zdradzała trasę jego lotu.

— Ekrany optyczne tu nie działają — powiedział zdziwiony Orlan. — A byliśmy przekonani, że są niezawodne!

Irena potwierdziła ten fakt. Powiedziała, że jeśli obserwuje nas jakaś istota rozumna, to widzi Giga równie wyraźnie jak nie uznającego ekranów Truba.

— Odległość reakcji wynosi dwieście metrów wyjaśniła. — Po przekroczeniu tej granicy rozpoczyna się coraz szybszy proces martwienia. Wielkością krytyczną jest sto metrów. W kole o takim promieniu możemy się natknąć wyłącznie na martwy, skamieniały grunt.

Słowa Ireny nie wyjaśniły niczego, stwierdzały tylko fakt. A tymczasem zetknęliśmy się z nową zagadką. Rozwścieczony niepowodzeniem Gig rzucił się na rzekę, w której dostrzegł kilka czarnych ryb. Rzeka skoczyła w bok, gwałtownie zmieniając koryto i jak szalona popędziła po kamieniach. Trafiła po drodze na dosyć strome urwisko i trysnęła z niego w dół szerokim łukiem. To była żywa istota, szybka, zwinna i śmiertelnie przerażona — takie przynajmniej sprawiała wrażenie. A kiedy niewidzialny jednak jej dopadł, rzeka w jednej chwili zniknęła. Było poprzednie koryto, były ślady szamotania się żywej wody, ale nie było już rzeki. Nie spłynęła pod ziemię, nie zniknęła nawet jak zjawa, tylko po prostu skamieniała.

Gig wyłączył ekran i wylądował koło nas.

— Admirale! — wykrzyknął. — Jestem szczerze oburzony! Nigdy jeszcze nie zetknąłem się z istotami tak tchórzliwymi, jak tutejsze drzewa. No i ta woda! Orlanie, mógłbyś mi wytłumaczyć, dlaczego ta zwariowana rzeczka uciekła przede mną?

Orlan wiedział dokładnie tyle, co i ja, a ja niczego nie rozumiałem. Nie uzyskawszy odpowiedzi Gig, tym razem bez ekranu, dołączył do Truba, który nadal krążył nad zmartwiałym lasem. Podszedłem do Włóczęgi.

Smok spróbował trochę sobie polatać, ale uniósłszy się na jakieś dziesięć metrów w górę zrezygnował i opadł ciężko na ziemię. Zacząłem żałować, że zabrałem go na tę ryzykowną wyprawę, ale zmieniłem zdanie, gdy spojrzałem w jego roziskrzone ironią oczy. Włóczęga miał piekielnie inteligentny wzrok.

— Zabawna planetka — powiedziałem. — Nie wydaje ci się, Włóczęgo, że mamy tu do czynienia z mnóstwem zagadek?

— Tylko z jedną — odpowiedział.

— Jedną? A ja tu widzę co najmniej trzy: żywe rzeki i drzewa, ich lęk przed nami i wreszcie momentalna przemiana w martwą ziemię. Nie mówiąc już o tym, że tutaj nawet ptaki zamieniają się w kamienie!

— Tylko z jedną — powtórzył Włóczęga. — Mam wrażenie, jakbym spotkał się z samym sobą, z dawnym sobą... Wyczuwam obecność myślącego mózgu, ale nie mogę nawiązać z nim kontaktu...

Na rozłożonym skrzydle smoka siedział Lusin. Zwróciłem się z kolei do niego:

— A co ty o tym sądzisz?

— Dziwna planeta — odparł po chwili namysłu. Pomyślał jeszcze i dodał z głębokim przekonaniem:

— Bardzo dziwna, bardzo!

7

Nie mogłem sobie pozwolić na dłuższy namysł: Trub czekał na wskazówki, Gig na rozkazy, a wszyscy pozostali na wyjaśnienia.

— Niewiele warte są przyrządy — powiedziałem opryskliwie do Ireny — które nie potrafią odróżnić żywe od nieożywionego.

Popatrzyła na mnie wyzywająco i odpowiedziała krnąbrnie, czego Olga nie zdołała jej oduczyć w dzieciństwie:

— To nie wina moich przyrządów, tylko pańskich wyobrażeń o tym co jest zwykłe, a co niezwykłe na tej planecie! — zreflektowała się pod moim wzrokiem i zapytała oficjalnym tonem:

— Czy mogę polecieć na „Koziorożca” po skafandry? Ellon opracował nowy model zapewniający lepsze ekranowanie.

— Niewidzialnym czy nam?

— Dla każdego, kto zechce stać się niewidzialnym. — Nie! — odpowiedziałem ostro. — Sam wrócę na „Koziorożca”, bo muszę naradzić się z dowódcą wyprawy. Reszta na razie zostanie tutaj.

Paweł zerknął na mnie i lekko pokręcił głową. Zdziwiłem się:

— Jest pan niezadowolony?

— Może byłoby lepiej, gdybyśmy wszyscy wrócili na statek, drogi admirale. Szczerze mówiąc nie chciałbym spędzić nocy na tej planecie.

— Dlaczego?

Romero rozłożył ręce:

— Po prostu trawi mnie atawistyczny lęk przed nieznanym.

Poradziłem mu niezbyt uprzejmie, żeby stłumił w sobie ten lęk, ale zgodziłem się na powrót całej grupy eksploracyjnej (co zresztą jak się niebawem okazało było rozsądną decyzją), bo doszedłem do wniosku, że rozszyfrowanie zagadek samotnego świata nie jest najważniejsze w świetle czekających nas zadań. Tak właśnie przedstawiłem sprawę Olegowi.

Oleg wysłuchał mnie ze swym niezmiennym, bezosobowo uprzejmym uśmiechem. Nie musiał mnie zresztą o nic wypytywać, bo każda nasza czynność i każde słowo wypowiedziane na planecie było natychmiast przekazywane na wszystkie statki. Nie musiał też uzbrajać się w ten swój odpychający uśmiech, którym utrzymywał wszystkich na dystans, w przeciwieństwie do kapitanów pozostałych gwiazdolotów, których stosunki z załogą były o wiele serdeczniejsze. Nie podobało mi się to i postanowiłem przy okazji dać temu wyraz. Nie musiałem długo na nią czekać. Zaproponowałem zwołanie narady dowódców gwiazdolotów, aby zdecydować wspólnie czy należy kontynuować badania pierwszej odkrytej przez nas planety.

— Ale przecież ty sam uważasz, że nie należy tego robić! — zaoponował Oleg.

— Moje zdanie nie jest tu najważniejsze, a zresztą mogę się mylić. Ellon jest tu chyba bardziej kompetentny, bo zwiad instumentalny należy do jego grupy.

— Narada jest niepotrzebna! — uciął Oleg. Opuścimy niebawem ten rejon.

Wówczas postanowiłem wyłożyć kawę na ławę (Romero jednak zaraził mnie swoim kwiecistym językiem): — Oleg, dlaczego zachowujesz się tak oschle? Daję ci słowo, że nie tylko na mnie wywiera to przykre wrażenie! Zawahał się.

— Nie mogę zachowywać się inaczej, Eli — powiedział wreszcie.

— Nie możesz?

Z jego twarzy opadł przyklejony do niej dotychczas maskujący uśmiech. Oleg znów stał się szczerym, prostym chłopcem, jakiego pamiętałem z Ziemi.

— Nie znoszę Ellona, Eli — wykrztusił.

— Nikt nie lubi Ellona — odparłem. — Mylisz się!

— Z wyjątkiem Ireny — poprawiłem się.

— Dla mnie jest to wystarczająco ważny wyjątek wyznał ponuro Oleg. — Bardzo się ze sobą przyjaźniliśmy, zanim Irena nie zaczęła pracować z Ellonem. To bardzo wybitny intelekt, ale dziewczyna zbytnio mu się podporządkowała. A ponadto Ellon, zwłaszcza w jej obecności, podkreśla nieustannie, że przewyższam go stanowiskiem, ale nie znaczeniem.

— Ellon wychował się w społeczeństwie Niszczycieli, w którym poczucie hierarchii było silnie rozwinięte. Tego z dnia na dzień zmienić się nie da — powiedziałem. — A ponadto mówimy o twoim stosunku do wszystkich, nie tylko do tego Demiurga!

— Nie mogę traktować Ellona inaczej niż pozostałych członków załogi, ale też nie potrafię odnosić się do niego równie serdecznie jak do Orlana, Romera czy Gracjusza. Muszę więc być wobec wszystkich jednakowo oschły...

Naszą rozmowę przerwał sygnał alarmowy. Pospieszyliśmy na stanowisko dowodzenia. Analizatory wykryły na,gwieździe, wokół której krążyła Czerwona, jakieś dziwne zjawisko, na które wszystkie cztery mózgi pokładowe statków znalazły tylko jedno określenie — atak.

Zdumieni i zaskoczeni nie mogliśmy oderwać oczu od ekranów. Z daleka, z rejonu, w który prowadził nasz kurs, tryskał potężny strumień promieniowania wycelowany dokładnie w Czerwoną Gwiazdę. Potok energii był tak intensywny, że był widoczny w przestrzeni jako blada smuga przesłaniająca lekko odległe gwiazdy.

Oleg zbladł i powiedział drżącym głosem:

— Jakie to szczęście, Eli, że zbliżyliśmy się do planety! Gdybyśmy byli teraz po przeciwległej stronie gwiazdy, cała eskadra przekształciłaby się w chmurkę plazmy!

— Co zamierzasz zrobić? — zapytałem.

— Uciekać stąd jak najszybciej?

— Zbliżyć się do Czerwonej Gwiazdy. Musimy dokładnie zbadać naturę tego ataku, Eli. Oczywiście z zachowaniem najwyższej ostrożności.

Ostatnie zapisy dziennika pokładowego Allana mówiły o tym, że na eskadrę runął strumień zabójczych cząstek i że Allan wraz z Leonidem próbowali wyprowadzić statki poza jego zasięg. Bez skutku, bo promienie śmierci nieubłaganie ścigały ich na każdym kursie. Tak trwało do chwili, kiedy gwiazdoloty z martwymi załogami, które przed śmiercią zdążyły jeszcze zadać automatom kurs powrotny, wynurzyły się w Perseuszu.

Teraz było podobnie, z tą jedynie różnicą, że celem ataku była gwiazda i że natężenie promieniowania było bez porównania wyższe od tego, które spadło na statki Allana i Leonida.

— Wojna! — powiedziałem mimo woli na głos. Jakąż potęgą trzeba dysponować, żeby tak ostrzeliwać gwiazdy!

— Nie wiem — zaoponował Oleg. — Nie ustaliliśmy jeszcze czy jest to czyjaś świadoma działalność, czy też niecodzienne zjawisko przyrodnicze. Atak na obce statki byłby rzeczą okropną, niemoralną i zbrodniczą, ale jednak zrozumiałą. Ale po co ktoś miałby walczyć z martwą gwiazdą?

— Nie potrafię odpowiedzieć na twoje pytanie powiedziałem bezradnie. — Wiem tylko jedno: jeśli nie zachowamy maksymalnej ostrożności, to czeka nas los o wiele gorszy od tego, jaki stał się udziałem wyprawy Allana, bo nawet nasze zwłoki nie wrócą na Ziemię!

Oleg urzymywał eskadrę z dala od straszliwego promienia, a załogi statków nie opuszczały stanowisk bojowych. Gotowi byliśmy uruchomić wszystkie nasze środki obronne — anihilatory przestrzeni, generatory metryki, ślimaki grawitacyjne — gdyby tylko śmiercionośny promień zwrócił się w naszą stronę. Ja jednak już wówczas byłem nieomal pewien, że te wszystkie tak potężne naszym zdaniem urządzenia znaczyły równie mało, jak dziecinny straszak przeciwko armacie. Ocaleliśmy tylko dlatego, że nas zignorowano. Celem ataku była gwiazda, a nie eskadra.

Gwiazda oślepiająco rozbłysła i przekształciła się w szybko gasnący kłąb płomieni. Promień zniknął. Było po wszystkim, gwiazda umarła.

Umarła też planeta, którą opuściliśmy zaledwie przed paroma godzinami. Beznamiętne analizatory zanotowały, że cała jej powierzchnia zwrócona ku gwieździe pokryta jest szklistą, rozżarzoną masą. Być może na jej przeciwległej stronie dałoby się odszukać jeszcze bodaj ślady dziwnych czarno-czerwonych istot, ale i tam szalały pożary. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że zginęlibyśmy, gdybyśmy pozostali w tę straszliwą noc na planecie.

Natury promienia, który tak nagle się pojawił i równie nagle zniknął, nie udało się nam rozszyfrować. Stwierdziliśmy wprawdzie, że zawierał banalne fotony, neutrony, protony, rotony, neutrina i mało jeszcze dotychczas zbadane ergony z domieszką innych nieznanych mikrocząsteczek, ale niejasny pozostał mechanizm ich wzajemnego oddziaływania w promieniu, nie mówiąc już o sposobie jego emisji i przeznaczeniu. Nie można było wyobrazić sobie żadnego naturalnego procesu zdolnego wytworzyć generator o tak potwornej mocy. Ale jeśli to był zamierzony atak, to kto i po co ostrzeliwał gwiazdę?

Oleg zwołał naradę dowódców gwiazdolotów. Przybyli na nią Olga, Kamagin i Petri.

Przebieg narady był transmitowany na wszystie statki. Na wstępie Oleg zwrócił się do kapitanów z najważniejszym pytaniem: co myślą o naturze katastrofy na Czerwonej Gwieździe?

— Sądzę — powiedziała Olga — że była to właśnie katastrofa kosmiczna z wyzwoleniem ogromnej ilości energii. Według pobieżnych obliczeń strumień promieniowania tryskający z jądra Galaktyki niósł energię wystarczającą do stworzenia dziesięciu nowych planet. Jest mało prawdopodobne, aby gdziekolwiek udało się zbudować broń o takiej mocy. Jestem skłonna uważać, że zetknęliśmy się z nowym procesem kosmicznym.

— W każdym razie jest to zjawisko niezwykle groźne — powiedział ostrożny Petri: — Gdyby nasza eskadra znalazła się na drodze tego promienia, nie pozostałoby po nas nawet wspomnienie... Nie chcę na razie zajmować zdecydowanego stanowiska, ale niepokoi mnie celność promienia. Biegł z daleka i trafił dokładnie w gwiazdę. Wątpliwe, aby taka precyzja była wynikiem procesów naturalnych.

— Wojna kosmiczna! — wykrzyknął Kamagin. Zapytacie, dlaczego ktoś napada na martwą gwiazdę. A czyż ludzie kiedyś nie atakowali kamiennych fortów i twierdz wroga, czyż nie niszczyli lasów i zasiewów, nie zatruwali wód, żeby pozbawić przeciwników schronienia i środków do życia? Nie znamy celów wojny, nie wiemy jaką korzyść przyniosło komuś zniszczenie Czerwonej, ale gwiazda ta została niewątpliwie zniszczona celowo, a w rezultacie uległy zagładzie unikalne formy życia.

— Jeśli to wojna — oświadczył Osima — to trzeba ustalić, po czyjej jesteśmy stronie. Co do mnie, to żal mi dziwnych istot zamieszkujących planetę. Atak był skierowany przeciwko nim, a one nie mogły zadać kontruderzenia...

W naradach kapitanów zawsze uczestniczyli Orian i Gracjusz. Oleg również ich zapytał o zdanie. Odmówili wypowiedzenia własnych opinii, gdyż uznali, że nie mają wystarczających informacji. Sam Oleg także wstrzymał się od głosu, zwracając się na koniec do mnie.

— Interesuje nas twoje zdanie, Eli — powiedział. — Jesteś kierownikiem naukowym wyprawy, więc twoja opinia będzie decydująca.

— Moja opinia nie może o niczym decydować oświadczyłem — gdyż zgadzam się ze wszystkimi po trosze. Wszystkie zdania są uzasadnione, więc nie mogę zdecydowanie przychylić się do żadnego z nich. Najbliższa mi jest analiza Kamagina i pragnienia Osimy. Ale nie zaryzykowałbym działania według ich programu. Dlatego popieram poprzednią decyzję dowódcy, aby kontynuować badania, zaś ostateczną decyzję odłożyć do wyjaśnienia.

— Wobec tego kontynuujemy lot w kierunku jądra — podsumował Oleg. — Nie wtrącamy się do lokalnych potyczek, tylko je obserwujemy.

Po naradzie Kamagin powiedział do mnie z wyrzutem w głosie:

— Eli, dawniej był pan bardziej zdecydowany! I nie zgadzał się pan skwapliwie ze wszystkimi, lecz zawsze podejmował własne decyzje i to czasem tak szalone, że człowiek dostawał zawrotu głowy. Zestarzałeś się, admirale!

Popatrzyłem na niego z czułością. On się nie zestarzał. Choć najstarszy z nas wszystkich, wciąż był tym samym odważnym młodzieńcem, którego wypisane złotymi głoskami imię otwiera w Panteonie długą listę wielkich galaktycznych kapitanów. Serdecznym gestem położyłem mu rękę na ramieniu:

— Drogi Edwardzie, ja naprawdę zaczynam bać się własnego cienia, ale nie potrafię zapomnieć o tym, że wyruszyliśmy na poszukiwanie Ramirów, tajemniczego narodu, o którym wiemy tylko to, że jest potężniejszy od nas. A może wydarzenia, których byliśmy świadkami, są formą ich działalności w okolicach Kosmosu przylegających do jądra Galaktyki?

Kamagin słuchał mnie ze sceptyczną miną:

— Rozumna cywilizacja zajmująca się niszczeniem gwiazd, skazując w ten sposób na zagładę wszystkie formy życia w ich układzie? Rozum niweczący rozum? Czy to w ogóle możliwe?

— Nie wiem. A może Ramirowie mają konkurentów? Może okolice jądra zamieszkuje kilka wrogich sobie nawzajem potężnych cywilizacji? Mówił pan o niszczeniu zasiewów i zatruwaniu rzek przez naszych odległych przodków. Może więc to niszczenie gwiazd jest jakimś ekwiwalentem burzenia pogranicznych fortów? Wedle stawu grobla...

— No dobrze, wobec tego będziemy na razie dreptali wokół naszej kałuży (ja też zaraziłem się od Romera!) i bali się każdej żaby — powiedział na pożegnanie Kamagin, uśmiechając się przyjaźnie, abym nie poczuł się zbytnio urażony jego słowami.

Olga odwiedziła Irenę, a potem przyszła do nas.

— Jesteś zadowolony z mojej córki, Eli? — zapytała.

— To raczej ją powinnaś zapytać, czy jest zadowolona ze mnie — zażartowałem. — Wprawdzie za mną nie przepada, ale jak na razie się nie kłócimy. Coś więcej o Irenie mógłby powiedzieć Oleg.

— Rozmawiałam z nim. Nie ma Irenie nic do zarzucenia, ale oświadczył mi to zbyt oficjalnym tonem. Niepokoi mnie, że coś się między nimi zepsuło.

— To coś nazywa się Ellon — wtrąciła się do rozmowy Mary — prawda, Eli?

— Irena pochłonięta jest pracą w laboratorium odparłem wymijająco — i pewnie dlatego nie może już poświęcić Olegowi tyle uwagi.

Dowódcy wrócili na swe gwiazdoloty, Oleg rozkazał uruchomić anihilatory Taniewa i eskadra ruszyła w dalszą podróż. Czerwona z jej ginącą planetą pozostała za nami.

## 2. Ginące Światy

1

Oleg wezwał mnie na stanowisko dowodzenia. Gdy tam przyszedłem, przy sterach siedział Osima, a Oleg rozmawiał z Ellonem. Musiało zajść coś naprawdę ważnego, jeśli Oleg zaprosił Ellona do siebie, a ten zdecydował się porzucić laboratorium.

Na ekranach dalekiego zasięgu, niewyraźnie wśród nieskończonych mgławic, rysowało się jądro Galaktyki, do którego pozostało już niespełna trzy tysiące lat świetlnych. Z boku migotała plamka gromady kulistej. Ten widok nie wydał mi się niezwykły, gdyż obserwowałem go już od co najmniej tygodnia.

— Przed nami wprost na kursie mamy jamę w przestrzeni, gdyż im bliżej podlatujemy do jądra, tym bardziej się ono od nas oddala. Wniosek z tego jest jeden: zapadamy się w jakąś nieciągłość metryki.

— Czy to znaczy, że lecąc dotychczasowym kursem nie dotrzemy do jądra? — zapytałem.

— Światło jądra do nas dociera — odparł Oleg ale to nie znaczy, że przebijemy się do niego po prostej. Może się przecież okazać, że w jamie nie ma przestrzeni fizycznej, która mogłaby anihilować w generatorach Taniewa. Wówczas ugrzęźniemy bezpowrotnie w bezdennej otchłani.

— O ile dobrze pamiętam teorię Ngoro — powiedziałem — nieciągłość metryki może również tłumaczyć spowolnienie czasu w tych okolicach.

Odpowiedział mi Demiurg:

— To byłoby jeszcze gorsze, admirale, gdyż z jamy czasowej nie ma wyjścia. Jestem zdecydowanie przeciwny kontynuowaniu dotychczasowego kursu.

— Pozostaje nam zatem jedynie droga okrężna przez gromadę kulistą! — zakonkludował Oleg.

— Dlaczego? — zdziwiłem się. — Dlaczego nie możemy wytyczyć kursu omijającego tę gromadę przez czysty Kosmos? Czy coś tam nam grozi?

— Właśnie. MUK sygnalizuje, że okolice jądra obfitują w nieciągłość metryki, w takie same jamy przestrzenne, jaka rozwiera się wprost przed nami.

— Czy mogę odejść? — zapytał Demiurg. — Nie mam nic więcej do powiedzenia na ten temat.

Ellon wyszedł, a ja wraz z Olegiem wpatrywałem się w ekran dalekiego zasięgu, na którym migotała niewielka plamka roju gwiezdnego. Analizatory wykryły go przed niespełna dwoma tygodniami i przez ten czas, lecąc w obszarze nadświetlnym, zbliżyliśmy się do niego o jakieś sto lat świetlnych. MUK wiedział już o nim niemało: gromada kulista o średnicy około dwudziestu lat świetlnych i zawierająca około pięciu milionów gwiazd, przeważnie starych. Oddala się od jądra prostopadle do płaszczyzny Galaktyki z prędkością 50 kilometrów na sekundę. Szybkość pozornie niewielka, ale jeśli zwarzyć, że gromada istniała od co najmniej dwustu milionów lat, co w skali kosmicznej jest czasem względnie krótkim, to gromada nie tyle przemieszczała się w przestrzeni, ile panicznie uciekała z Galaktyki!

MUK stwierdził jeszcze jedno: morderczy promień, który spalił Czerwoną, wystrzelił najprawdopodobniej z tej właśnie gromady, gdyż na jego trasie nie było innych ciał niebieskich, które mogłyby go wygenerować. I ta gromada była jedyną furtką do jądra.

— Nie mamy innego wyjścia? — zapytałem Olega. — Nie mamy — przytaknął z westchnieniem. Eskadra ruszyła nowym kursem.

Wielokrotnie opisywałem gwiezdne niebo w rozproszonych gromadach Plejad i Perseusza. Teraz chciałbym, nie obawiając się powtórzeń, opowiedzieć ze szczegółami, jak wyglądał nowy dla mnie krajobraz gwiezdny. I jeśli tego nie czynię, to tylko dlatego, że prawdziwego piękna nie da się wyrazić słowami. Muszę jednak zatrzymać się przy jednym szczególe, który stanowi o istocie zjawiska nazywanego kulistą gromadą gwiezdną. Otóż przestrzeń wewnątrz niego jest absolutnie przezroczysta, tak przezroczysta, że puste okolice Kosmosu wydają się w porównaniu z nią mętne i zadymione. Na widok tej krystalicznej przejrzystości rozświetlonej iskrami gwiazd nawet człowiekowi o najmniej poetyckiej duszy przychodziło na myśl określenie: muzyka gwiezdnych sfer.

Wokół wielu gwiazd krążyły planety, z których każdą starannie choć z daleka badaliśmy. Na planetach panowały warunki wręcz idealne dla rozwoju życia białkowego: umiarkowane promieniowanie słoneczne, atmosfera zbliżona do ziemskiej, odpowiednie proporcje wód i lądów. Ale na żadnej z nich nie było nawet śladu rozumnej cywilizacji, nie było nawet najprymitywniejszych przejawów życia. Były to niezmiernie piękne, ale całkowicie martwe światy. Mary chciała zaszczepić życie przynamniej na jednej planecie, ale nie mieliśmy na to czasu pędząc ku bramie do innego świata. Brama zdawała się szeroko otwarta, ale co czekało nas za nią?

Zadaniem Ellona było poszukiwanie na planetach gromady kulistej mechanizmów generujących śmiercionośne promienie, ale mimo usilnych starań nie wykrył nawet śladu superlasera. Co więcej, nie wykrył najdrobniejszych bodaj dowodów na istnienie potężnej cywilizacji, zdolnej do stworzenia takiej tytanicznej broni. I tak, małym ciągiem anihilatorów mknęliśmy przez cudowny, pusty, niczyj świat, zapylając jego krystaliczne przestwory spopieloną w generatorach przestrzenią i bez skutku wsłuchując się w cichy szmer wyładowań w gtośnikach. Kosmos milczał.

2

Przemknęliśmy przez gwiezdne wrota jądra i znów znaleźliśmy się w zamglonej przestrzeni. Olga sporządziła kolejne obliczenie, z którego wynikało, że masa materii rozpylonej w przestrzeni jest o wiele wyższa od masy wszystkich tutejszych gwiazd. Rezultat obliczeń zdziwił ją i ucieszył, gdyż z czymś takim do tej pory się nie zetknęła. Ja nie zdziwiłem się ani nie ucieszyłem, bo nie lubię kurzu ani na Ziemi, ani w Kosmosie. Mary wykrzyknęła z irytacją:

— Nie rozumiem, dlaczego mianowano cię kierownikiem naukowym wyprawy! Przecież ciebie nie interesują żadne nowe fakty!

— Za to kocham uczonych i potrafię znieść każde ich odkrycie, a to już dużo — odparłem. — Poza tym masz rację, interesują mnie i cieszą tylko fakty pomyślne.

Gdy tak się z nią przekomarzałem w prawo od kursu pojawiło się jakieś ciało kosmiczne, prawdopodobnie gwiazdolot. W tym pustym zakątku Kosmosu mogliśmy spodziewać się wszystkiego, tylko nie obcego statku, ale analizatory twierdziły uparcie, że jest to sztuczna konstrukcja.

Poszedłem na stanowisko dowodzenia. To istotnie był gwiazdolot, a nie martwy kosmiczny włóczęga. Statek pędził w naszą stronę z nieprawdopodobną prędkością. W tym momencie Olga nadała ze swego statku jeszcze bardziej nieprawdopodobną wiadomość: jej MUK stwierdził, że obcego gwiazdolotu nie ma!

Oleg pospiesznie przeprowadził odpowiednie obliczenia i potwierdził tę wiadomość.

— Bzdura! — wykrzyknąłem ze złością. — Mam serdecznie dosyć zjaw i duchów. Chyba że to znowu jakiś fantom, tym razem kosmiczny, a nie planetarny.

— Fantomy są tworami fizycznymi, realnie istniejącymi obiektami, udającymi inne realnie istniejące obiekty — zauważył Oleg. — A tego statku po prostu nie ma, chociaż wyraźnie go widzimy.

Nasz MUK jeszcze raz sprawdził doniesienie Olgi. I znów okazało się, że przestrzeń wokół nas jest kompletnie pusta, że w naszą stronę pędzi niematerialna zjawa. Udałem się do laboratorium Ellona.

Zastałem już tam Orlana, Gracjusza i smoka jak zwykle rozciągniętego pod wolną ścianą sali. Ellon zawzięcie perorował, lecz na mój widok umilkł.

— Ellonie — powiedziałem — na ekranach widzimy obce ciało, ale pola poszukiwawcze nie wykazują jego obecności. Czy potrafisz przystępnie wytłumaczyć mi ten paradoks?

— Przystępnie nie potrafię — odparł Demiurg z lekką pogardą.

— A nieprzystępnie?

— Obserwowany przez nas gwiazdolot nie istnieje w naszym czasie.

Wymieniłem spojrzenia z Gracjuszem i Orlanem, potem spojrzałem na smoka. Rozumieli nie więcej niż ja. Opodal siedziała Irena i to, z jakim zapałem potakiwała każdemu słowu Ellona zdawało się świadczyć o tym, że przynajmniej dla niej wszystko jest jasne i oczywiste.

— Nie istnieje w naszym czasie? W jakim zatem, do diabła, czasie ta zjawa pędzi w naszym kierunku?!

— Dla nas pędzi ona z naszej przyszłości w naszą teraźniejszość.

— A nie z przeszłości w teraźniejszość? — zapytałem bezradnie, bo wyjaśnienie Ellona było z gatunku tych, które raczej zaciemniają sytuację.

— Z przeszłości w teraźniejszość pędzimy my. A ściślej mówiąc nieustannie odsuwamy naszą teraźniejszość ku przeszłości. Czas związany jest z nami na zasadzie reakcji: popycha nas ku przyszłości, a sam oddala się w przeszłość. Ruch obcego jest niczym strzał z przyszłości w teraźniejszość. Jego czas nie odbija się od niego, lecz pędzi wraz z nim, jak gazy prochowe w lufie armaty pędzą za pociskiem.

— Strzał z przyszłości? — zastanowiłem się nad tym porównaniem. — Ale przecież widzimy obcy gwiazdolot, widzimy go w naszej teraźniejszości już od dwóch godzin, a przez ten czas ówczesna teraźniejszość stała się już przeszłością. Innymi słowy statek istnieje w teraźniejszości i przeszłości, a nie w przyszłości! — powiedziałem triumfalnie.

Demiurg jednak dobrze przemyślał swoją koncepcję.

Widzimy w teraźniejszości jego cień — powiedział — cień padający z przyszłości i poprzedzający pojawienie się realnego obiektu. Cień zmniejsza się, a zatem gwiazdolot zbliża się ku nam z przyszłości. Kiedy ów cień pokryje się z obiektem, statek pojawi się realnie.

— Nie przeskoczy z teraźniejszości w przeszłość?

— Sądzę, że zabraknie mu energii, aby pokonać temporalne zero zwane również „teraźniejszość”, „obecnie” lub „współczesna chwila”.

— Słyszysz, Olegu? — zapytałem przez stereofon. — Jeśli hipoteza Ellona jest słuszna, to zderzenie eskadry z obcym gwiazdolotem nie grozi żadnym niebezpieczeństwem, gdyż zetkniemy się z nim w punkcie, w którym teraz się znajdujemy, podczas gdy on sam pozostanie w naszej przyszłości. Rozumiesz to?

Oleg odparł, że postara się uniknąć kontaktu z obcym statkiem bez względu na to, w jakim czasie ten istnieje.

A niebawem nastąpiło spotkanie, i to dokładnie takie, jak przewidział Elłon.

Oleg uformował eskadrę w pierścień, ku środkowi którego pędził obcy statek. Właściwie nie pędził, tylko leciał coraz wolniej, by wreszcie zatrzymać się w pewnej odległości od płaszczyzny naszego szyku i zawisnąć nieruchomo w przestrzeni: widocznie dotarł do punktu, w którym rozpoczęła się inwersja czasu i to było akurat nasze „teraz”.

Eskadra otoczyła obcy statek i czekała aż się realnie pojawi, gdyż nadal nasze pola poszukiwawcze nie stwierdzały jego fizycznej obecności. I nagle obcy wtargnął do naszego czasu.

Wyraźnie teraz widoczny gwiazdolot przypominał ślimaka zwiniętego z potrójnych spiralnych pierścieni. Ani ludzie, ani Demiurgowie i Galaktowie nie znali podobnych konstrukcji. Aparat był całkowicie przezroczysty, jakby nie posiadał żadnej powłoki i zbudowany był wyłącznie z migotliwego gazu, zwiniętego przez nieznane siły w trzypiętrową spiralę. Jedynie na szczycie ślimaka wznosiła się ciemna narośl wielkości naszej sali zebrań, najwidoczniej pomieszczenia załogi. MUK doniósł, że znajdują się w niej jakieś nieprzejrzyste ciała.

Po raz pierwszy zobaczyłem zdumionego Ellona. — Eli! — wykrzyknął Demiurg, zapominając o moim tradycyjnym tytułe. — Eli, czy pan wie, co to jest za bryła? To dokładny odpowiednik ślimaka grawitacyjnego, z pomocą którego wypchnąłem z naszej przestrzeni drapieżną planetę!

Smok był zdumiony nie mniej od Ellona:

— To nieprawdopodobne! — wykrzyknął. — A zatem mogą istnieć konstrukcje, które same sobie potrafią dać grawitacyjnego kopniaka!...

Gwiazdolot nie reagował na żadne sygnały i nic nie wskazywało na to, że w ogóle zostaliśmy przezeń zauważeni. Gracjusz wyraził przypuszczenie, że statek jest istotą żywą, która zginęła podczas lotu pod prąd czasu. Po spotkaniu z drapieżnymi planetami jego hipoteza nikogo nie zaskoczyła.

Oleg polecił wysłać planetolot w pobliże obcego statku. Dowodzący nim Osima obleciał ślimaka wokół, wysondował go polami, ale nie odnalazł żadnego włazu. Wówczas postanowił oddzielić kabinę od reszty konstrukcji. Operacja się powiodła, ale kadłub z migotliwego gazu rozpadł się, zamienił w rzadką chmurkę ciemnego pyłu.

Planetolot przybił do kei „Koziorożca”. Dziarski Osima wykrzyknął rubasznie:

— Przywiozłem akwarium! Obcy astronauci są w środku, ale niestety martwi i to martwi od wielu milionów lat, jeśli Ellon się nie myli i mamy do czynienia nie z gwiazdolotem, lecz z maszyną czasu!

Wewnątrz kabiny leżało sześć ciał. Martwych, choć niegdyś bez wątpienia były to istoty żywe. Przezroczyste ścianki kabiny przypominały ekrany siłowe rozpięte na równie przezroczystym szkielecie.

— Kabinę najlepiej będzie rozmyć — powiedziała Irena. — Zrobią to bez trudu nasze generatory pola ochronnego pracujące na biegu rewersyjnym.

Istotnie, pompy siłowe z łatwością wchłonęły ściany kabiny i martwe ciała wypadły na zewnątrz.

Nic nie wskazywało na to, aby tragiczna dla obcych astronautów katastrofa miała zdeformować ich ciała. Ale i tak były to bardzo dziwne istoty!

Przypominały po trosze nas wszystkich — Ludzi, Demiurgów, Galaktów, Anioły, a nawet smoki — i były jednocześnie nieskończenie od nas inne: każda miała głowę, twarz i włosy na głowie, ale te włosy miały grubość palca i przypominały węże; miała oczy, a tych oczu było trzy... Każda z tych istot miała również okrągły otwór pełniący rolę ust, w tej chwili u każdej z nich półotwarty.

Niewielka głowa spoczywała na potężnym czarnym ciele pająka, opierającym się na dwunastu opatrzonych w osiem stawów nóg grubości ludzkiej ręki.

— Żywe! — wykrzyknął podniecony Lusin, rzucając się ku jednej z rozpostartych na podłodze istot. — Rusza się!

Gracjusz pospiesznie chwycił go za rękę i zatrzymał. Z potężnych rąk Galakta Lusin nie mógł się wyrwać, ale coraz głośniej wykrzykiwał, że jeden z obcych żyje.

Teraz i ja zobaczyłem, że jedna z nóg pająkokształtnego poruszyła się, a potem drgnęły też wężowłosy na jego głowie. Nieznajomy spróbował unieść się z ziemi i znowu upadł. Dwoje jego dolnych oczu otwarło się z wysiłkiem, popatrzyło na nas nieprzytomnie i znów się zamknęło, po czym astronauta ponownie stracił przytomność.

— Pozostała piątka jest martwa, ale tego da się chyba jeszcze ocucić — powiedział Oleg. — Gdzie go umieścimy?

Ellon poprosił, żeby pozwolono mu zabrać przybysza do siebie. Wprawdzie jego laboratorium jest dość ciasne, ale dla takiej niecodziennej istoty miejsce zawsze się znajdzie. A ponadto reanimacja pająkokształtnego może wymagać urządzeń techniczych, których nie ma nigdzie indziej na statku.

Oleg zgodził się z argumentacją Demiurga, zaś Romero zwrócił się do obecnych:

— Szanowni przyjaciele, czy pozwolicie, że naszym nowym dwunastonogim znajomym nadam nazwę Aranów?

Zapytaliśmy go, dlaczego wybrał właśnie tę nazwę, na co Romero wyjaśnił, że słowo „aran” w starożytnych językach ziemskich kojarzy się w jakiś sposób z wizerunkiem pająka, a obcy bez wątpienia przypominają pająki.

— Przypominają również Altairczyków — zauważyłem — tyle że tamci są znacznie sympatyczniejsi.

— Sympatyczniejsi, bardziej przyjaźni i niewątpliwie o wiele niżej rozwinięci od Aranów — zakonkludował Paweł.

Później wielokrotnie wspominałem, z jaką precyzją Romero na pierwszy rzut oka określił charakter pająkokształtnych.

3

Aran stał na dwunastu nogach z główką pochyloną na bok. Z daleka wydawało się, że jest to jego naturalna poza, że lada chwila ruszy z miejsca i pobiegnie przebierając szybko odnóżami. Ale wystarczyło lekko osłabić podtrzymujące go pole, aby pająkokształtny natychmiast się przewrócił. Był wciąż nieprzytomny czy też przebywał poza czasem, jak pół żartem utrzymywał Gracjusz, któremu podobnie jak i mnie przypadła do gustu teoria Ellona o inwersji czasu.

Dzień, w którym Aran otworzył oczy, zapamiętali wszyscy bez wyjątku. Od spotkania z obcym statkiem upłynął już ponad miesiąc, kiedy wstąpiłem do laboratorium Ellona, żeby z nim porozmawiać. W pewnym momencie usłyszeliśmy okrzyk Ireny:

— On lata! Ellonie, Eli! Aran unosi się w powietrzu.

Aran rzeczywiście latał. I nie tylko biernie unosił się w powietrzu, lecz szybko sunął w naszym kierunku. Odskoczyliśmy do tyłu. Mnie przeraziło trzecie oko pająkokształtnego, które po raz pierwszy zobaczyłem otwarte. Oko to nie patrzyło, lecz przenikliwie świeciło. Wzrok dwojga dolnych oczu był zwyczajny, mądry, nieco smutny, ale nic ponadto. Później dowiedzieliśmy się, że górne oko Aranów może oślepiać promieniem zbliżonym do laserowego.

Ellon pospiesznie wzmocnił pole ochronne, które odepchnęło Arana i rzuciło go na podłogę. Demiurg tłumaczył się potem, że obawiał się ataku potwora. Sądzę, że postąpił prawidłowo. Skutki inwersji czasu jeszcze nie przeszły, zatem mózg Arana był jeszcze daleki od zwykłej sprawności. Wspomnę przy okazji, że w normalnym stanie Aranowie nie przedstawiają niebezpieczeństwa dla Ziemian i Demiurgów, jeśli są niezbyt liczni.

Ellon osłabił pole, zaś Aran podciągnął rozpełzające się nogi i znów uniósł się w powietrze, przy czym najwyraźniej zamierzał zbliżyć się do nas.

— Włącz z łaski swojej deszyfrator — poprosiłem Irenę. — Może uda się nam znaleźć wspólny język. Następnie zwołałem do laboratorium wszystkich eksploratorów. Przyszła Mary, Lusin, Romero, Orlan, Gracjusz, zjawił sę Włóczęga, który zatrzymał się z ogonem w korytarzu, ale Aran uniósł się wyżej i smok wygodnie wyciągnął swą długą szyję akurat pod nim.

Irena uruchomiła deszyfrator na wszystkich zakresach, ale kontaktu nie było. Jeśli nawet Aran generował jakieś sygnały, to do nas one nie docierały. Irena powiedziała zrozpaczonym tonem:

— To niewątpliwie istota rozumna, ale nasze odbiorniki nie są w stanie go zrozumieć.

— Za to, jak mi się wydaje, on sam doskonale nas rozumie bez dodatkowych urządzeń — powiedział Orlan, którego, podobnie jak mnie, zastanowiło myślące spojrzenie dolnych oczu Arana i przenikliwy blask trzeciego.

Zirytowała mnie zabawa z deszyfratorem, więc wstałem z miejsca. Podniosła się również Mary, podeszła do mnie i razem zbliżyliśmy się nie dalej jak na krok do pająka-kosmonauty. Najwidoczniej zmobilizowała nas do tego uwaga Orlana i oburzenie na to, że choć przybysz najwyraźniej doskonale nas rozumiał, być może nawet beznamiętnie badał, my, niczym króliki doświadczalne, czekaliśmy pokornie aż eksperymentator zechce w niezmiernej swej łaskawości przemówić do nas bodaj słowem. Nie wiem, czy udało mi się precyzyjnie oddać mój ówczesny nastrój, ale jestem pewien jednego: gotowałem się z wściekłości.

Przerażona Mary chwyciła mnie za rękę: — Eli, co się z tobą dzieje?

— Daj mi spokój! — warknąłem przez zęby. Chcę pokazać temu gwiezdnemu włóczędze, że spotkał się z siłą wyższą, a nie z głupimi zwierzakami!

Zaraz jednak zawstydziłem się, że dałem się ponieść niekontrolowanym emocjom niegodnym człowieka, a już zupełnie niewybaczalnym dla kierownika wyprawy gwiezdnej. Gotów już byłem przeprosić wszystkich za mój wybuch, gdy zauważyłem, iż górne oko Arana przygasło i nie różniło się już niczym od dwóch pozostałych. Odwróciłem się na pięcie i powiedziałem, starając się na nikogo nie patrzeć:

— Pójdę już. Kontakt z pająkokształtnym niewątpliwie nastąpi, chociaż trzeba będzie chyba jeszcze trochę nań poczekać.

Nie zdążyłem jednak zrobić nawet trzech kroków w stronę drzwi, kiedy rozległ się głos przybysza. Aran mówił nienaganną ziemszczyzną.

Nie, to nie była mowa w ścisłym tego słowa znaczeniu, mowa kojarząca się z drganiami powietrza nazywanymi dźwiękiem. Głos Arana rozlegał się bezpośrednio w głowie każdego z nas, wywoływał w mózgach rodzenie się właściwych słów i zdań. Jeśli uda się nam kiedykolwiek wrócić na Ziemię, specjaliści z pewnością rozszyfrują mechanizm, dzięki któremu Aran potrafi kontaktować się z każdą myślącą istotą.

— Rozumiem was — zwrócił się do każdego z obecnych w jego rodzimym języku. — Teraz i wy będziecie mnie rozumieć. Jestem uciekinierem z Ginących Światów. Było nas sześciu. Chcieliśmy odwrócić nasz czas, dotrzeć do czasów odległych i pozostać w nich. To się nam nie udało i znów spadliśmy do naszego czasu. Moi towarzysze zginęli przy pierwszym nawrocie, nie znieśli przyszłości, gdyż mogli żyć tylko w swym własnym czasie. Ja ocalałem, lecz straciłem na długo przytomność. Uratowaliście mnie. Zadawajcie pytania.

Słuchaliśmy pająkokształtnego astronauty z niezmiernym zdumieniem, które mnie osobiście mocno zaskoczyło. Przecież spotykaliśmy już istoty o jeszcze dziwaczniejszym wyglądzie, a i bezpośrednie przekazywanie myśli z mózgu do mózgu też w końcu nie było niczym nadzwyczajnym: nie inaczej w swoim czasie komunikował się ze mną Orlan. Wreszcie zrozumiałem, że to, co bratem za zdziwienie, było lękiem, poczuciem zagrożenia ze strony Arana, który wprawdzie ugiął się przed „siłą wyższą”, ale wcale nie zrezygnował z walki.

Pierwszy opanował się Romero.

— Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, admirale powiedział — wezmę na siebie ciężar rozmowy z szanownym podróżnikiem w czasie. — I zwrócił się do Arana: A zatem, drogi gwiezdny przybyszu, jest pan uciekinierem z Ginących Światów. Czy moglibyśmy się zatem dowiedzieć co to są owe Ginące Światy?

W mózgu każdego z nas rozległa się odpowiedź:

— Wkrótce je zobaczycie, gdyż wasz kurs prowadzi wprost na nie.

— Należy pan do mieszkańców Ginących Światów? — Zamieszkują je tacy jak ja i moi polegli towarzysze.

— Jeśli można, wrócę jeszcze później do natury waszych siedlisk, teraz jednak interesuje mnie inny problem. Ucieka pan ze swych Ginących Światów z jakichś sobie tylko znanych powodów, których nie zamierzamy dociekać. W porządku. Ale czemu wybrał pan taką niecodzienną metodę jak inwersja czasu?

— Nasze światy zostały dotknięte chorobą czasu. Nasz czas jest gąbczasty, zetlały i często się rwie. Odnajduję w waszych mózgach nazwę straszliwej choroby szalejącej niegdyś w waszych światach. A więc nasze światy toczy rak czasu.

— Rak czasu! — wykrzyknęliśmy niemal chórem. — Tak! Ta nazwa najlepiej oddaje istotę choroby czasu w Ginących Światach. Chcieliśmy wyrwać się z chorego czasu w jakikolwiek inny, przeszły lub przyszły, byle zdrowy. Skorzystaliśmy z tworzącego się właśnie kolapsaru, dokonaliśmy, zgodnie z zamierzeniem, inwersji, ale przyszłość nas odrzuciła.

— To smutne, mój drogi... Przepraszam, jak mam się do pana zwracać?

— Nazywajcie mnie Oanem, to imię najbardziej odpowiednie dla pańskiego języka.

— Wracając do tematu naszej rozmowy, postanowiliście w szóstkę uciec z waszego czasu i waszego społeczeństwa?

— Z czasu, ale nie ze społeczeństwa. Byliśmy wysłańcami odsuwaczy końca.

— Odsuwaczy końca?

— Tak, dobrze mnie pan zrozumiał. Odsuwacze końca — to nasi bracia, którzy wysłali nas na poszukiwanie dróg do zdrowego czasu. Naszymi wrogami są przyspieszacze końca, których zachwyca perspektywa rychłej zguby.

— Jeśli dobrze zrozumiałem, to między tymi dwoma grupami panuje niezgoda?...

— Wojna! — zabrzmiała odpowiedź. — Odsuwacze walczą z przyspieszaczami, żeby przeszkodzić im w przyspieszaniu, ci zaś napadają na odsuwaczy, żeby nie odsuwali końca. Przyspieszaczy popiera Ojciec Akumulator.

— Ojciec Akumulator? U nas to słowo oznacza urządzenie techniczne, nie zaś istotę żywą!

— Znalazłem je w waszych mózgach. Słowo to dobrze oddaje naturę władcy, dawcy życia i tyrana realizującego groźną wolę Okrutnych Bogów.

Romero popatrzył na mnie oszołomionym wzrokiem. Wiedziałem co go dręczy: nie jakieś tam spory cudacznych odsuwaczy z przyspieszaczami, lecz to, w jakiej formie toczyła się sama rozmowa. Zagniewała mnie ta jego rozterka, więc powiedziałem:

— Pawle, stara się pan być uprzejmy wobec tego pająka, wypytywać możliwie jak najdelikatniej, żeby nie urazić jego uczuć, a on śmieje się w kułak, bo zawczasu zna odpowiedzi na pytania, o których jeszcze nawet nie zdążyliśmy pomyśleć.

Mówiłem to nie odrywając wzroku od Arana, który spokojnie unosił się w powietrzu, gestykulując jedynie słowo „gestykulacja” wydaje się tu najodpowiedniejsze — wężowłosami porastającymi jego głowę. Romero wspomniał mi potem, że podobne włosy miały dawno wymarłe gorgony. Sądzę, że koloryzował, bo chociaż dobrze znam ziemskie muzea zoologiczne, w żadnym z nich nie widziałem bodaj wizerunku gorgony.

Oan doskonale wiedział, o co mi chodzi, ale ani myślał spełniać moje życzenia. Romerowi nie pozostawało więc nic innego, jak kontynuować wypytywanie:

— Mamy zatem odsuwaczy i przyspieszaczy końca, dawcę życia i tyrana Ojca Akumulatora, wreszcie Okrutnych Bogów... Nie jestem pewien czy ziemskie określenie „Bóg” jest odpowiednie dla realnych istot z waszego świata. Nasi bogowie są tworami fantazji nie posiadającymi rzeczywistych odpowiedników. Rozumie mnie pan, szanowny Oanie?

— Tak. Pojęcie „bogowie” zaczerpnięte z pańskiego mózgu całkowicie odpowiada naturze samowładców Trzech Mglistych Słońc. Trzeba jedynie dodać epitet „okrutni” (słówko „epitet” zabrzmiało wyraźnie w moim mózgu), bowiem ci samowładcy są pozbawieni litości. Przyspieszacze są posłuszni nakazom Okrutnych Bogów, odsuwacze zbuntowali się przeciwko nim.

— Widział pan kiedykolwiek któregoś z Okrutnych Bogów? Wnoszę bowiem, że jest ich wielu?

— Tak. Jest ich wielu i mogą przybierać każdą postać. Okrutni Bogowie wiedzą o nas wszystko, ale nie pozwalają, abyśmy wiedzieli cokolwiek o Nich. Wasze słowa „szatański spryt” dokładnie wyrażają ich stosunek do nas. Są bogami zagłady, bogami-diabłami. Byliśmy niegdyś wielkim narodem, a teraz staliśmy się nędznym plemieniem, bo taka była Ich wola.

— Rozumie pan coś z tego, Eli? — zapytał Romero.

— Tylko jedno: istnieje potężna cywilizacja, która nie patyczkuje się z Aranami. Być może są to Ramirowie, których szukamy. W każdym razie wedle słów Oana cywilizacja ta nie przedstawia się w najlepszym świetle.

Romero wyczerpał swoje pytania i rozmowa stała się ogólna. Jedynie Włóczęga, Ellon i ja nie zadawaliśmy Oanowi żadnych pytań. Smok zawsze wolał słuchać i analizować, Ellon czuł się najwyraźniej urażony, że przestał być ośrodkiem powszechnego zainteresowania, co zaś do mnie, to wszystkie pytania, które mi się nasuwały, zadali już przede mną inni. dzięki czemu mogłem wytworzyć sobie obraz świata Aranów.

Pająkokształtni zamieszkiwali drugą planetę spośród dziewięciu obiegających Trzy Mgliste Słońca, najprawdopodobniej gwiazdę potrójną. N~ pozostałych ośmiu planetach układu życie się nie rozwinęło. Zachowały się podania o tym, że niegdyś Trzy Słońca były jasne i czyste, a sami Aranowie tworzyli potężny naród. Udało się im pokonać przyciąganie planetarne i wyruszyć w przestrzeń kosmiczną. Kunszt budowy statków galaktycznych został już dawno temu utracony i jeden tylko pojazd zachował się w grotach Ojca Akumulatora. Ten właśnie aparat porwali odsuwacze, kiedy postanowili spróbować ucieczki w przyszłość.

Przez wiele tysiącleci nikt nie słyszał o Okrutnych Bogach, aż pojawili sie nieoczekiwanie, zmącili Jasne Słońca, zasnuli duszącym pyłem planetę. Burze elektryczne zaczęły wysysać energię z ciał Aranów tak skutecznie, że po każdej nawałnicy powierzchnia globu pokrywała się tysiącami ich zwłok.

Aranowie próbowali walczyć, budować statki pochłaniające pył kosmiczny, które gromadziły rozproszoną materię, rosły i stopniowo przekształcały się w niewielkie planetki. Dwie takie sztuczne planety zbliżyły się do Trzech Mglistych Słońc i zaczęły spychać pył na te gwiazdy. Do tego momentu Aranowie zupełnie nie interesowali potężnych przybyszów. Teraz zaczęli działać. Statki-wymiatacze zostały zniszczone w stoczniach i w kosmosie, a gwiazdoloty, które zdążyły już przekształcić się w planety — wyrzucone poza granice układu. Teraz krążą gdzieś, pochłaniając napotkany po drodze pył i niszcząc niewielkie ciała kosmiczne, gdyż zostały skonstruowane w ten sposób, że jedynie stały dopływ materii utrzymuje te niby-istoty przy życiu.

— Jeden z tych kosmicznych drapieżców napadł na nas — zauważył Romero — ale go odrzuciliśmy.

— Lepiej byłoby, gdybyście go zniszczyli — powiedział Oan. — Taki statek po wyjściu spod kontroli może sprowadzić wiele nieszczęść.

Po zniszczeniu kosmicznych odkurzaczy uległy zagładzie również zwyczajne gwiazdoloty, które przed dalekimi rejsami akumulowały energię na niskiej orbicie wokół Trzech Słońc. Teraz eksplodował każdy statek, który tylko się do nich zbliżył. Kilka gwiazdolotów wyruszyło ku innym słońcom, ale wkrótce łączność z nimi się przerwała. Prawdopodobnie również zginęły.

Aranowie zrezygnowali z lotów kosmicznych, przypadli do ziemi i czekali, aż okrutni władcy, którzy tak niespodziewanie zjawili się w ich świecie, równie nagle go porzucą. Niestety, Okrutnym Bogom nie spodobał się miarowo płynący, prostoliniowy czas Aranów, zaczęli go więc skłębiać i wyginać, strzępić i rozdzielać na włókienka. Granice czasu przebiegały czasem przez ciało Arana, które zaczynało żyć równocześnie w przeszłości i przyszłości, starzeć się i młodnieć zarazem.

Świadomość nieuchronnego końca zrodziła wśród niezarażonych jeszcze rakiem czasu rozpaczliwy bunt przeciwko Okrutnym Bogom. Za późno. Na słabnącą, wymierającą społeczność Aranów spadły raz jeszcze nieokiełznane burze elektryczne. Dawniej pająkokształtni swobodnie pochłaniali energię elektryczną — jedyny ich pokarm, język i sposób myślenia — a teraz pokarmu było zbyt dużo, gdyż wyrzucała go z siebie nieustannie groźna Matka Błyskawic, zatapiając wszystko strumieniami energii.

Wtedy właśnie zrodził się ruch przyspieszaczy końca. Lepszy tragiczny koniec, niż tragedia nie mająca końca — takie było ich rozpaczliwe wyznanie wiary, której wyrazem stały się uroczyste samospalenia w elektrycznym ogniu czerpanym z zasobów Ojca Akumulatora, jedynego źródła energii na planecie. Dawca życia zamienił się w kata.

— Odsuwacze są w naszym świecie nieliczni — zakończył Oan. — Wierzymy jednak, że koniec można odwlec. Dlatego wykradliśmy gwiazdolot i postanowiliśmy sprawdzić, czy możliwy jest powrót do przeszłości okrężną drogą, przez przyszłość. Chcieliśmy zamknąć pierścień czasu, ale przyszłość nas odrzuciła. Nie wiem kim jesteście, przybysze, ale jesteście szlachetni, czytam to w komórkach waszych mózgów. Pomóżcie nieszczęśliwym, wyzwólcie spod panowania Okrutnych Bogów!

Tym dramatycznym apelem Oan zakończył swą przemowę. Później dowiedzieliśmy się, że wyczerpał swój zapas energii, którego uzupełnienie w wewnętrznym akumulatorze wymaga sporo czasu. Wówczas zaś pomyśleliśmy po prostu, że zmęczyła go nasza indagacja, więc umieściliśmy go w izolowanym pomieszczeniu laboratorium EIlona.

Dobrze się zresztą złożyło, gdyż należało się naradzić bez jego obecności, bez obecności istoty, która swobodnie czyta nawet najbardziej ukryte myśli.

— Ellonie — powiedziałem — czy nie można wyposażyć nas wszystkich w ekrany nieprzenikliwe dla myśli? Telepatyczne zdolności Oana trochę mnie niepokoją, tym bardziej że jego opowieść wydaje mi się niespójna. Prymitywne zabobony jakoś mi się nie wiążą z obrazem wysokiej cywilizacji, jaka rzekomo miała istnieć w Układzie Trzech Mglistych Słońc. A może źle Oana zrozumiałem, może ty w swoim rodzimym języku nie usłyszałeś nic na temat Okrutnych Bogów, groźnego Ojca Akumulatora i krwiożerczej Matki Błyskawic?

— Nie sądzę, żeby taki ekran się udał, admirale pokręcił głową Demiurg — a poza tym uważam, że laboratorium nie powinno się zajmować podobnymi głupstwami, kiedy nie ukończyliśmy jeszcze prac nad instalacjami obronnymi przeciwko niespodziewanemu atakowi fotonowemu i rotonowemu, kiedy mechanizmy ślimaka grawitacyjnego wymagają pewnych udoskonaleń. Mnie też Aran niezbyt się podoba, ale mogę poradzić tylko jedno: proszę kontrolować swoje myśli! To, co nie przeniknie do mózgu, tego kosmiczny pająk nie zdoła odczytać. To przecież takie łatwe, admirale!

To wcale nie było takie łatwe, jak to sobie wyobrażał Ellon. Nie wdawałem się jednak z nim w dyskusję, bo Demiurgowie w ogóle są uparci, a Ellon nawet wśród nich wyróżniał się uporem. Po prostu nie potrafiłby zrobić tego, czego zrobić nie chciał, bo wydawało mu się to niepotrzebne. Wstałem.

— Chwileczkę, admirale — powiedział Ellon. Zadawałeś mi pytania, teraz więc ja cię o coś zapytam. Gwiezdny pająk poprosił o pomoc. Czy mu jej udzielimy? — Czyżbyś był temu przeciwny, Ellonie?

— Przeciwny nie jestem, ale mam wątpliwości. Nie jestem pewien, czy należy okazywać pomoc każdemu, kto o nią poprosi. Ja osobiście najpierw bym sprawdził, czy ten ktoś na pomoc zasługuje.

— Obawiam się, że załogi statków nie podzielą twoich wątpliwości — odparłem sucho. — Mówię w pierwszym rzędzie o ludziach, ale nie tylko o nich. Uważamy za swój święty obowiązek pomagać tym, którzy proszą o pomoc. Dziwi cię takie stanowisko ludzi?

— Dziwi. Jesteście niesłychanie elastyczni, jeśli chodzi o podporządkowanie sobie sił natury. Jesteście bardzo wszechstronni jako inżynierowie i konstruktorzy, ale sztywniejecie natychmiast, gdy tylko bodaj muśniecie jakąkolwiek sprawę mającą aspekt moralny. Wasza moralność jest prostolinijna i nie uznaje jakichkolwiek odstępstw i kompromisów. Dlatego sami sobie komplikujecie stosunki z innymi cywilizacjami.

— Chlubimy się tym, że nie szukamy łatwych dróg, Ellonie! Powiadasz, że jesteśmy sztywni i prostolinijni w kwestiach moralności. Masz rację, szanowny Ellonie, ale my jesteśmy z tego dumni.

Poszedłem do siebie i tam dowiedziałem się, że Oleg postanowił zwołać ogólne zebranie załóg wszystkich gwiazdolotów, aby przedyskutować z nimi informacje uzyskane od Oana. Oczywiście chodziło o zebranie stereowizyjne. Zagaił je następująco:

— Naturalnie nikt z nas zapewne nie wierzy w istnienie jakichś sił nadprzyrodzonych, gdyż nawet pogwałcenie praw natury okazuje się w rezultacie działaniem praw natury wyższego rzędu. Zatem określenie „Okrutni Bogowie” musi być jedynie symbolem oznaczającym, że w światku Trzech Mglistych Słońc zagnieździły się istoty potężne, lecz wyzute z dobroci. Potęga ich jest wielka, ale nie przewyższy potęgi natury, która, jak na razie, sprzyja nam. Aranowie błagają o pomoc. Jestem zdania, że należy jej udzielić. I jeśli przyjdzie zetrzeć się z nieznaną złą cywilizacją, nie będziemy tego starcia unikać. Sądzę, że wyjdziemy z niego zwycięsko, bowiem słuszność jest po naszej stronie!

Dziś, kiedy nikt nie wie, czy zdołamy się uratować, postępowanie moje może wydać się lekkomyślne, gdyż całym sercem poparłem Olega, a w rozpętanej również i przeze mnie wojnie ponosimy jak dotąd same klęski. Tłumaczy nas jedynie to, że nie mieliśmy pojęcia, na jaką potęgę się porywamy. Ale nawet teraz, znając przebieg dalszych wydarzeń, nie żałuję decyzji, którą na tej naradzie jednomyślnie podjęliśmy. Proszono nas o pomoc, więc nie mogliśmy jej odmówić. Jeśli moje słowa dotrą kiedykolwiek na Ziemię, niechaj ludzie się dowiedzą, że — powtarzam to raz jeszcze! — niczego nie żałujemy. Po prostu okazaliśmy się niedostatecznie uzbrojeni. Ręce nasze są słabe, ale dusze czyste. Przestrzeń ma trzy wymiary, ale moralność tylko jeden. Oto mój testament: raczej śmierć niż zgoda na podłość!

4

Romero nazwał planetę pająkokształtnych Aranią. W przeciwieństwie do naszego historiografa słowotwórstwo mnie nie pasjonowało, interesowało mnie raczej czego Aranowie konkretnie potrzebują i jak im pomóc. Jak postąpić? Zjawić się otwarcie, czy też raczej działać z ukrycia?

Oan rozwiał moje wątpliwości.

— Nie możecie wylądować jako jawni dobroczyńcy, bo naród Aranów jest rozdarty wewnętrznie. Przyjaciele odsuwaczy staną się wrogami przyspieszaczy. Musicie się zatem zamaskować. Przybieżcie postać Aranów. Okrutni Bogowie zstępują do nas w naszej cielesnej powłoce. Weźcie więc przykład z nich.

Ja nie byłem pewien, czy nasze możliwości sięgają aż tak daleko, ale Ellon uspokoił mnie, że wystarczą tu odpowiednie skafandry, które bez trudu sporządzi. Jedynie smok będzie musiał zrezygnować z wyprawy jako zbyt wielki.

— Zresztą — dodał Demiurg — jeśli komuś nie odpowiada postać pająka, zawsze może stać się niewidzialny, bo ostatnie modele ekranów są prawie niezawodne. Inna rzecz, iż ludzie mogą bez szkody dla zdrowia pozostawać w niewidzialności stosunkowo niedługo.

Żaden z nas nie miał ochoty na to rozwiązanie, zwłaszcza że Ellon niezbyt dokładnie orientował się, co w istocie może być dla człowieka bezpieczne, a co szkodliwe.

Eskadra gwiazdolotów weszła do Ginących Światów.

Lecieliśmy ku dużej gwieździe, rozbłyskującej i przygasającej na przemian. To właśnie były Trzy Mgliste Słońca. Oleg rozkazał eskadrze utworzyć ciasny szyk i wyhamować. Teraz staliśmy się grupowym satelitą planety, z której uciekł Oan, przezornie zachowując dość wysoką orbitę. Nie wiem, jak Okrutni Bogowie, ale nieszczęśni Aranowie nie mogli z pewnością wykryć nas z takiej odległości nawet z pomocą silnych przyrządów optycznych.

Przed lądowaniem zaszedłem do Włóczęgi, który mieszkał w przestronnym pomieszczeniu, które i tak dla niego było zbyt ciasne — w specjalnie zaprojektowanej stajni dla pegazów. Pegazów mimo usilnych nalegań Lusina na wyprawę nie zabraliśmy i dzięki temu smok miał na statku własny kąt.

U Włóczęgi siedział Lusin z Mizarem. Mizar, piękny owczarek, owczarz, jak z czułością nazywał go Lusin (Romero wielokrotnie zwracał mu uwagę, że owczarzem nazywano niegdyś nie psa, lecz człowieka zajmującego się hodowlą owiec, na co Lusin replikował, że każdy starożytny owczarz ustępował znacznie Mizarowi pod względem intelektualnym), był jedynym zwierzęciem, jakie zabraliśmy ze sobą, jeśli słowo „zwierzę” w ogóle dawało się zastosować do tej mądrej istoty, dla której arytmetyka nie miała tajemnic, a studiowanie fizyki i chemii było ulubioną rozrywką.

Przysiadłem na smoczej łapie i pogłaskałem wspaniałego psa.

Owczarek byt ogromny, wyższy ode mnie, gdy stawał na tylnych łapach, tak potężnych, że jednym ciosem mógł powalić każdego człowieka. Nigdy oczywiście tego nie robił, ale Demiurgowie woleli omijać go z daleka, bo nie przepadał za byłymi Niszczycielami i z żadnym z nich się nie przyjaźnił.

Mizar nosił na szyi elegancką pomarańczową opaskę, jego indywidualny deszyfrator był tak doskonale zestrojony przez Lusina, że psia mowa brzmiała w naszych mózgach zupełnie jak ludzka, Mizar zresztą doskonale rozumiał ludzi nawet bez deszyfratora.

— Włóczęgo, będziesz musiał pozostać na statku, bo na pająkokształtnego nie dasz się przerobić. Mizara też nie weźmiemy.

— Niesłusznie, admirale Eli — warknął Mizar, który podobnie jak wszystkie psy doskonale orientował się w ludzkich rangach. — Nie jestem pewien czy mechanizmy potrafią obronić pana tak skutecznie, jakbym to mógł zrobić ja.

— Postaramy się unikać niebezpiecznych sytuacji, Mizarze. A propos, rozmawialiście z Trubem i Gigiem? — Skafandry — odparł Lusin z westchnieniem nie podobają się. Są obrażeni. Obaj. — A jak twój skafander?

— Znakomity. Druga skóra.

— Porozmawiam z Aniołem i Demiurgiem, a jeśłi moje argumenty nie poskutkują, będę musiał ich obu zostawić na statku.

Zbiórkę eksploratorów wyznaczyłem w śluzie lądowiska, gdzie na każdego czekał już skafander maskujący. Mój był tak znakomity, że po włożeniu poczułem się tak, jakbym znalazł się w nowym ciele. Reszta skafandrów była niegorsza, ale mimo moich nalegań Trub i Gig kategorycznie odmówili ich użycia.

— Anioły gardzą pająkami — wykrzyknął Trub, dumnie krzyżując na piersi nieco już wyleniałe skrzydła i żaden z nich nigdy nie upodobni się do jakiegoś tam owada!

Dziarski Gig też za nic na świecie nie chciał rozstać się ze swoim mundurem. Zresztą doskonale ich obu rozumiałem i po chwili wahania pozwoliłem im lecieć.

Wylądowaliśmy na szczycie wzgórza. Z pewnej odległości Arania wydawała się pokryta w całości oceanem cieczy tylko odrobinę lżejszej, jak się potem okazało, od rtęci. Po jej powierzchni ślizgały się jakieś migotliwe ciała. Oan poradził nam trzymać się z dala od oceanu, wielkiego drapieżnika zamieszkałego w dodatku przez pomniejszych drapieżców, atakujących pospołu nieliczne lądy i wszystko co na nich żyło.

— Wasze skafandry sporządzone są z substancji nieznanych na mojej planecie, a zatem prawie na pewno nie grozi wam napad morskich drapieżników — pocieszył nas na koniec Aran.

Wybraliśmy na miejsce lądowania nocną stronę globu. Opodal leżało główne miasto planety. Oan pierwszy wyszedł na zewnątrz i zawołał nas.

Dokoła panował mrok, zupełnie nie przypominający naszych nocnych ciemności. Ziemia blado świeciła, niedaleki ocean lśnił, niewielki lasek fosforyzował bladym fioletem, zewsząd tryskały niebieskawe iskierki, a każdemu naszemu krokowi towarzyszyły pomarańczowe wyładowania między stopami pajęczych nóg skafandrów a powierzchnią gruntu. Wszystko tu było przesycone elektrycznością, wszystko świeciło się, lśniło, błyszczało i jarzyło. My też zaświeciliśmy się po zejściu na grunt planety. Romero żartował potem, że nasze indywidualne barwy zależały nie od konstrukcji skafandra, lecz od rangi jego posiadacza: ja lśniłem admiralskim błękitem, Orlan i Gracjusz — szlachetnym oranżem, Irena i Mary — pokornym fioletem, Lusin — pokorną żółcią, Romero — ostrożną zielenią i wreszcie Oan — groźną purpurą.

Nie świeciło tylko niebo. Panowała tam prawdziwa ciemność, której nie zakłócały nawet rzadkie gwiazdy, tlące się czerwonawo wśród gęstych kłębów kosmicznego pyłu.

Oan ruszył ostrożnie w stronę fioletowego lasku, a my równie ostrożnie podążyliśmy za nim. W zaroślach Oan się zatrzymał.

— Eli — powiedział — czuję wyładowania Iao, odsuwacza, który dziś pełni dyżur ostrzegawczy. Ustaliliśmy takie dyżury, żeby uniknąć niespodziewanego ataku przyspieszaczy. Powiem mu, że jesteście odsuwaczami z drugiej strony planety, nową grupą naszych zwolenników.

Spotkanie nastąpiło po niespełna trzech minutach. Jeszcze na „Koziorożcu” umówiłem się z Oanem, że będzie mi telepatycznie przekazywał swoje rozmowy ze współbraćmi. Dotrzymał słowa. W moim mózgu zabrzmiał ostry, bulgocący głos:

— Zatrzymaj się, ty, który się skradasz! Wymień swoje imię i powiedz jak mnie zowią!

— Jestem Oan, a ty jesteś Iao — usłyszeliśmy odpowiedź.

— Jestem Iao, masz rację Oanie. Cieszę się, że nie zginąłeś. Rozświetl się, żebym mógł cię zobaczyć. Tak, jesteś Oanem. Rad jestem widzieć cię żywym, wielki Oanie, bliski przyjacielu wielkiego Oora. Ale gdzie są twoi towarzysze? Coś uczynił ze swymi wielkimi współbraćmi w ucieczce do innego czasu, Oanie?

— Wszyscy zginęli, Iao. Zamelduję o tym Oorowi i wspólnocie, a teraz mnie przepuść.

— Nie jesteś sam? Co to znaczy, Oanie?

— Są ze mną nowi wyznawcy odsuwania, nasi przyjaciele z drugiej strony planety. Przywiodłem ich, aby dostąpili zaszczytu wysłuchania nauk wielkiego Oora, bo niczego tak nie pragną, jak walki z przyspieszaczami.

— Dostąpią szczęścia obcowania z wielkim Oorem. Dane też im będzie walczyć z obmierzłymi przyspieszaczami, umożliwimy im to, Oanie. Niechaj się rozświetlą. Dzielne chłopy! Dobrze zrobiłeś, Oanie, że ich tu przywiodłeś. Już jutro będą mogli czynem dowieść swojego zapału!

— Stało się coś ważnego?

— Przyspieszacze znowu chwytali wszystkich, którzy się im nawinęli w porze Ciemnych Słońc. Samospalenie wyznaczyli na jutrzejszy wieczór. Postaramy się odbić nieszczęśników. Idź, Oanie. Zazdroszczę tobie i twoim przyjaciołom, albowiem usłyszycie natchnione słowa Oora, największego z wielkich. Idź śmiało, bo nie ma tu przyspieszaczy.

Oan nieco przyspieszył kroku, my zaś poszliśmy za jego przykładem. Wkrótce znaleźliśmy się w obszernej jaskini rozświetlonej blaskiem ścian, w której mrowili się Aranowie. Było ich tak wielu, że tworzyli jakby jedno migotliwe ciało pokrywające szczelnie całą posadzkę groty. Wniknęliśmy w to ciało, stając się jego częścią, roztopiliśmy się w nim. Nikt nie zwrócił na nas najmniejszej uwagi, nikogo nie zainteresowaliśmy, gdyż byliśmy tacy sami jak wszyscy, stanowiliśmy komórki tego samego organizmu pulsującego w jednym rytmie.

— Oor! — powiedział dobitnie Oan. Żaden z Aranów nie zareagował, gdyż głos Oana dotarł tylko do nas. Pośrodku jaskini jeden z pająkokształtnych upadł na plecy i wyciągnął do góry wyprężone nogi. Na ten dwunastonogi piedestał wgramolił się inny Aran, zachybotał się, znieruchomiał i rozjarzył się zmiennymi barwami. Przemawiał, a jego słowa tłumaczone przez Oana wyraźnie rozbrzmiewały w naszych mózgach. To był Oor, Naczelny Odsuwacz Końca.

— Eli, to potworne! Te pająki potępiają zgubę, gdyż ideałem ich jest wegetacja! Bezmyślna, ale beztroska wegetacja — szepnął zdumiony Lusin. Szepnął oczywiście w myśli, gdyż głośno nie zdołałby wypowiedzieć takiego składnego zdania nawet przez miesiąc.

— Pająkokształtny kosmiczny Eklezjasta! — wykrzyknął niezrozumiale Romero.

Z początku Oor apelował o uratowanie tych, którzy mieli jutro zginąć i z nienawiścią atakował przyspieszaczy końca, jako bezmyślnych wrogów wszystkiego co żywe, potem zaś zaczął górnolotnie sławić bytowanie na planecie. Filozofia nie jest moją najmocniejszą stroną, ale zgodziłem się z Lusinem, że światopogląd odsuwaczy sprowadzał się do pochwały istnienia w imię samego istnienia, byle jakiego, nędznego, pełnego cierpień i pozbawionego wyższych radości, ale istnienia.

— Najważniejsze w życiu jest samo życie! — wieszczył Oor. — A zatem żyjcie, istniejcie nawet w pohańbieniu! Żyjcie wbrew woli Okrutnych Bogów! Odrzućcie mrzonki o życiu godziwym za cenę niepotrzebnych ofiar! Bytujcie wbrew wszystkiemu! Matko Błyskawic, smagaj nas swymi ognistymi biczami! Siecz i katuj! Wytrzymamy i to, albowiem byt fizyczny to wszystko!

— Jakaż to straszliwa filozofia, Eli! — znów szepnął Lusin.

— Oor mówi zupełnie coś innego niż ty nam opowiedziałeś o odsuwaczach końca — zwróciłem się w myśli do Oana.

— Naczelny Odsuwacz — odparł mi Oan z mózgu do mózgu — przekonuje swoich zwolenników o bezsensie rychłego końca. To najpilniejsze z naszych zadań. Kolejnym jest znalezienie rozumnego wyjścia z dzisiejszej beznadziejności. Zauważ, że Oor ani razu nie powiedział, że upodlająca wegetacja ma trwać wiecznie. Twierdził tylko, że jest ona jedynym wyjściem dla obecnego pokolenia. Wielu z Aranów to rozumie, ale nie wszyscy dostąpili wyższego wtajemniczenia.

Odpowiedź była dość mętna, ale zrezygnowałem z dalszych indagacji, bo w jaskini zaczęła się rozgrywać nowa scena. Po zakończeniu swej oracji, którą tłum skwitował gromkim „Istnieć! Bytować!”, Oor powiedział uroczyście:

— A teraz, o najnędzniejszy z nędznych, teraz, bracia moi, przystąpimy do nawracania na prawdziwą wiarę naszego jeńca, żałosnego i zbrodniczego samopaleńca!

— Ukarać! — zawył tłum. — Poniżyć przez wywyższenie! Ukarać!

W powietrze wzleciał jeden z Aranów, przerzucany jak piłka z kąta w kąt jaskini, aż w końcu umieszczony obok Oora na jeszcze jednym żywym piedestale. Jeniec drżał na całym ciele i w rytm tych drgawek rozjarzał się pulsującym światłem.

Oor rozpoczął uroczyste przesłuchanie przyspieszacza:

— Uulu, czy zaplanowaliście?

— Tak, wielki Oorze, zaplanowaliśmy.

— Samospalenie?

— Tak, wielki Oorze, samospalenie.

— Publiczne?

— Tak, wielki Oorze, publiczne.

— Jutro, w porze Ciemnych Słońc?

— Jutro, w porze Mglistych Słońc.

— Ciemnych czy Mglistych? Mów prawdę, godzien pogardy Uulu.

— Mglistych Słońc, wielki Oorze, Mglistych! Nie odważyłbym się okłamywać Ciebie, wielki Oorze!

— Zdolny jesteś, przebrzydły przyspieszaczu końca, zataić dokładny termin, abyśmy nie zjawili się na wasze wstrętne bachanalie (znaczenie tego słowa wytłumaczył mi później Romero).

— Rad jestem podać dokładny czas, abyś i ty, wielki Oorze, mógł przybyć na naszą cudowną uroczystość.

— Ilu nieszczęśników zamierzacie jutro okrutnie ukarać?

— Stu trzech wybrańców losu dostąpi jutro najwyższej radości.

— Stu trzech oddanych na pastwę zniszczenia? Nie kłamiesz, godzien najwyższej pogardy potworze?

— Stu trzech pragnących zachwycającej śmierci, stu trzech rozkoszujących się myślą o rychłym końcu! Nie kłamię, o największy z wielkich!

— Ale ty, najgorszy z najgorszych, nie zamierzałeś znaleźć się w gronie triumfujących skazańców? Odmówiłeś sobie rozkoszy niebytu? Czy nie dlatego, wstrętny Uulu, że zrozumiałeś marność rzekomej rozkoszy unicestwienia?

— Nie, szacowny Oorze, ja najbardziej ze wszystkich wierzę w radość samozagłady, ale na razie mi jej odmówiono. Jeszcze nie zasłużyłem na nagrodę. Muszę przedtem zaprowadzić na cudowny stos trzydziestu wybrańców, aby dana mi była łaska własnej śmierci. Mam stopień łapacza drugiego stopnia, mądry Oorze, ulubiony synu Ojca Akumulatora i Matki Błyskawic!

Teraz Oor zwrócił się do obecnych:

— Co uczynić z tym godnym pogardy zbrodniarzem, którego pojmaliśmy, gdy po zbójecku oplątywał swymi wstrętnymi włosami naszego brata, biednego Iaala, aby zawlec go do ciemnicy skazańców?

— Ukarać! Ukarać! Ukarać!!! — zawył tłum.

Gdy wrzaski nieco ucichły, Najwyższy Odsuwacz Końca ogłosił surowy werdykt:

— Pragniesz śmierci, a zatem otrzymasz życie. Odprowadźcie Uula do lochu, gdzie nie dociera blask Trzech Mglistych Słońc, nie przenikają ładunki Ojca Akumulatora i gdzie nie słychać gromowego głosu Matki Błyskawic. Niechaj stanie się najniższym z niskich. Najnędzniejszym z nędznych, najgłodniejszym z głodnych i najgłupszym z głupich. I kiedy uraduje się ze swej niewoli, kiedy zachwyci go męka bytu, dopiero wówczas wynieście go na zewnątrz.

Jeńca wyprowadzono, Oor zeskoczył ze swego żywego piedestału, a tłum ruszył ławą ku wyjściu.

— Wracamy do planetolotu — powiedziałem do Oana.

Zapytał mnie czy nie pragniemy stanąć przed obliczem Naczelnego Odsuwacza Końca, aby przedstawić się i wyjaśnić, w jaki sposób możemy pomóc jego zwolennikom, ale ja nie miałem najmniejszej ochoty na znajomość z Oorem, a tym bardziej nie zamierzałem mu pomagać.

5

Gdy przepychaliśmy się przez tunel zatłoczony spieszącymi na zewnątrz pająkokształtnymi, Lusin szepnął do mnie w myśli:

— Cóż to za nieszczęsne istoty, Eli! Przy czym obie sekty są jednakowo nieszczęśliwe. Płakałem słuchając Oora i Uula. Jakież musieli znosić cierpienia, żeby wytworzyć taki potworny światopogląd!

— Oni wszyscy są szaleni! — powiedział Romero. — Trudne warunki bytowania zezwierzęciły ich, przekształciły w bestie. Nie wiem nawet, która z sekt, że użyję celnego określenia Lusina, jest bardziej bestialska.

— Dwa końce tego samego kija — zauważyłem. Naturalnie trzeba im pomóc, ale całemu narodowi, a nie którejś z sekt. Odsuwacze nie są wcale lepsi od przyspieszaczy. Nie dotknąłem cię tym stwierdzeniem, Oanie?

— Pomoc jest nam potrzebna jak energia Ojca Akumulatora — odparł Aran. — Jeśłi potraficie pomóc nam wszystkim, pomóżcie.

W planetolocie połączyliśmy się z eskadrą, której załoga była poinformowana o sytuacji na Aranii, gdyż Irena nieustannie przekazywała na statki wszystko co widzieliśmy i co tłumaczył Oan. Wszyscy byli zgodni ze mną: Aranom należy pomóc, ale bez wplątywania się w walkę po stronie jednej z sekt.

— Proszę pamiętać, Eli — powiedział na koniec Oleg — że prawie nic nie wiem o naturze Ojca Akumulatora i Matki Błyskawic, a wygląda na to, iż odgrywają oni w całej tej sprawie niezwykle ważną rołę. Uważamy, że w pierwszym rzędzie należy wyzwolić jutrzejsze ofiary i nie dopuścić do samospalenia.

— To rozkaz? — zapytałem. — Nie, rada.

Zamyśliłem się. Dopiero przed chwilą postanowiliśmy nie popierać żadnej ze stron w konflikcie, lecz starać się ulżyć losowi całego narodu, a teraz mamy udzielić bezpośredniej pomocy odsuwaczom. Jak to ze sobą pogodzić?

— Oanie — zapytałem po dłuższej chwili — twoi współwyznawcy zamierzają jutro uratować skazańców... Czy im to się uda?

— Nie — odparł Aran. — Już wielokrotnie podejmowaliśmy takie próby, zawsze jednak kończyły się one niepowodzeniem. Jutrzejszy atak jest po prostu aktem rozpaczy.

Znów się zamyśliłem, choć takie wyjaśnienie każdego człowieka musiało zmobilizować do natychmiastowego działania. Mary powiedziała ze zdziwieniem:

— Eli, czyżbyś stchórzył? To przecież do ciebie zupełnie niepodobne!

— Brak zdecydowania też nigdy nie należał do cech pańskiego charakteru, drogi admirale! — dodał Romero. — Będziemy działać zgodnie z sytuacją — zdecydowałem, jeśli to można było w ogóle nazwać decyzją. W każdym razie nie pozwolimy, aby na naszych oczach ginęły niewinne istoty.

Dobiegł mnie głos przysłuchującego się rozmowie Kamagina:

— Nasze statki zawsze gotowe są pospieszyć wam z pomocą. Jeśli dowódca pozwoli, podprowadzę swojego „Węża” na bezpośrednią odległość do planety.

Oleg pozwolił mu wyprowadzić gwiazdolot z szyku eskadry.

— Ciesz się — powiedziałem do Lusina. — Wszystko będzie tak jak pragnąłeś.

— Będę się cieszył jutro, kiedy własnymi rękami uwolnię skazanych z szafotu! — wykrzyknął Lusin z niezwykłą u niego elokwencją.

Gdyby wiedział, co mu przyniesie jutro! Rozeszliśmy się do kabin, gdzie zdjęliśmy maskujące skafandry, tylko Oan pozostał na zewnątrz. Był u siebie.

Noc minęła, nastąpił mętny ranek. W ciemności Arania była tajemnicza i może nawet na swój sposób piękna. W świetle dnia ujrzeliśmy natomiast tylko ponure, brzydkie rumowiska kamieni i ocean wypluwający na poszarpany brzeg zwały przetrawionego przez siebie mułu. Założyliśmy skafandry, automaty zaryglowały włazy planetolotu i otoczyły go ochronnym polem siłowym, my zaś zwartą grupą pobiegliśmy przez lasek w kierunku miasta.

Miasta właściwie nie było. Był tylko łańcuch pagórków ze zboczami podziurawionymi wejściami do jaskiń, w których gnieździli się Aranowie. Pod ziemią mieściły się również fabryki czy warsztaty i rozległe sale pełniące rolę placów publicznych, na których odbywały się nocne wiece. Między wzgórzami wiły się gruntowe drogi, tak jednak ubite i wygładzone, że stały się twardsze od najlepszych ziemskich asfaltowych szos starożytności. Z wylotów jaskiń wypełzali niezliczeni pająkokształtni i żwawo pędzili do rozległej doliny między czterema miejskimi wzgórzami na rynek stołecznego miasta Aranii. Dołączyliśmy do tego potoku.

Na rynku wznosił się szafot do złudzenia przypominający starożytne ziemskie piece elektryczne.

— Za chwilę pojawi się grupa idących ku końcowi nadał Oan, kiedy zatrzymaliśmy się opodal szafotu. — Przyjdzie pod konwojem strażników końca, zwyczajnych przyspieszaczy, tyle że silniej naładowanych energią elektryczną. Przyspieszacze obsadzili każde dojście do Ojca Akumulatora i dlatego ich strażnicy są lepiej uzbrojeni od naszych ostrzegaczy, a co za tym idzie nigdy nie udaje się nam ich zwyciężyć. Kto cieszy się łaską Ojca Akumulatora, ten włada.

Skazańcy nie pokazywali się, a tymczasem naszą uwagę zwrócił Aran wznoszący się nad pozostałym tłumem na dwupiętrowym żywym piedestale, utworzonym z czterech pająkokształtnych.

— Uoch, Naczelny Przyspieszacz Końca, Wielki Realizator — powiedział ze wstrętem Oan. — Gdybyście usunęli tego pajaca, którego wielbią wszyscy przyspieszacze, walka z nimi stałaby się o wiele łatwiejsza.

Uoch, rozparty wygodnie na swym piedestale, wykrzyknął zgrzytliwie:

— Chwała niechaj będzie Okrutnym Bogom! Czyńmy Koniec!

W odpowiedzi rozległ się ogłuszający ryk:

— Czyńmy! Niechaj Okrutni Bogowie będą pochwaleni!

Z jaskini znajdującej się pod szczytem wzgórza za plecami Naczelnego Przyspieszacza wyłoniła się kolumna czyniących Koniec. Skazańcy szli czwórkami w asyście uwijających się po bokach konwojentów. Głowa każdego ze strażników przypominała płonące ognisko tryskające iskrami, tak bardzo ich ciała były przeładowane elektrycznością. Tłum zatrząsł się z entuzjazmu. Rozległy się gromkie, chóralne krzyki:

— Czyńmy Koniec! Czyńmy Koniec!

Kiedy kolumna skazanych znalazła się już na poziomie dna kotliny, z jaskiń pobliskiego wzgórza wytrysnął nagle snop iskier i oddział odsuwaczy runął na konwój. Strażnicy wściekle odpierali ataki, tłum ruszył na pomoc swoim. Wkrótce było po wszystkim. Kolumna skazanych, znacznie teraz liczniejsza, bo znaleźli się w niej pokonani odsuwacze, znów ruszyła w stronę szafotu. Zresztą wielu odsuwaczy uciekło.

Naczelny przyspieszacz znów zakrzyknął:

— Czyńmy Koniec na chwałę Okrutnych Bogów! Patrzyłem na to wszystko jak sparaliżowany i nie potrafiłem podjąć żadnej decyzji, a tymczasem tłum szalał:

— Czyńmy Koniec! Czyńmy Koniec!

— Na chwałę Ojca! Dla przebłagania Matki! Niechaj uśmierzy swój gniew!

— Niechaj się zmiłuje!

Uoch uniósł swe włosy i splótł je nad głową. Strażnicy chwycili jednego ze skazanych i wrzucili go do pieca. Teraz już wiemy, że czyniący Koniec zwarł swym ciałem dwie elektrody pod wysokim napięciem. A wówczas usłyszeliśmy odgłos eksplozji i ujrzeliśmy błysk wyładowania. Nad placem przetoczył się ciężki grzmot, który utonął w ryku tłumu. Posypał się na nas gorący popiół, miałki jak mąka proch spopielonej istoty!

— On był żywy, Eli! On przecież był żywy! — jęknął Lusin.

Uoch powtórnie splótł włosy nad głową i druga ofiara zniknęła w gardzieli pieca. Wówczas już Lusinowi nerwy odmówiły posłuszeństwa.

— Eli, czynisz nas wspólnikami zbrodni! Jeśli się nie wtrącisz, zrobię to sam. Sam jeden. Zbuntuję się, Eli! Zdecydowałem się błyskawicznie. Trzeba zniszczyć szafot, żeby już nie było dalszych ofiar, ale zanim zdołałem wydać rozkaz, Oan wykrzyknął z przerażeniem:

— Nie rób tego! Kiedy zniszczysz szafot, wówczas wszyscy Aranowie zginą!

— Unieszkodliwić straż! — krzyknąłem, nie pytając nawet, dlaczego nie wolno niszczyć pieca, i rzuciłem się ku Naczelnemu Przyspieszaczowi Końca.

Lusin pomknął z taką szybkością, że wyprzedził mnie o dobre dziesięć skoków. Staranował żywy piedestał i Uoch poleciał w dół. Lusin zadał mu taki cios, że Naczelny Przyspieszacz z przenikliwym piskiem znów uniósł się w powietrze. Na Lusina rzucił się dobry tuzin strażników. Setki błyskawic wbiły się w jego ciało, otaczając je płomienistą aureolą.

— Pole! — krzyknąłem!.

— Pole! — zawtórował mi Romero, i Lusin, którego zaskoczył wściekły atak Aranów, dopiero teraz wywołał pole ochronne.

Reszta rozegrała się w ułamku senkundy. Nasi inżynierowie niestety zbyt dobrze znali się na swoim fachu, by sporządzone przez nich skafandry nie miały się oprzeć słabym w gruncie rzeczy wężowłosom Aranów. Ale Lusin miał jeszcze w pamięci zaciekłe walki z głowookami i ponaglany przez nas uruchomił z maksymalną mocą swe pole ochronne. Gdy jednak zobaczył, jakie spustoszenie wywołało ono wśród goryli Uocha, zdjęło go przerażenie. Nie zastanawiał się, nie tracił czasu na powolne osłabianie pola, tylko gwałtownie je wyłączył. I natychmiast, niestety, padł ofiarą swego humanitaryzmu.

Jeden ze strażników, który jakimś cudem przeżył uderzenie pola, szarpnął swoje wężowłosy zaplątane w skafander Lusina, stracił równowagę i pociągając za sobą naszego biednego przyjaciela zwalił się w dół. Stali obaj na krawędzi szafotu i spadli teraz w gardziel pieca pomiędzy dwie śmiercionośne elektrody. Znów buchnął płomień, zgaszony jednak natychmiast powracającym automatycznie polem ochronnym. My również, Romero, ja oraz biegnący tuż za nami Demiurg i Galakt, zogniskowaliśmy tam nasze pola, ale było już za późno. Wśród poskręcanych eksplozją siłową odłamków piekielnego elektrycznego szafotu leżał rozłupany skafander, a w nim martwe ciało Lusina!

— Planeta zginęła! — krzyknął przerażony Oan. Zachwiałem się, lecz szybko odzyskałem przytomność, bo musiałem walczyć, zabijać, zetrzeć na pył wszystkich miotających się po placu pająkokształtnych. Do dziś nie rozumiem, w jaki sposób udało mi się stłumić rozpacz i nie dać ujścia wszechogarniającej wściekłości.

— Okrutni Bogowie! Okrutni Bogowie zstąpili z nieba! — wrzeszczeli Aranowie uciekając co sił w nogach. Zrzuciłem skafander. Irena i Mary również pozbyły się wstrętnego nam teraz odzienia. Usiłowały ożywić Lusina, a Romero pomagał im, chociaż wiedział, że najgorsze już się stało, że jest ono nieodwracalne. Ja zaś opadłem bez sił na ziemię i nie mogłem nawet wydać z siebie głosu, żeby wezwać pole sanitarne.

Zbliżyli się do mnie Gracjusz z Orlanem, którzy nie zdjęli dotąd maskujących skafandrów.

— To okropne nieszczęście! — powiedział Gracjusz. — Szczerze ci współczuję, Eli, ale może wydarzyć się coś jeszcze gorszego. Proszę cię, wysłuchaj Oana!

Dopiero teraz zorientowałem się, że Oan coś do mnie mówił.

— Czego chcesz? — zapytałem. — Czego ty jeszcze ode mnie chcesz?!

— Matka Błyskawic wpadła w gniew — dobiegł mnie jakby z oddali przerażony głos Oana. — Uciekajcie! Teraz wszyscy Aranowie zginą i wy wraz z nami, jeśli nie uciekniecie!

Jego, splecione ze sobą, wyprężone sztywno wężowłosy wskazywały na wschód, skąd nadchodziła noc, pędziły ogniste chmury, kłęby migotliwego płomienia i snopy iskier. Nadchodziła burza elektryczna o takiej sile, jakiej nie sposób sobie było wyobrazić.

— Włączyć indywidualne pola ochronne! — krzyknąłem i wywołałem Kamagina. Błogosławiłem los, że Oleg pozwolił mu zbliżyć się do planety. — Widzi pan, co się tutaj dzieje, Edwardzie?

— To potworne, Eli! — odpowiedział znękanym głosem Kamagin. — Widzieliśmy wszystko, ale niestety nie mogliśmy pomóc. Co mam teraz zrobić, admirale?

— Edwardzie, nad planetą rozszaleje się wkrótce elektryczny huragan. Podejrzewam, że groźna Matka Błyskawic, jak Aranowie nazywają swoją władczynię, zamierza rozszarpać swój naród na strzępy. Jej gniew wywołany jest chyba zniszczeniem elektrycznego szafotu. Trzeba jej pokazać, że ludzie są potężniejsi od Okrutnych Bogów!

— Zapewniam cię, admirale, że bez trudu uśmierzymy gniew groźnej mamusi! — zapewnił mnie Kamagin. — Zamiast tępić swoich synów zajmie się dzisiaj uzupełnieniem naszych zapasów substancji aktywnej.

Burza runęła na nas w jakieś trzy minuty po tej rozmowie. Nasze ziemskie burze, to zwały chmur, padający z nich deszcz i trochę słabych wyładowań atmosferycznych. Burza na Aranii, to potoki ognia spływającego na ziemię, gejzery błyskawic tryskających z ziemi ku chmurom, palisada błyskawic na szczytach wzgórz i dżungla wyładowań w dolinach. Gdybyśmy nie otoczyli się polami ochronnymi w mgnieniu oka pozostałaby z nas jedynie garstka popiołu. Romero osłonił swoim polem Oana, ale Aran nie znał jego wytrzymałości i dygotał z przerażenia oczekując nieuchronnej jego zdaniem zguby.

A potem wszystko zmieniło się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Kamagin potrzebował czterech minut na otwarcie zaworów ssących w zbiornikach substancji aktywnej i kiedy tego dokonał, błyskawice, jeszcze przed minutą bijące w ziemię, trysnęły w górę grzęznąc w trzewiach statku.

Na planecie zrobiło się zdumiewająco cicho. Po kwadransie chmury zaczęły rzednąć, rozpadać się na strzępy, gasnąć. I choć błyskawice już z ich nie tryskały, Kamagin nie zatrzymał pomp ssących, gdyż chciał maksymalnie napełnić zbiorniki substancji aktywnej.

— Teraz podmiotę trochę samą planetę — powiedział Kamagin, kiedy rozładował do końca chmury. Jest tak przesycona energią elektryczną, że nikt nie poniesie szkody, jeśli jeszcze trochę jej uszczkniemy. Uważam zresztą, że wyjdzie to Aranom na korzyść, bo ich pobudliwość i fanatyzm wynika prawdopodobnie z nadmiaru elektryczności.

— Jesteś zadowolony, Oanie? — zapytałem, kiedy Kamagin zamknął zawory ssące zbiorników.

— Pokonaliście straszliwą Matkę! — wykrzyknął Aran z bogobojnym podziwem. — Ach, jak wspaniale pokonaliście Matkę Błyskawic! Nasza straszliwa rodzicielka została pokonana!

6

Ciało Lusina umieściliśmy w konserwatorze, który zachowa je po wsze czasy w nienaruszonym stanie. Siedzę tu teraz, kiedy zwłoki naszego biednego przyjaciela są już jednymi z wielu, a być może i my, nieliczni pozostali przy życiu, też tu niebawem spoczniemy. Lusin zamknięty w przezroczystym sarkofagu wygląda jakby spał, gdyż Mary udało się przywrócić mu dawny wygląd. Ale nie patrzę na niego, tylko na tego, który leży naprzeciw. I rozmawiam głośno z tym drugim, bo nie mam nic do powiedzenia poległemu przyjacielowi, natomiast wiele martwemu wrogowi.

Wrócę jednak do wydarzeń na Aranii.

Gdy wróciliśmy na pokład gwiazdolotu, Trub, roztrącając ludzi, rzucił się na ciało Lusina i wykrzyknął rozpaczliwie:

— Mogłem pójść z wami i obronić mego przyjaciela! Nigdy sobie nie wybaczę, że nie poszedłem!

Gig powiedział do mnie z pełnym smutku wyrzutem:

— Admirale, ludzie nie mogą obyć się bez niewidzialnych. Zapewniam cię, że gdybyś nie zmuszał nas do zakładania tych idiotycznych skafandrów, osłoniłbym Lusina skuteczniej niż pole siłowe.

Pod naszą nieobecność odbyła się w eskadrze narada. Gig i Ellon byli zdania, że śmierć Lusina nie może pozostać nie pomszczona. Ale kogo karać? Aranów? Za co? Ostatecznie zdecydowano raz jeszcze, że nie powinniśmy wtrącać się do sporów przyspieszaczy z odsuwaczami, że należy po prostu oczyścić Układ Trzech Mętnych czy Mglistych Słońc (czasami używaliśmy tej pierwszej nazwy) z pyłu kosmicznego, co będzie stanowiło najlepszą pomoc dla wszystkich pająkokształtnych. Wprawdzie Arania oddali się wówczas nieco od gwiazdy potrójnej, lecz ta większa odległość zostanie skompensowana większą przezroczystością przestrzeni kosmicznej, co sprawi, że ilość promieniowania docierającego do planety się nie zmieni. Należy jednak uprzednio sprawdzić, jakie zjawiska czy istoty kryją się pod nazwami Ojca Akumulatora i Matki Błyskawic.

Zaczęliśmy przygotowywać się do powtórnej wyprawy na Aranię, gdy Oan nagle zaczął protestować przeciwko naszemu zamiarowi odwiedzenia Ojca Akumulatora. Zapytany o przyczyny, zamiast odpowiedzi wyemitował do mojego mózgu uczucie panicznego strachu. Ale ponieważ był to tylko jego strach, nadal wypytywałem go o powody tego lęku.

— Spokój Ojca jest dla Aranów święty — odparł niechętnie Oan.

— To znaczy, że Ojciec Akumulator karze każdego, kto ten spokój ośmieli się zakłócić?

— Nie, Ojciec źle się czuje, gdy ktoś odważy się przerwać jego święte odosobnienie.

— Rozregulowuje się? Przestaje działać?... A kto strzeże jego spokoju? Wasi Okrutni Bogowie?

— Okrutni Bogowie nie wtrącają się do spraw Ojca i Matki. Ojca ochrania gwardia strażników, z których każdy wybierany jest przez samego Uocha.

— Z najbardziej doborową gwardią poradzimy sobie bez trudu — zapewniłem go. — A teraz powiedz mi, czym jest Matka Błyskawic.

— Straszliwa Matka strzeże spokoju Ojca. — I to było wszystko czego zdołaliśmy dowiedzieć się od Oana. Wylądowaliśmy na starym miejscu w środku dnia.

Dokoła kręcili się Aranowie, ale żaden z nich nie zwracał na nas najmniejszej uwagi. Na miejskim rynku krzątała się grupa pająkokształtnych, odbudowujących pospiesznie zniszczony przez nasze pola ochronne szafot elektryczny. Nie przeszkadzaliśmy im w tym zajęciu, bo przyczyna zła tkwiła gdzie indziej.

Oan wspiął się na szczyt wzgórza i zatrzymał się przed wlotem do jaskini, nie różniącym się niczym od sąsiednich. — To tutaj — powiedział. — Ale pierwszy do środka nie wejdę.

— Idź w środku grupy — postanowiłem.

Na strażników natknęliśmy się już po paru krokach. To były rosłe pająki, nieulękłe i zdeterminowane, ale nawet ci wybrani z wybranych zmykali po chwili z taką szybkością, iż nie mogliśmy żadnego z nich dopędzić. Rzecz była nie tylko w tym, że Aranowie nie mogli się oprzeć naporowi naszych pól ochronnych. Ważniejsze było to, że nie znali ich natury. Nic więc dziwnego, że odepchnięci niewidzialną siłą, co sił w nogach rzucili się do ucieczki, wrzeszcząc jak niedawno tłum na rynku:

— Okrutni Bogowie! Okrutni Bogowie zstąpili z nieba!

Wewnętrzny rzut straży nie uwierzył widać w paniczne informacje pierwszej grupy, gdyż w jaskini, przez którą wiodła dalsza droga, rzuciła się na nas cała armia. Tu już musieliśmy skoncentrować nasze pola i po zakończonej potyczce na ziemi zostały ciała kilku szczególnie zaciekłych fanatyków.

Jaskinia miała cztery wejścia. Przez jedno wkroczyliśmy my, w dwa boczne umknęli pokonani strażnicy, a czwarte, na wprost nas, pozostało wolne. Wskazałem na nie jedną ze swoich licznych rąk:

— Tędy, Oanie?

— Tędy. Nikogo już nie napotkamy po drodze do komnat Ojca. Ten tunel jest dla wszystkich tabu.

Zakazana droga była długa. Biegła niskim korytarzem przechodzącym w łańcuch obszernych jaskiń i kończyła się w ogromnej grocie, tak wysokiej, że nawet promień silnego reflektora nie sięgał stropu. Całą grotę zajmowało jezioro gęstego płynu pokrytego twardą skorupą. Powierzchnia jeziora nieustannie falowała, a spod pękającej w różnych niejscach skorupy tryskały słupy płomieni rozpraszających się po chwili w zielonkawej, martwo fosforyzującej mgle. Czasami ku niewidzialnemu stropowi strzelały błyskawice, aby za moment powrócić w dół. Tak to przynajmniej wyglądało, chociaż te odbite błyskawice były po prostu przeciwbieżnymi wyładowaniami o odwrotnym znaku.

— Ojciec Akumulator zabija każdego, kto się doń zbliży — wyszeptał ze strachem Oan.

— Swoisty mechanizm wytwarzający energię elektryczną albo, jak mawiali starożytni, elektrownia stwierdził Romero.

— Elektrownia, tak — zauważył Gracjusz — ale nie mechaniczna. To jest żywy organizm. Przypomina mi naszą broń biologiczną, tyle że nie jest to gigantyczna kolonia bakterii jak u nas, lecz bez wątpienia istota rozumna.

Na wszelki wypadek poleciłem wzmocnić pola ochronne, chociaż nie sądziłem, aby to było potrzebne. Odniosłem nagle wrażenie, że jesteśmy przez kogoś życzliwie obserwowani. Oan utrzymywał, że Ojciec Akumulator śledzi każdy nasz ruch, słyszy każde słowo, odbiera każdą myśl. Być może miał rację.

— Ojciec was nie zabija! — wykrzyknął zdumiony Aran, gdy Irena pobrała do analizy próbkę substancji jeziora.

— Niech by tylko spróbował! — mruknąłem. Postaraj się nawiązać z nim kontakt — zwróciłem się do Ireny, a Oana zapytałem: — Ile lat liczy sobie to stworzenie?

Pająkokształtny na temat wieku jeziora nie potrafił powiedzieć niczego konkretnego. Wiedział jedynie, że było już, kiedy na planecie pojawili się Aranowie. Ojciec stworzył życie, kiedy samotność zbytnio mu już dokuczyła. Stworzył najpierw Matkę, a potem już oboje dali życie roślinom i Aranom. Drapieżny ocean też jest tworem Ojca.

— Ocean jest zapewne odpadem produkcyjnym tej żywej elektrowni — zauważył Romero. — Elektrowni zaopatrującej w energetyczny pokarm wszystkich mieszkańców tej planety.

— Musimy zatem zdecydować — zakonkludowałem — czy zniszczymy Ojca jako twór torturujący Aranów, czy też zachowamy go przy życiu. W pierwszym wypadku musimy zbudować na Aranii automatyczną elektrownię, żeby jej mieszkańcy nie pomarli z głodu, w drugim zaś trzeba się zastanowić nad sposobami okresowego rozładowywania przesyconego energią Ojca bez udziału nieokiełznanej Matki.

— Zniszczenie jest równoznaczne z morderstwem — powiedział pospiesznie Galakt.

— Co zaś do groźnej Matki — wtrącił Romero to jej funkcja sprowadza się jedynie do likwidowania nadmiaru elektryczności. Oanie, czy ktoś widział Matkę Błyskawic?

— Jej nie można zobaczyć, gdyż istnieje tylko w zrodzonych przez siebie burzach.

— Inaczej mówiąc jest po prostu naturalnym wyładowaniem nadmiaru energii — stwierdziłem. — W porządku, Oanie. Nikt już więcej na tej planecie nie usłyszy o groźnej Matce, bo jej funkcje przejmie odbudowany szafot.

Opuściliśmy grotę. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że Ojciec Akumulator uśmiechnął się do nas na pożegnanie. Brzmi to dziwnie w odniesieniu do rozpłomienionego błyskawicami jeziora, ale... Poza tym kontaktu nie było: Ojciec Akumulator nie reagował na sygnały, którymi zarzucała go Irena.

Po wyjściu na powierzchnię wezwałem mechaników z „Koziorożca”, którzy w ciągu niespełna dwóch godzin przekonstruowali szafot w ten sposób, aby nadmiar energii wyładowywał się automatycznie na iskrownikach. Wystraszeni Aranowie poukrywali się w jaskiniach i nie przeszkadzali im w pracy.

— Admirale, znalazłem sposób na to, aby pająkokształtni nie zniszczyli naszego iskrownika! — pochwalił się Ellon. — Odchyliłem jego ostrza w ten sposób, aby przy każdym wyładowaniu tryskał w niebo płomienisty słup, który musi przerazić każdego Arana.

— I położyłeś w ten sposób podwaliny nowej religii, Ellonie — zakonkludowałem ze smutkiem. — Minie teraz niejeden wiek, zanim jakiś genialny pająk zrozumie, że iskrownik nie jest istotą nadprzyrodzoną, lecz prymitywnym urządzeniem technicznym. A przecież ich przodkowie budowali gwiazdoloty! Ale trudno, to jest mniejsze zło niż ofiarny stos. Zresztą nie przestaje mnie dziwić przenikliwość fanatycznych przyspieszaczy, którzy tak celnie odgadli przyczyny „gniewu Ojca” i skuteczność, z jaką im zapobiegali... Żeby jednak nie zapragnęli powrócić do starych metod, na wszelki wypadek zainstalujemy wokół „szafotu” barierę ze słabego pola ochronnego, żeby nikt nie mógł się nawet zbliżyć do niego.

Przed zachodem Trzech Mglistych Słońc głuchy grzmot obwieścił, że likwidacji nadmiaru energii nie muszą towarzyszyć okrutne egzekucje lub niszczycielskie burze. Ponad szczyty wzgórz wzniósł się słup krwawych płomieni.

Dziwnie nieśmiałym krokiem zbliżył się do mnie Oan:

— Opuszczacie nas, Eli? — zapytał. — Uratowaliście mnie i staliście się dobroczyńcami całego naszego narodu. Będzie mi bez was źle, admirale.

Popatrzyłem na niego bez słowa. Tkwiła w nim jakaś zagadka. Zagadka tkwiła w całym narodzie Aranów. Nie potrafiłem zapomnieć, że przodkowie tych ciemnych, fanatycznych, zabobonnych istot stworzyli potężną cywilizację kosmiczną, która oto zniknęła bez śladu. Tego nie można było złożyć na karb degradacji spowodowanej niesprzyjającymi warunkami, bo degradacji w potocznym tego słowa znaczeniu nie było, czego najlepszym dowodem stał się dla mnie sam Oan. Był taki sam jak wszyscy Aranowie i pod wieloma względami nas przewyższał! Czyż nie znaleźliśmy go na pokładzie statku posuwającego się pod prąd czasu? Czyż nie czytał z zadziwiającą swobodą każdej naszej myśli? Czyż istniała dla niego bariera językowa, nie do pokonania dla nas bez skomplikowanych urządzeń technicznych? Posiadał jeszcze wiele innych cech stawiających go ponad nami!

— Oanie — powiedziałem wreszcie. — Potrafisz pilotować gwiazdoloty. Wiesz o naturze zakrzywionego czasu więcej niż my. A twoi bracia Aranowie są ciemnymi fanatykami. Skąd czerpiesz swoją wiedzę? Dlaczego różnisz się od innych?

— O nie, admirale — odparł Aran z rozbrajającą szczerością. — Takich, którzy w zalewie dzisiejszej ciemnoty zachowali starożytną wiedzę jest wśród nas jeszcze wielu. Gdybyście pozostali na planecie, poznalibyście większość z nich.

Niestety, nie mogliśmy sobie na to pozwolić.

— Weźcie mnie z sobą — poprosił Oan, gdy mu to powiedziałem. — Wiele wiem o paradoksach czasu. Nasi przodkowie badali linie temporalne w gromadach gwiezdnych i dobrze je poznali. Nie potrafiliśmy wykorzystać tej wiedzy, ale nic z niej nie uroniliśmy. Wam ta wiedza się przyda.

— A twoi przyjaciele, Oanie? Czy nie będzie im ciebie brakować?

— To jest również prośba moich przyjaciół, którzy poradzili mi przyłączyć się do was.

— Wsiadaj do planetolotu; Oanie — powiedziałem niemal bez zastanowienia. — Polecisz ze mną na „Koziorożcu”.

7

Wszystko z początku wydawało się proste. Potrafiliśmy w razie potrzeby rozbijać planety, więc odkurzenie arańskiego nieba tym bardziej nie stanowiło dla nas problemu. Mogliśmy użyć do tego celu pojedynczego gwiazdolotu lub całej naszej eskadry, na co nalegał Kamagin, jako zwolennik rozwiązań szybkich i radykalnych. Ogół postanowił inaczej. Zdecydowaliśmy się zaprogramować na czyszczenie układu jeden ze statków transportowych i ruszać w dalszą drogę. Jeśli będziemy wracać tą samą trasą, wtedy zabierzemy pozostawioną kosmiczną ciężarówkę.

Plan był dobry, jestem tego pewien jeszcze i dziś, i zawalił się nie z naszej winy.

Kosmiczny odkurzacz nosił nazwę „Taran”. Już sama jego nazwa zdawała się stanowić gwarancję powodzenia akcji. Kamagin z Ellonem sprawdzili wszystkie urządzenia statku i przekonali się, że działają bez zarzutu. MUK „Tarana”, działający podobnie jak pozostałe komputery pokładowe w czasie rzeczywistym, został odpowiednio poinstruowany i przeegzaminowany. Automatyczny mózg wymodelował wszystkie teoretycznie możliwe warianty zakłóceń, uszkodzeń i awarii i znakomicie sobie z nimi poradził. Niestety, nikomu nie przyszło do głowy symulowanie wariantów teoretycznie niemożliwych. Zresztą nie mieliśmy czasu na takie głupstwa.

Nie należy sądzić, że w swym zadufaniu w ogóle nie liczyliśmy się z niespodziankami. W Ginących Światach zetknęliśmy się już z tyloma niezwykłymi zjawiskami, że właściwie nic już nie mogło nas zaskoczyć. Przygotowaliśmy się więc na najgorsze. Nasz błąd polegał jedynie na przekonaniu, że wszelkie wrogie działania groźnych sił panoszących się w Układzie Trzech Mglistych Słońc, działanie owych arańskich~ Okrutnych Bogów, będzie oparte na prawach natury, a zatem mieścić się będzie w ramach logiki. Ludzkiej logiki.

Pozwoliłem sobie na tę dygresję, aby lepiej uzmysłowić to; co wydarzyło się gdy „Taran” przekształcił się w satelitę potrójnej gwiazdy. Wszystko przebiegało zgodnie z programem. Statek zbliżył się do centrum układu po zwężającej się spirali, a potem MUK uruchomił anihilatory masy. Zataczał teraz wyciągnięte elipsy, a za nim ciągnęła się smuga czystej przestrzeni, w której czerwonawy blask Trzech Mglistych Słońc przybierał swą właściwą barwę srebrzystego błękitu. Nie upłynie nawet ziemskie półwiecze i przynajmniej jeden z Ginących Światów przekształci się w Świat Odrodzony!

Zszedłem do stajni pegazów. U Włóczęgi był Romero, przy którego nogach rozciągnął się Mizar. Mądry pies nie przyszedł jeszcze do siebie po tragicznej śmierci Lusina. Unikał nas, gdyż najwidoczniej uważał, że nie zrobiliśmy wszystkiego co możliwe, żeby uratować jego przyjaciela i nauczyciela. Nigdy tego nie powiedział, nie pozwolił sobie na najmniejszą aluzję, na najcichsze warknięcie, ale odwiedzał tylko smoka. Włóczęga przecież nie był na powierzchni Aranii, a zatem nie miał nic wspólnego z tragedią.

— Wszystko idzie dobrze, Włóczęgo — powiedziałem.

— Zbyt dobrze, aby było naprawdę dobrze — odparł smok.

— Nie rozumiem, co masz na myśli. A ty, Mizarze — pogładziłem psa — co myślisz o pesymizmie Włóczęgi? — Nie potrafię już myśleć o niczym i nikim poza Lusinem — odwarknął ze smutkiem pies. — Oduczyłem się myśleć po waszemu.

Romero powiedział:

— Drogi admirale! Moim zdaniem niesłusznie oskarża pan naszego przyjaciela Włóczęgę o czarnowidztwo. W jego paradoksalnej uwadze tkwi głębsza myśl. Nasz mądry przyjaciel zapewne postawił się na miejscu Okrutnych Bogów, których zresztą może w ogóle nie ma, i zastanowił się, jak by wówczas działał. I doszedł do wniosku, że w tym wypadku działaniem najskuteczniejszym było zaniechanie wszelkiego działania, przynajmniej z początku. Włóczęga, będąc Okrutnym Bogiem, najpierw starannie zbadałby cele i możliwości fizyczne naszego kosmicznego odkurzacza, a dopiero potem postarał się go unieszkodliwić.

— Wprawdzie zastrzegł się pan, że nie bardzo wierzy w realne istnienie Okrutnych Bogów, ale mówi o ich hipotetycznych działaniach jak o czymś oczywistym! — zaoponowałem. — Tymczasem groźni władcy Układu Trzech Mglistych Słońc mogą być po prostu takim samym płodem fantazji Aranów, takim samym upostaciowaniem banalnych zjawisk fizycznych, jakim okazała się śmiercionośna Matka Błyskawic.

To zdanie kończyłem już w drodze na stanowisko dowodzenia, gdzie Oleg pilnie wzywał nas obu. Z „Taranem” coś się stało. Jego anihilatory przestały nagle wygarniać pył kosmiczny, a sam statek po wyłączeniu napędu wszedł na niesterowną keplerowską orbitę. Nie reagował na żadne sygnały, ale jego MUK nie przestał funkcjonować, bo generował słabe impulsy, takie jednak niezborne, że nie sposób ich było rozszyfrować.

— Musimy wysłać holownik — powiedział chmurnie Oleg. — Ale jak dostać się do wnętrza statku? Wprawdzie „Taran” nie wydaje się być uszkodzony, ale przy niesprawnym mózgu pokładowym włazy nie dadzą się otworzyć. Trzeba chyba będzie wyciąć otwór w kadłubie.

Najbliżej unieruchomionego statku znajdował się gwiazdolot dowodzony przez Petriego, więc Oleg rozkazał mu przyprowadzić „Tarana”. Wkrótce oba statki znalazły się przy burcie „Koziorożca”. Petri jeszcze w drodze polecił z pomocą komory remontowej wyciąć otwór w pancerzu kosmicznego odkurzacza i wymontować MUK. Sam go następnie dostarczył na pokład flagowca. Mózg wyglądał na całkowicie sprawny — żadnego uszkodzenia mechanicznego, najmniejszego nawet zadrapania na obudowie, żadnych przerw w obwodach elektrycznych — jego sterujący kryształ nadal lśnił cudownym zielonkawym blaskiem, jakim poszczycić się może tylko neptunian najczystszej wody, ale MUK zachowywał się jak szalony i plótł niesamowite bzdury.

Umieszczono go na stanowisku testującym i Ellon z Ireną przystąpili do badania zepsutej maszyny. Stanąłem opodal, żeby im nie przeszkadzać. Wspominałem już zapewne, że Ellona niełatwo jest zadziwić, ale tym razem nawet nie starał się ukryć zdumienia.

— Admirale — powiedział. — Jestem wstrząśnięty. Pola ochronne mózgu nie zostały przebite, zdeformowane lub chociażby osłabione. MUK rozregulował się sam. Sam, admiralne, gdyż kategorycznie wykluczam tu działanie sił zewnętrznych. Ale wewnętrznych uszkodzeń układu elektrycznego też nie stwierdziliśmy. Z niczym podobnym do tej pory się jeszcze nie zetknąłem! Pozostała tylko jedna możliwość: samoczynna degradacja któregoś z podzespołów. Muszę to sprawdzić, ale zajmie mi to co najmniej parę godzin...

— No cóż — powiedziałem — zaczekamy na wynik. — Po czym wróciłem do Włóczęgi.

Smok, któremu nadal towarzyszył Mizar, czekał z niecierpliwością na najświeższe wiadomości.

— Włóczęgo — powiedziałem. — Najlepiej z nas wszystkich znasz naturę przestrzeni, więc może potrafisz rozwikłać zagadkę „Tarana”. Posłuchaj uważnie. Jego MUK przestał działać, chociaż nie miały na to wpływu żadne siły zewnętrzne ani wewnętrzne. Inaczej mówiąc, w przestrzeni, przez którą mknął mózg wraz ze statkiem nic się nie wydarzyło. Rozumiesz mnie, Włóczęgo? Chodzi mi o to, czy na MUK nie mogła zgubnie podziałać sama przestrzeń. Czy przestrzeń, będąca w warunkach normalnych jedynie biernym nośnikiem pól, fal i korpuskuł, nie mogła się nagle uaktywnić?

— Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie — wyznał smok. — Miałem do czynienia jedynie z pasywną przestrzenią, którą potrafiłem niemal dowolnie kształtować. Wiem, że potrafi wytwarzać własne fale, które wy nazywacie falami przestrzennymi, że można ją przekształcić w materię, z której znów da się wytworzyć przestrzeń. To wszystko prawda, ale według mojej wiedzy przestrzeń nie może oddziaływać na ciała materialne inaczej niż za pośrednictwem działających w niej sił.

— Ja też tak sądzę. Zapytajmy jeszcze jednak o zdanie Oana, który lepiej od nas poznał tajemnice tutejszego świata.

Dwunastonogi myśliciel zjawił się wraz z Orlanem i Gracjuszem, którzy też byli ciekawi opinii Arana.

Nie zdążyłem jeszcze zadać swoich pytań, gdy do stajni smoka wszedł Oleg z Ellonem, który przyniósł graficzny wynik badań testowych.

— Admirale! — wykrzyknął impulsywnie Ellon. Zaręczam, że nigdy o czymś podobnym nawet nie słyszałeś! MUK „Tarana” myli skutki z przyczynami! I to wszystko, powtarzam, bez śladu jakiegokolwiek uszkodzenia! To prawdziwy cud, że zwańowana maszyna nie wysadziła całego statku w powietrze, a przy okazji nie spopieliła przynajmniej jednego z Trzech Mętnych Słońc.

— Rozumiesz coś z tego? — zapytałem Oana. Możesz wyjaśnić to piekielne zjawisko?

— Nie ma w nim nic piekielnego — odparł bez wahania Aran. — Wasza maszyna zapadła na raka czasu. Czas eksplodował w jej wnętrzu, rozerwał jej łańcuchy logiczne i rozsypał ich ogniwa po przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Dlatego niezdolna jest do zrealizowania jakiegokolwiek programu. Rak czasu jest najcięższą chorobą naszego świata.

— Czy i my możemy się nią zarazić? — zapytał Orlan, którego głowa z przerażenia tak głęboko zapadła się w ramiona, że na zewnątrz wystawały jedynie oczy.

— Jeśli tylko Okrutni Bogowie tego zapragną! Właśnie dlatego starałem się wyrwać do innego czasu. Jesteście potężni, więc wam może się to udać. Jeśli jednak nie chcecie chronić się w pozaczasie, to lepiej uciekajcie z tego miejsca. Okrutni Bogowie nie zauważali was dotychczas, ale teraz spostrzegli. To jest zły znak.

Mówił o tym, że Okrutni Bogowie raczyli wreszcie popatrzyć na nas niedobrym okiem, a ja po raz któryś z rzędu przypatrywałem się uważnie jemu samemu. Wydało mi się nagle, że widzę go po raz pierwszy. Dwoje jego dolnych oczu patrzyło na nas, zwyczajnie patrzyło. A trzecie, umieszczone nad nimi, świdrowało przenikliwym blaskiem, promieniowało, wbijało do naszych głów jego myśli, obce dla nas i groźne. Przebiegł mnie mimowolny dreszcz. Oan też miał niedobre oko...

8

Gdybym miał jednym zdaniem wyrazić natrętne pragnienie, które nas wszystkich opanowało, powiedziałbym tylko: „Spłachetek czystego nieba!” Nieznani przeciwnicy zabronili nam oczyszczać przestrzeń kosmiczną, ale gotowi byliśmy walczyć z każdym przeciwnikiem. Nieoczekiwana przeszkoda sprawiła, że zagrała w nas krew wojowniczych przodków, którzy stawiali czoło nawet bogom. Nie chcieliśmy być od nich gorsi.

Oleg wezwał na odprawę dowódców statków, a przed ich przybyciem przyszedł się ze mną naradzić.

— Eli — powiedział — jednym z najwspanialszych wyczynów twojej Pierwszej wyprawy do Perseusza było zniszczenie Złotej Planety, w sposób tak zdecydowany i mistrzowski dokonane przez Olgę Trondicke. Zamierzam zaproponować załogom przeprowadzenie podobnej akcji.

Poprosiłem o wyjaśnienia i Oleg sprecyzował swoją myśl. Olga wysadziwszy wówczas Złotą Planetę stworzyła ogromny obszar nowej przestrzeni i wyprowadziła przez nią uwięziony w pułapce gwiazdolot. Niszczyciele wiele musieli się natrudzić, aby włączyć ów nowy przestwór do swojego świata. W gromadzie gwiezdnej Ginących Światów panują istoty najwidoczniej od Niszczycieli potężniejsze, które dla jakichś swoich celów zaśmiecają gwiazdy i zdecydowanie przeciwstawiają się oczyszczaniu przestrzeni. Ale możemy ich zaskoczyć przez zanihilowanie większej masy i przynajmniej na kilka pokoleń dać Aranom obiecany skrawek czystego nieba.

— Zasadniczą trudnością twojego planu — powiedziałem — jest konieczność zachowania go do czasu w tajemnicy przed Ramirami, bo na razie wszystko wskazuje na to, że to oni właśnie są owymi Okrutnymi Bogami pająkokształtnych. Poza tym nie mam żadnych uwag.

Plan spodobał się wszystkim dowódcom gwiazdołotów, tym bardziej że jego realizacja wydawała się względnie łatwa. Nasze anihilatory były znacznie potężniejsze od zainstalowanych kiedyś na „Pożeraczu przestrzeni”, a i z wyborem obiektu zniszczenia nie było większego kłopotu, bo wokół Trzech Mglistych Słońc krążyło przecież kilka martwych planet. Dyskusję wywołała jedynie sprawa zamaskowania operacji.

— Ramirowie, jeśli to istotnie oni są Okrutnymi Bogami — powiedziała Olga — mogą z łatwością zapobiec zniszczeniu planety w momencie, kiedy skierujemy w jej stronę statek z uruchomionymi anihilatorami bojowymi. Najlepiej zatem — kontynuowała — będzie przeprowadzić akcję w dwóch etapach. Rozpylenie pojedynczego gwiazdolotu nie powinno zwrócić uwagi Ramirów, a my uzyskamy nieco nowej przestrzeni wyłączonej do czasu spod ich władzy, którą możemy wykorzystać jako tunel dolotowy dla statku zadającego główne uderzenie.

Kamagin poprosił, żeby to jemu pozwolono przeprowadzić anihilację maskującą, ale Oleg wolał powierzyć mu ochronę gwiazdolotu rozpylającego planetę, jako że nikt inny nie nadawał się lepiej od niego do wykonania zadań wymagających nie tyle ostrożności i zimnej kalkulacji, ile szybkiej reakcji i zdecydowania w działaniu.

— Anihilację maskującą przeprowadzi pański „Cielec” — zwrócił sią Oleg do flegmatycznego Petriego. A uderzyć na planetę zechce Olga, gdyż tylko ona jedna spośród nas ma doświadczenie w rozpylaniu dużych obiektów kosmicznych.

— Zgadzam się wykonać rozkaz dowódcy eskadry — powiedziała Olga — ale pod jednym warunkiem. Eli zwróciła się do mnie — w chwili ataku na Złotą Planetę siedziałeś obok mnie na stanowisku dowodzenia. Twoja obecność dodała mi ducha. Chciałabym, abyś na czas operacji przeniósł się na mój statek.

— Zgoda, jeśli widok człowieka śmiertelnie przerażonego dodaje ci odwagi! — odparłem ze śmiechem i spojrzałem pytająco na Mary: — Pozwolisz Oldze porwać mnie na parę dni?

— Będę cierpiała męki zazdrości, ale czegóż nie robi się dla dobra sprawy! — westchnęła ciężko Mary, ale nie zdołała zachować powagi i też parsknęła śmiechem.

Odpowiednią planetkę znaleźliśmy bez trudu. Jedyny kłopot polegał na tym, że jej orbita leżała za orbitą Aranii, my zaś chcieliśmy dokonać anihilacji między planetą pająkokształtnych a Trzema Mglistymi Słońcami. Za to Gracjusz ustalił ponad wszelką wątpliwość, iż życia na przeznaczonym do zagłady globie nigdy nie było i jego powstanie tam w przyszłości również jest absolutnie wykluczone.

Nieznane wrogie siły nie reagowały, gdy trzy towarowe gwiazdoloty wzięły planetkę na hol i pociągnęły ją w stronę Trzech Mglistych Słońc.

W czasie gdy dokonywała się roszada orbit planetarnych, Olga przygotowywała się już do drugiego etapu operacji. Siedziałem obok niej na stanowisku dowodzenia i wpatrywałem się w Kosmos, w którym panował zupełny spokój, co zarazem cieszyło i napawało niepokojem. „Wąż”, „Cielec” i „Koziorożec” zostały w tyle i ich światła pozycyjne ledwie tliły się na ekranie powiększalnika optycznego. Było to zgodne z planem, który przewidywał, że statki załogowe winny się trzymać na uboczu, aby nie narazić się na niebezpieczeństwo niespodziewanego ataku ze strony Ramirów.

— Planetka weszła na optymalną orbitę, Eli — powiedziała Olga. — Petri zbliża się do niej na odległość skutecznej anihilacji. Wkrótce nadejdzie nasza kolej.

Nasza kolej nie nadeszła, bo do akcji wkroczyły obce, wrogie siły. Do końca życia nie zapomnę tego, co rozegrało się na moich oczach.

Planetka znajdowała się dokładnie pośrodku między Aranią a Trzema Mglistymi Słońcami. Mknęła swobodnie po swej nowej orbicie, poprzedzana zwartą grupką trzech holujących ją dotychczas gwiazdolotów. Za nią, również w szyku zwartym, pędziły pozostałe transportowce kosmiczne, a jeden z nich, skazany na anihilację, krążył wokół globu po niskiej elipsie. Nasz gwiazdolot ustawił się na linii łączącej Aranię z Trzema Słońcami. Z boku pojawił się „Cielec”, aby błyskawicznie ostrzelać skazany na zagładę gwiazdolot i równie błyskawicznie wyłączywszy anihilatory odlecieć do tyłu na fali nowej przestrzeni. My zaś mieliśmy wtargnąć w samo oko kosmicznego cyklonu i zadać decydujący cios. Taki był plan. Nic więc dziwnego, że widząc w powiększaczu zbliżającego się „Cielca” widziałem jednocześnie oczami duszy samego Petriego, jak lekko pochylony do przodu wpatruje się w rosnący na ekranie gwiazdolot i unosi rękę, by za chwilę opuścić ją z okrzykiem: „Pal”. Ale to nie on wypalił...

Trysnął promień, ten sam przeklęty promień, który spopielił Czerwoną Gwiazdę! Tym razem był cieńszy i nie jarzył się tak długo. Wystrzelił z zamglonej dali i momentalnie zgasł, jak zdmuchnięty. Promień trwał przez mgnienie oka, ale to wystarczyło, aby w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdował się potężny statek wyposażony w groźną broń, gwiazdolot, na którego pokładzie znajdowali się ludzie i Demiurgowie, żeby w tym miejscu buchnął kłąb płomieni. Nie było już gwiazdolotu, nie było już nowoczesnych maszyn, nie było ludzi i Demiurgów, nie było nawet ich zwłok. Był tylko szybko gasnący ogień, a potem rozpełzający się w przestrzeni miałki, srebrzysty pył.

Zobaczyłem też, jak pozostałe gwiazdoloty schodzą z precyzyjnie obliczonych trajektorii, zderzają się i giną kolejno w takich samych kłębach ognia, w jakich spłonęli nasi przyjaciele z „Cielca”. Przylgnąłem twarzą do ekranu powiększalnika, bo przez Kosmos wprost w rozszalałe ognisko pędził bezwładnie „Koziorożec”. Gryzłem palce do krwi, ryczałem z wściekłości i bólu, ale musiałem zobaczyć co się dzieje. Żeby zrozumieć i straszliwie zemścić się na sprawcach katastrofy, jeśli sam ją przeżyję!

„Koziorożec” jakimś cudem wyminął nagle dogasające pogorzelisko gwiazdolotów i pomknął w mętny tuman zapylonej przestrzeni, a „Wąż” jeszcze wcześniej wykonał zwrot i teraz odsuwał się po łagodnej krzywej od epicentrum katastrofy.

Opadłem bez sił na fotel i dopiero po dłuższej chwili zorientowałem się, że Olga rozpaczliwie szarpie mnie za rękaw kombinezonu.

— Eli! Ocknij się! — wołała. — Nasz MUK odmówił posłuszeństwa. Nie mogę przekazać żadnego rozkazu do maszynowni, statek jest niesterowny i coraz szybciej spadamy na płonące transportowce!

Nie wiem, jak długo mnie wołała, ale gdy tylko jej głos dotarł do świadomości, gdy tylko uświadomiłem sobie grozę naszej sytuacji, nie wahałem się ani przez chwilę.

— Bez paniki! — krzyknąłem. — Przechodzimy na ręczne sterowanie!

Ale nie było na co przechodzić, bo ręczne stery, podobnie jak wszystkie urządzenia zautomatyzowane, również nie działały. Wszystkie niezliczone klawisze i przyciski na pulpicie sterowniczym zostały zablokowane, wszystkie lampki sygnalizacyjne jarzyły się purpurową barwą alarmu! I nagle przypomniałem sobie, że istnieje jeden jedyny obwód, którego nie można wyłączyć ani zablokować rozkazem myślowym, który można uruchomić tylko staroświeckim kluczem. Sam ten obwód jeszcze kiedyś w szkole zaprojektowałem, sam obliczytem niezbędną liczbę i siłę ładunków wybuchowych niszczących statek od środka. To był obwód rozpaczy, ostatnia deska ratunku w warunkach najwyższego zagrożenia.

— Klucz! — ryknąłem. — Klucz od komór wybuchowych!

Olga zbladła z przerażenia.

— Eli! — powiedziała błagalnie. — Może jeszcze nie trzeba?... Ja jeszcze nie straciłam nadziei...

Gotów byłem ją udusić. Nadziei nie było.

— Uspokój się, idiotko! — wrzasnąłem. — Nie zamierzam popełniać zbiorowego samobójstwa. Natychmiast dawaj klucz!

Olga trzęsącymi się ze zdenerwowania rękami rozpięła bluzkę i wyciągnęła spod niej zawieszony na szyi łańcuszek z kluczem. Nie czekając, aż odepnie go zesztywniałymi palcami, szarpnąłem klucz i popędziłem w kąt sterówki, gdzie znajdował się skomplikowany zamek w zapieczętowanej kasecie. Zerwałem pieczęć, wsunąłem klucz do dziurki i ostrożnie, napominając się w duchu, żebym nie popełnił fatalnego błędu, przekręciłem go o jedną trzecią obrotu.

Ciężki wybuch wstrząsnął statkiem. Prawa strona rufy, gdzie były zmontowane nasze groźne anihilatory, przestała istnieć... Przestała istnieć, zda się niezwyciężona, gwiezdna twierdza zdolna do rozpylania planet i rozproszenia nieprzyjacielskich flot. Ale statek został, przeżył, bo straszliwa eksplozja rzuciła go w lewo, zepchnęła z kursu prowadzącego wprost ku zagładzie. W ostatniej chwili, bo za sekundę byłoby już za późno.

Olga rozpłakała się i padła na fotel. Przez kilka minut nie odzywaliśmy się ani słowem i trwaliśmy tak w kompletnej ciszy, bo do stanowiska dowodzenia nie docierały żadne dźwięki. A przecież po korytarzach statku miotali się teraz ludzie i ich gwiezdni przyjaciele, przerażeni i zdezorientowani. Nie wiem nawet, co silniej zszarpało ich nerwy: oczekiwanie na niechybną śmierć czy nieoczekiwany ratunek. Wreszcie Olga powiedziała słabym głosem:

— Eli, jak to się mogło stać? Przecież nasz MUK jest szczelnie otoczony polem ochronnym! Jaka siła mogła go przebić? Dlaczego milczysz? Boję się, odezwij się do mnie!

— Milczę, bo wszystko zrozumiałem — odparłem, starając się zachować spokój. — Ramirowie wypowiedzieli nam wojnę. Zniszczyli eskadrę Allana i twojego męża, Olgo. Teraz przyszła kolej na nas.

Patrzyła na mnie okrągłymi, szalonymi ze strachu oczami.

— Przywykłam ci wierzyć, Eli — powiedziała. Zawsze wierzyłam w każde twoje słowo... Ale przecież oni nie mogli wiedzieć, że to właśnie Petri ma zacząć operację. Nie ja, nie Kamagin, nie Osima, tylko Petri! O tym wiedziały tylko nasze załogi, a Ramirowie zaatakowali Petriego!

— Nam też nieźle się dostało, też o mało nie zginęliśmy — zaoponowałem ponuro. — A co się tyczy pytania, w jaki sposób Ramirowie poznali plan operacji, to odpowiedź może być tylko jedna: na któryś z naszych statków przedostał się ich szpieg!

— Szpieg?

— Nie podoba ci się to słowo? Wobec tego konfident, zwiadowca, kapuś, tajny agent, zdrajca, co wolisz... I ten zdrajca znajduje się na statku flagowym eskadry, na „Koziorożcu”, Olgo!

## 3. Zerwane więzi czasu

1

O odtworzeniu anihilatorów nawet nie było co marzyć, bo ich konstruktorzy zatroszczyli się o to, aby w razie nieszczęścia hipotetyczny wróg nie tylko nie dostał tej broni w swoje łapy, ale nawet nie mógł się domyślić, jaka potęga kryła się pod rufowym pancerzem. Po obejrzeniu uszkodzeń Olga wyznała mi:

— Nawet nie pomyślałam, że w ten sposób można zmienić tor lotu. Po prostu nie mieściło mi się w głowie, że można się bronić niszcząc własną broń... Nosiłam ten klucz jak zwyczajny breloczek czy medalion. Jak zdołałeś sobie o nim przypomnieć?

— Pomyślałem o nim pewnie dlatego, że przez ostatnie dni myślałem prawie wyłącznie o rzeczach nie mieszczących się w głowie — powiedziałem. — Poza tym już raz popełniłem ten błąd, że poddałem nieuszkodzony gwiazdolot Orlanowi.

— Na szczęście mogliśmy się wówczas ograniczyć do rozregulowania mózgu pokładowego.

— Co teraz za nas zrobili wrogowie! — zauważyłem z goryczą.

W tym czasie było już jasne, że nasz MUK nie da się szybko naprawić, chociaż również nie miał żadnych widocznych uszkodzeń, jak i unieruchomiony niedawno MUK „Tarana”. Tamten jednak jakoś funkcjonował, myląc przyczyny ze skutkami, nasz natomiast po prostu nie działał.

Udało się jednak doprowadzić do porządku urządzenia sterowania ręcznego. Statek mógł się zatem poruszać, ale ruchem prymitywnym i powolnym. Osiągał jedynie taką prędkość, na jaką pozwalał ślimaczy w porównaniu z maszynowym refleks sterujących nim żywych nawigatorów...

Do rejsów galaktycznych taki statek już się nie nadawał.

Nagle ożyły odbiorniki:

— ...wzywa „Strzelca”! „Koziorożec” wzywa „Strzelca”! Odbiór!

Nawiązaliśmy normalną łączność stereowizyjną i wtedy Oleg poprosił Olgę i mnie o przybycie na pokład flagowca. Powiedział też, o czym już sami wiedzieliśmy, że zagładzie uległo trzy czwarte eskadry: „Cielec” i większość transportowców, z których zostały tylko dwa. Mózgi pokładowe „Koziorożca” i „Węża” również przestały działać, a mechanicy wątpili, aby udało się szybko je uruchomić.

Gdy przybyliśmy planetolotem na „Koziorożca”, Mary rzuciła mi się z łkaniem na pierś. Opłakiwała mnie tak, jakbym zginął. Otarłem jej łzy i powiedziałem:

— Przypatrz mi się dobrze! Jestem żywy, zdrowy i długo jeszcze zamierzam takim zostać!

— Zemdlałam z przerażenia, kiedy zobaczyłam, dokąd pędzi „Strzelec”! — Wpatrywała się we mnie niedowierzającym wzrokiem. — Byliście już tak blisko epicentrum eksplozji!...

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, co musieli przeżywać nasi przyjaciele z „Węża” i „Koziorożca”. Bałem się o nich, ale oni mieli jeszcze większe podstawy, aby lękać się o nas.

Romero powiedział gorzko, tym szczególnym tonem, którego używał zawsze, kiedy uciekał się do przykładów z historii:

— Rzuciliśmy „Cielca” na pożarcie, drogi admirale. Musimy spojrzeć prawdzie w oczy i przyznać, że wrogowie są potężniejsi od nas.

— Nie wiem czy potężniejsi — odparłem — ale z pewnością sprytniejsi.

A przygnębionemu Olegowi powiedziałem:

— Przeszłości nie da się odwrócić, myślmy zatem o przyszłości. Zadam ci teraz pewne pytanie. Od twojej odpowiedzi zależy bardzo wiele, dobrze się więc nad nią zastanów. Wasz MUK zacinał się dwukrotnie, prawda? Najpierw odmówił posłuszeństwa, potem pracował przez parę sekund normalnie i znów, tym razem już ostatecznie stanął?

— Było dokładnie tak, jak mówisz, Eli — powiedział ze zdziwieniem. — Jakie wnioski stąd wyciągasz?

— Niezwykle ważne — zapewniłem go i zażądałem zwołania poufnej narady wąskiej grupy kierownictwa wyprawy.

Potem poszedłem do konserwatora; gdzie w przezroczystym sarkofagu leżał Lusin, taki zwyczajny, taki niemal żywy, że nie mogłem patrzeć na niego w milczeniu. Powiedziałem więc:

— Wiesz przyjacielu, że nigdy nie byłem mściwy. Nie chciałem nawet mścić się za śmierć syna poległego na Trzeciej Planecie. Ale za ciebie się zemszczę. Zemszczę się za ciebie, za Petriego, za wszystkich członków załogi „Cielca”, za Allana i Leonida. I za Aranów, potężny niegdyś naród, a obecnie ciemne, zabobonne plemię. Zemszczę się za ofiary perfidnej podłości. Wrogowie nie zostawili nam innego wyjścia!

Rozmawiałem z nim tak szczerze, jak nie rozmawiałem nigdy nawet z Mary, i wyszedłem z konserwatora jeśli nie uspokojony, to przynajmniej pogodzony z koniecznością działania wbrew przekonaniu, wbrew zasadom, które przez całe życie wyznawałem.

Zażądałem, aby poufną naradę zwołano w dobrze odizolowanym od reszty statku pomieszczeniu. Oleg uznał, że najodpowiedniejsza będzie dawna stajnia pegazów, gdyż w innych ekranowanych kabinach Włóczęga, który naturalnie miał w naradzie uczestniczyć, po prostu by się nie zmieścił. Kiedy tam przyszedłem, wszyscy już na mnie czekali. Kamagin i Osima zameldowali, co działo się na „Wężu” i „Koziorożcu”, Olga zrelacjonowała wydarzenia na pokładzie „Strzelca”. Na wszystkich gwiazdolotach nieznane pole odcięło mózgi pokładowe od mechanizmów wykonawczych, przy czym na „Koziorożcu” odbyło się to w dwóch fazach. Na „Strzelcu” i „Koziorożcu” udało się szybko uruchomić ręczne sterowanie, a na „Wężu” urządzenia te nie zostały w ogóle zablokowane. Wszystkie statki przed naprawieniem MUK niezdolne były do kontynuowania zamierzonego rejsu ani do powrotu. „Strzelec” ucierpiał tak mocno, że mógł być wykorzystany jedynie jako statek transportowy. W ten sposób z ogromnej eskadry zostały nam dwa niezbyt sprawne gwiazdoloty załogowe i trzy transporkowce.

— Eli, narada została zwołana na twoje żądanie zwrócił się do mnie Oleg. — Obiecałeś złożyć ważne oświadczenie. Zatem słuchamy.

Zacząłem od pytania zadanego smokowi.

— Włóczęgo, czy mózg biologiczny, powiedzmy równie potężny jak twój, może wpływać na MUK nie przez wydawanie mu zewnętrznych poleceń, jak my to robimy, lecz przez równoległe dublowanie pracy wszystkich jego obwodów?

Smok patrzył na mnie z niezwykłą u niego powagą. Pytanie było zbyt ważne, aby dało skwitować się jakimś żarcikiem.

— Zbyt wiele żądasz od zwykłego mózgu, Eli. MUK liczy z szybkością kilku miliardów operacji na sekundę, a mózg biologiczny nie jest do tego zdolny. Poza tym działa na innej zasadzie logicznej, nie jest czysto analityczny, lecz raczej intuicyjny. Nie atomizuje sytuacji, ale ogarnia ją całościowo... Przynajmniej ja tak pracowałem na Trzeciej Planecie.

— A zatem twoim zdaniem mózg biologiczny nie jest zdolny do takiego działania. Skoro jednak potrafiliśmy zbudować MUK, to możliwe są również konstrukcje o wiele doskonalsze. I jeśli ta superpotężna maszyna myśląca znalazłaby się w naszej eskadrze i, działając z nim unisono, zapragnęła brutalnie wyłączyć MUK, to przyczyny awarii przestałyby być zagadką, nieprawdaż?

Włóczęga nie odpowiedział, a Oleg wykrzyknął z niedowierzaniem w głosie:

— Ale najpierw trzeba dowieść, że ów potężny wrogi mózg istotnie znajduje się na jednym ze statków. — Ten mózg znajduje się na „Koziorożcu”.

— Wymień jego imię! — krzyknął Ellon.

Nie lubił wydłużać szyi, ale teraz jego głowa wystrzeliła niemal pod sufit. Był pewien, że to jego mam na myśli.

— Uspokój się, Ellonie — powiedziałem sucho. Gdyby to o ciebie mi chodziło, z pewnością nie zostałbyś zaproszony na naradę. Tajny agent wroga nosi imię Oan.

Podniósł się gwar. Wszyscy zaczęli mówić na raz. Oleg raz jeszcze zażądał dowodów. Poprosiłem o zadawanie mi pytań, na które mam odpowiedzieć. Pytań jednak nie było, były wątpliwości. Kamagin powiedział, że hipotetyczny wrogi mózg musiałby działać z równą co najmniej szybkością co MUK, a struktury biologiczne, jak to przed chwilą dowiedziono, nie są do tego zdolne. A zatem należy z kolei dowieść, że Oan nie jest istotą żywą, tylko zakamuflowaną maszyną. Osima dodał, że MUK zużywa niemało specyficznej energii wyspecjalizowanych pól, a skąd Oan miałby potajemnie otrzymywać taką energię? Olga z kolei zauważyła, że agent zakłócający pracę mózgu pokładowego musiałby przekazywać swoje rozkazy na inne statki za pomocą jakichś pól, ale obecności takich pól w przestrzeni nie zarejestrowano. Wreszcie Orlan przypomniał, że szpieg musiałby rozszyfrowywać zamysły astronautów nie będąc obecnym przy ich rozmowach, musiałby odczytywać zdalnie i potajemnie ich myśli. Nawet Demiurgowie tego nie potrafią, a w Imperium Niszczycieli technika podsłuchu stała przecież na niezłym poziomie!

— Poza tym wszędzie mamy takie szczelne ekrany — włączył się do dyskusji Gracjusz. — Nie mogę sobie na przykład wyobrazić, aby stąd przeciekły jakieś informacje. A inne pomieszczenia są wcale nie gorzej zabezpieczone.

— Krótko mówiąc szpieg musiałby być istotą nadprzyrodzoną! — podsumował Oleg.

— Cóż to jest istota lub zjawisko nadprzyrodzone? — powiedziałem. — Każdemu z naszych przodków anihilowanie przestrzeni lub podróże z prędkością ponadświetlną wydałyby się cudem, a przecież dokonujemy tego my, zwykli śmiertelnicy. Moim zdaniem zetknęliśmy się z nie codziennym zjawiskiem, którego wytłumaczenie może być zupełnie banalne.

Po czym przypomniałem, w jaki sposób trafił do nas Oan, który chciał przedostać się do innego czasu lecąc pod jego prąd. Jeśli jego wyjaśnienie było prawdziwe, to było z pewnością również zdumiewające jako sprzeczne z tym, co dotychczas wiemy o biegu czasu we Wszechświecie. I drugi zdumiewający fakt: wszyscy towarzysze Oana zginęli, a on jeden ocalał. Ale to jeszcze nie koniec szeregu niecodziennych faktów i wydarzeń. Oan nie tylko potrafił wykraść gwiazdolot, którego konstrukcji i zasad działania nawet my nie potrafiliśmy rozszyfrować, nie tylko nauczył się go obsługiwać, ale również wyruszył nim w przestwory Kosmosu w towarzystwie podobnych mu przedstawicieli ną poły dzikiego narodu! Kim Oan jest wśród Aranów swoim czy obcym? Powiedział kiedyś mimochodem, że Okrutni Bogowie żyją na Aranii pod postacią jej mieszkańców. On sam zatem musi być rezydentem Ramirów wśród pająkokształtnych. Wrogim zwiadowcą przebranym za Arana!

— A po zetknięciu się z nami zmienił obiekt zainteresowania — kontynuowałem. — Z oczywistych względów nie mógł przybrać postaci któregoś z nas: człowieka, Demiurga, Galakta, Anioła czy smoka, gdyż natychmiast zostałby zdemaskowany. Ale mógł działać w swym dotychczasowym kształcie, mógł nie tylko przenikać w nasze plany i uszkadzać nasze maszyny. Mógł także zabijać, bo nie kto inny jak on spowodował śmierć Lusina! Popatrzcie na ekran.

Na ekranie pojawiła się scena pod szafotem. Wielokrotnie w samotności przeglądałem ten zapis i stale czegoś mi w nim brakowało, coś w tej scenie wydawało się niezborne. I dopiero po powrocie na „Koziorożca” z tragicznej wyprawy na „Strzelcu” zrozumiałem, gdzie należy szukać rozwiązania trapiącej mnie od dawna zagadki.

— Użyłem wielokanałowego chronoskopu, przyjaciele. Poszczególne kanały dostroiłem do naszych indywidualnych pól, a niektóre z nich zaprogramowałem na indykację pól obcych. Patrzcie uważnie! Oto Lusin z wczepionym w niego strażnikiem. A teraz Lusin zwija pole rażące atakujących go przyspieszaczy i sam wpada do wnętrza pieca pod ciężarem szarpiącego się strażnika. I znów Lusin wyzwala swoje pole. Sprawdźcie czas! Lusin zareagował na jedną dziesiątą sekundy przedtem, zanim nastąpiło wyładowanie między elektrodami. A jedna dziesiąta sekundy to bardzo wiele czasu. Tymczasem jego pole nie zadziałało, a właściwie zostało zablokowane obcym polem, którego nasze przyrządy nie zarejestrowały. Teraz spójrzcie tu. Oan przez jedną dziesiątą sekundy, akurat przez tę samą jedną dziesiątą sekundy stał bez ruchu, a potem przesunął się w bok i dokładnie w tym samym momencie pole hamujące zniknęło...

Gracjusz pokręcił z powątpiewaniem głową:

— Eli, twoje spekulacje robią wrażenie, ale niczego konkretnego nie zawierają. Nasze znakomite analizatory nie zarejestrowały żadnego kontrpola, a tylko to mogło stanowić niepodważalny dowód winy Oana.

— Wobec tego popatrz na ciąg dalszy tej sceny zmontowanej zresztą w innej niż rzeczywista kolejności. Wyzwolone przez Lusina pole rozrzuciło Aranów po placu jak garść plew. Tylko jeden z nich stoi nieruchomo jak spiżowy pomnik na lekkim wietrze. I tym jedynym jest znów Oan. Policzcie, ile musiałby ważyć ten fałszywy Aran, aby nawet nie drgnąć pod uderzeniem pola?

— Co najmniej sto pięćdziesiąt ton! — odparła niemal natychmiast Olga.

— Słyszeliście? Co najmniej sto pięćdziesiąt ton. A Oan waży nie więcej niż sto kilogramów. Czy to nie wystarczy za dowód?

Nikt nie kwapił się z odpowiedzią. Dopiero po dłuższej chwili Romero zauważył ostrożnie:

— Admirale, sprawca śmierci nie zawsze musi być mordercą... Zdarza się, że bywa jedynie nieświadomym narzędziem w czyichś rękach. Zanim wyrobię sobie ostateczne zdanie wolałbym porozmawiać z samym Oanem.

— Z zabójcą Lusina, Pawle? Zamierzasz pogawędzić sobie z nim po przyjacielsku?! — Nie posiadałem się z oburzenia.

— Po co ta ironia, Eli? W starożytności używano w takich okolicznościach określenia „przesłuchanie”. I to pan powinien je przeprowadzić. My zaś będziemy świadkami, obrońcami i widzami, drogi admirale. Nasi przodkowie zawsze tak postępowali.

Długo by jeszcze zapewne rozwodził się na temat starożytnych ziemskich obyczajów, gdyby nie Oleg, który zaproponował, abyśmy wrócili do zasadniczego tematu narady. Niebawem ustaliliśmy wspólnie, że Oan zostanie przesłuchany nazajutrz, gdyż do tej przykrej operacji trzeba było przygotować się nie tylko psychicznie, lecz również technicznie.

— Porozmawiajmy teraz o promieniu, który zniszczył „Cielca” — zaproponował Oleg.

— Nie sądzę, aby to miało większy sens — zauważyłem. — Wiemy tylko tyle, że nic nie wiemy. Lepiej z omawianiem tego problemu zaczekać do jutra, kiedy spróbuję wysądować Oana. Może on powie nam coś o naturze tej śmiercionośnej broni. Gdybyśmy dowiedzieli się gdzie i jak ten promień jest generowany, wówczas moglibyśmy się zastanowić nad metodami obrony.

— Zaczekaj, admirale — powiedział Ellon, kiedy wszyscy zaczęli się już rozchodzić. — Przekonałeś mnie, że Oan jest agentem Ramirów, ale czy w takim razie nie będzie rzeczą lekkomyślną otwarte przesłuchiwanie go? Jeśli jest naprawdę tym, za kogo go uważamy, może nas gwałtownie zaatakować.

— Dlaczego nie powiedziałeś tego w trakcie narady, Ellonie?

— Nie jestem zwolennikiem narad, za którymi ludzie tak przepadają — skrzywił się pogardliwie Demiurg. — Mam zresztą powody, dla których wolę rozmawiać z tobą na osobności, admirale. Nie znam lęku przed śmiercią tak powszechnego wśród ludzi i Galaktów. Demiurgowie są pod tym względem doskonalsi od was... Ale żal mi Ireny i pana, admirale.

Nie odpowiedziałem Ellonowi od razu, tylko poklepałem smoka po łapie, na której siedziałem i zwróciłem się do niego:

— Włóczęgo, w ogóle nie zabierałeś głosu na naradzie. Może teraz coś powiesz?

— Ellon ma rację — wychrypiał smok. — Przesłuchanie jest niebezpieczne. Chcesz przyprzeć Oana do ściany, a jego trzeba starannie omijać. Rozsądniej byłoby zrezygnować z przesłuchania, Eli.

— Najrozsądniej byłoby w ogóle nie pchać się do gromady Ginących Światów, ale skoro już tu jesteśmy, to musimy zachowywać się konsekwentnie. Oana trzeba zdemaskować!

— Wobec tego pomówmy o czym innym. Stupięćdziesięciotonowe pole Oana to dla moich generatorów fraszka. Poradzą sobie nawet z tysiącem ton — powiedział Ellon. — Potrzebne mi jednak będzie odpowiednie, dobrze ekranowane pomieszczenie, w którym dałoby się maksymalnie zogniskować pola ochronne i uniemożliwić Oanowi skontaktowanie się ze swoimi. Przesłuchaj go w konserwatorze — zakonkludował rzeczowo.

— W porządku, niech będzie konserwator. Wprawdzie Włóczęga nie będzie mógł być obecny na przesłuchaniu, ale potem pokażemy mu stereofilmy.

— Jeszcze jedno pytanie, admirale. W jaki sposób zamierzasz przesłuchiwać Oana, skoro on zawczasu zna wszystkie twoje jeszcze nie postawione pytania?

— Postaram się kontrolować swoje myśli.

— Słusznie, admirale. Zbadaliśmy z Ireną możliwości mentalne Oana, naturalnie w tajemnicy przed nim. Okazało się, że Oan potrafi odczytać jedynie te myśli, które powstały w śledzonym mózgu w jego obecności. Nasza pamięć jest przed nim zamknięta.

— A może dowiedziałeś się również, dlaczego tak się dzieje?

— Oan, podobnie jak wszystkie elektryczne pająki, odbiera zapewne wyłącznie zmienne mikropotencjały mózgu, w tym tkwi cała tajemnica. Jutro zresztą sprawię mu niezłą niespodziankę: nasycę konserwator mikrowyładowaniami, które zaciemnią obraz elektryczny pańskiego mózgu. Ale mimo wszystko będzie lepiej, admirale, gdy nie będziesz myślał z wyprzedzeniem.

— Dziękuję za ostrzeżenie. A teraz powiedz, Ellonie, jakie to względy przeszkodziły ci w rozmowie ze mną przy wszystkich.

— Nie domyślasz się, admirale?

— Czy nie obawiałeś się przypadkiem, że ciebie oskarżę o zdradę? — zapytałem.

— Tak, tak! — wykrzyknął impulsywnie. I wiesz, o czym myślałem?

— Skąd niby mam znać twoje myśli?

— Żałuj, że ich nie znasz! Myślałem o tym, że jeśli mnie oskarżysz, to nie zdołam się obronić. Oskarżyciel zazwyczaj dobiera jedynie fakty popierające jego tezę, a pozostałe ignoruje... Przeraziłem się, admirale!

— Nie przypuszczałem, że w ogóle wiesz, co to strach.

— Nie znam tego uczucia, kiedy myślę o wrogach. Ale was się boję! Nie was samych, nie waszej siły, lecz waszych błędów. Jesteśmy sobie obcy i dlatego wiele czasu upłynie, nim wreszcie naprawdę się zrozumiemy. I dlatego się przeraziłem.

Położyłem mu rękę na ramieniu. Nie był człowiekiem i na każdym kroku starał się to podkreślać. Gdyby na statku były dzieci z pewnością by je straszył. Ale był inny niż chciał się wydawać.

— Nie doceniasz ludzkiej przenikliwości, Ellonie powiedziałem niemal z czułością.

— Nie strać swojej przenikliwości na jutrzejszym przesłuchaniu! — odwarknął Demiurg.

2

Wieczór spędziłem we dwójkę z Mary. Chciałem się skupić i jeszcze raz wszystko spokojnie przemyśleć. Mary zawsze bardzo mi w tym pomaga samą swoją obecnością, milczącym zrozumieniem moich wszystkich problemów.

— Jak sądzisz — zapytała akurat wtedy, gdy o tym pomyślałem — czy Oan nie jest przypadkiem fantomem?

— Tego byłoby już za wiele! — zaoponowałem.

— Uważasz to za niemożliwe? Dlaczego? Nasi przodkowie nauczyli się przesyłać na odległość dwuwymiarowe obrazy, my potrafimy robić to samo z wizerunkami przestrzennymi, a fantomy Demiurgów mają już pewne cechy materialności. Ramirowie mogli zatem uczynić kolejny krok na tej drodze i doprowadzić do stuprocentowego dublowania swoich aktualnych postaci. To jest problem natury czysto technicznej, kwestia poziomu techniki!

Jej argumenty przekonały mnie i następnego dnia rano poszedłem poradzić się w tej sprawie Olgi, która zamieszkała razem z Ireną, chociaż na statku było pod dostatkiem wolnych kabin. Irena wychodziła akurat z laboratorium, a Olga jak zwykle coś liczyła.

— Skoro już nie możesz żyć bez swoich rachunków — powiedziałem — to zrób coś i dla mnie. Oblicz z łaski swojej stopień materialności duchów.

— Duchów, Eli? Co chcesz przez to powiedzieć? — To, co powiedziałem. Chodzi mi o zbadanie realności różnych zjaw poczynając od jakiejś babci angielskiego lorda, która zginęła gwałtowną śmiercią, a kończąc na Oanie.

— To on jest zjawą?

— Właśnie tego chciałbym się dowiedzieć.

Olga spokojnie zasiadła do nowych obliczeń. Patrzyłem z ciekawością jak w okienku podręcznego kalkulatora, na klawiaturze którego wystukiwała swoje pytania pojawiały się kolejno ośmiocyfrowe liczby. Żadna z nich nic mi nie mówiła.

— Mam już wstępną odpowiedź — powiedziała niebawem Olga. — Wyniki obarczone są najwyżej czteroprocentowym błędem. Co się tyczy duchów snujących się po salach starych angielskich zamków, to stopień ich materialności jest względnie wysoki, od osiemnastu do dwudziestu dwóch procent. Duch ojca Hamleta jest materialny w dwudziestu dziewięciu procentach, zaś posąg Komandora, który zabrał ze sobą w zaświaty Don Juana, aż w trzydziestu siedmiu. Natomiast bohaterowie starożytnych filmów osiągali materialność co najwyżej pięcioprocentową...

— Chwileczkę, co ty pleciesz! — przerwałem jej niegrzecznie. — Przecież ani Kamienny Gość, ani duchy angielskich zamków nigdy realnie nie istniały, w przeciwieństwie do bohaterów filmowych, które jednak miały jakiś wyraz fizyczny w postaci zdjęć... Skąd więc ta sprzeczność?

— Nie ma w tym żadnej sprzeczności — odparowała Olga. — Materialność zjawy jest pojęciem nie tylko fizycznym, lecz także psychologicznym, a średniowieczne duchy i Duch Ojca Hamleta były tak psychologicznie prawdziwe, że równoważyło to z nadmiarem ich, że się tak wyrażę, niefizyczność. Ludzie wierzyli w ich istnienie, podczas gdy bohaterowie filmowi zawsze byli dla nich nie więcej niż cieniami na ekranie.

— Zgoda. Przekonałaś mnie, Olgo. A co sądzisz o stopniu materialności Oana?

— Właśnie miałam o tym mówić. Nie jestem pewna, że Oan jest fantomem, ale jeśli nawet, to fantomem w osiemdziesięciu ośmiu procentach materialnym.

Wyliczenia Olgi nie tylko nie rozwiały moich obaw, ale wręcz je pogłębiły. Osiemdziesiąt osiem procent, to jednak nie sto...

— Chodźmy — powiedziałem. — Pewnie już na nas czekają.

Oan przybiegł do konserwatora jak zawsze skwapliwy i uniżony. Powitał nas pełnym szacunku gestem swoich splecionych wężowłosów, a ja znów odniosłem wrażenie, że to nie istota żywa, lecz tylko doskonały, niemal w pełni materialny fantom. Powiedziałem jednak spokojnie:

— Oanie, dwie trzecie naszej eskadry uległo zagładzie. Zginęli nasi towarzysze. Czy wiesz coś o źródle i naturze niszczycielskiego promienia, który zniszczył „Cielca”?

Zadając te pytania zauważyłem pełen zmieszania niepokój pająkokształtnego. Zdumiało go widocznie, że dzisiaj nie potrafi tak swobodnie czytać naszych myśli jak dawniej. Jego odpowiedzi też nie rozlegały się w naszych mózgach ze zwykłą wyrazistością. Urządzenia zakłócające zainstalowane w konserwatorze przez Ellona w jakimś stopniu przeszkadzały i nam.

Jak należało się spodziewać, Oan nic nie wiedział o śmiercionośnym promieniu, gdyż w ich gromadzie gwiezdnej podobnego zjawiska nigdy nie zaobserwowano. Legendy też o nim nie wspominały.

— Znasz może jednak miejsce generacji promienia lub przyczyny, dla których uderzył w nasz gwiazdolot.

Na to Oan miał swoją zwykłą odpowiedź:

— Rozgniewaliście Okrutnych Bogów i Bogowie surowo was ukarali.

— Ukarali? Za co? Czym rozgniewaliśmy mściwych bogów?

— Nie mściwych, Eli, tylko surowych.

Poprawka Oana w mózgu każdego z nas zabrzmiała właśnie w ten sposób. Poprosiłem wcześniej wszystkich obecnych na przesłuchaniu o zapisywanie w osobistych deszyfratorach wszystkich odpowiedzi fałszywego Arana. Później porównaliśmy nagrania. Treść wypowiedzi, choć wyrażona w różnej formie, byta u wszystkich ta sama, ale to akurat zdanie zabrzmiało na każdej taśmie jednakowo.

— W porządku. Surowych a nie mściwych. Nie będziemy czepiać się słów. Spróbuj teraz wyjaśnić nam co innego. Nasze maszyny myślące zostały zablokowane przez wrogie siły. Mózg pokładowy „Tarana” miał rozchwiany układ logiczny...

— Układ więzi czasowych — przerwał mi Oan. Już wam mówiłem, że maszyna zapadła na raka czasu.

— Tak, już to mówiłeś. Ale powiedzieć, to nie znaczy wytłumaczyć. Porozmawiajmy więc o chorym czasie, Oanie, bo właśnie tego zupełnie nie rozumiemy. Dlaczego zachorował czas w Ginących Światach?

— W wyniku działalności Okrutnych Bogów.

— To też już mówiłeś. Ale na czym polega ich działalność?

— Nie wiem.

— Pewnie! Skąd niby zwykły Aran mógłby się dowiedzieć o istocie działalności bogów! Przecież oni nie naradzają się z wami, prawda Oanie? Wróćmy jednak do problemu czasu. Czas chory, gąbczasty, rozerwany, to przecież określenia różnych odmian tego samego zjawiska. Po cóż więc podjąłeś wraz z towarzyszami śmiertelnie niebezpieczną próbę wyrwania się w inny wymiar czasowy, skoro na miejscu miałeś różnych czasów pod dostatkiem?

— Pomyliłeś czas chory z czasem przetransformowanym. Nasz czas jest gąbczasty, słaby, trudny do wykorzystania. Kiedy więc w okolicach Aranii pojawił się kolapsar, wokół którego czas jest gęsty, nie mogliśmy przepuścić takiej okazji. Gdyby bowiem udało się opanować taki czas, można byłoby ewakuować w przeszłość, w przyszłość lub boczne „teraz” każdą planetę i całe gwiazdozbiory ginące w słabnącym czasie.

Miałem go. Zerknąłem na Ellona, który lekkim gestem dał mi do zrozumienia, że jest gotowy. Oan też zrozumiał, że został zdemaskowany. Dwoje dolnych oczu nadal patrzyło wzrokiem pokornym i uniżonym, ale trzecie, niedobre oko gwałtownie się rozjarzyło.

— Mówiłeś przedtem, że ty i twoi towarzysze byliście uciekinierami — zauważyłem. — A teraz okazuje się, że wcale nie uciekaliście, tylko dokonywaliście eksperymentu. Nie zamierzaliście wcale uciekać, tylko opanować, okiełznać gęsty czas wokół kolapsaru. Dobrze cię zrozumiałem, Oanie?

Nie poddał się jednak, tylko podjął rozpaczliwą próbę uratowania twarzy:

— Owszem. W przyszłość można się przedostać jedynie okrężną drogą, omijając naturalny prąd czasu. Próbowaliśmy zbadać czy nie uda się prześliznąć również w przeszłość. Przekroczyć granicę teraźniejszości można jedynie w sprasowanym, zawirowanym polu temporalnym kolapsaru, gdzie gałęzie spirali czasowej leżą bardzo blisko siebie. Tak blisko, że niemal się dotykają.

— I po tym wszystkim, co nam tu opowiedziałeś, będziesz nadal utrzymywał, że twoi polegli towarzysze i ty sam jesteście Aranami?

Nie odpowiedział mi. Odchodził. Był i przestawał być. Stawał się przezroczysty, przekształcał się z ciała w cień. Zapadał się w niebyt, powoli ale nieuchronnie.

— Ellonie! — krzyknąłem rozpaczliwie.

Ellon zawahał się na moment, bo nie chciał nam zrobić krzywdy, ale nie miał innego wyjścia i z pełną mocą wyzwolił pole. Rzuciło nas na podłogę, laseczka Romera szerokim łukiem przeleciała przez konserwator i omal nie wbiła się w ścianę, ale Oan został. Kleszcze pola siłowego uchwyciły go akurat w tym momencie, kiedy jeszcze nie całkiem zniknął.

Teraz wisiał nad nami jak ćwierćmaterialna zjawa dwunastonogiego pająka. Iskra, która w momencie znikania przeskakiwała między wężowłosami, zawisła w pół drogi i tak już na zawsze została. Ucieczka z naszego czasu nie powiodła się. Oan został schwytany w ostatniej mikrosekundzie swego tutejszego bytu i zakonserwowany na wieki.

— Znakomicie to zrobiłeś, Ellonie! — wykrzyknąłem i spróbowałem podejść do unieruchomionego wroga, ale natychmiast boleśnie uderzyłem się o niewidzialną przeszkodę. — Czy on żyje? A jeśli tak, to czy klatka siłowa jest dość mocna, aby go utrzymać?

— Żyje, ale jest nieprzytomny i nie powinien się ocknąć — odparł Ellon. — Gdyby jednak nawet powrócił z niebytu, to i tak nic nam z jego strony nie grozi.

— Co zrobimy z tym strachem na wróble, Eli? zapytał Oleg.

— Zostawmy go tutaj. Niech morderca patrzy na swoją ofiarę — odparłem, myśląc o Lusinie.

— Przesłuchanie niewiele nam dało — powiedział Oleg z westchnieniem. — Nie dowiedzieliśmy się najważniejszego: czym tak rozgniewaliśmy Ramirów, że postanowili nas zniszczyć. Dalej też nie wiemy nic o ich śmiercionośnym promieniu.

— Za to dowiedzieliśmy się, że Ramirowie nie są tak wszechmocni, jak się tego obawialiśmy. Ich agent wyznał, że eksperymentował z zawichrowanym czasem wokół kolapsara. A zatem oni też nie wiedzą wszystkiego, nie wszystko potrafią. Czyż to nie jest pocieszające?

— Tak się pan z tego cieszy, admirale — uśmiechnął się ironicznie Romero — jakby naprawdę sądził pan dotychczas, że Ramirowie są prawdziwymi bogami!

Rzeczywiście się cieszyłem, ale nie dlatego, że przekonałem się o ułomności boskich rzekomo Ramirów. Ich boskość mało mnie wzruszała, ale zaczynałem już wierzyć w ich wszechpotęgę, podobnie jak uwierzyłem w ich okrucieństwo. Zeznania Oana świadczyły o tym, że jeszcze nie wszystko leżało w ich mocy. Po prostu wyprzedzili nas w rozwoju technicznym o jeden, może dwa rzędy wielkości, a to jeszcze nie powód, żeby pokornie kłaniać im się w pas. Powiedziałem:

— Jedno w każdym razie osiągnęliśmy, przyjaciele. Nie ma już wśród nas nieprzyjacielskiego szpiega. Unieszkodliwiliśmy go, a to równa się wygranej bitwie!

3

Wszyscy chcieli zobaczyć pokonanego wroga i przez kilka dni z rzędu konserwator był najczęściej odwiedzanym miejscem na statku. Nawet Włóczęga, który nie przyszedł do siebie po śmierci Lusina, dowlókł się tam z trudem i wsunął głowę do wnętrza. Popatrzył na cień Oana i powiedział do mnie:

— Jesteś pewien, że on nie żyje, Eli? Zmienił się, to prawda, ale w tym dziwnym świecie transformacje cielesne nie są niczym nadzwyczajnym...

— Żyje, ale jego aktywność została całkowicie zatrzymana, a to praktycznie równa się śmierci.

Ellon, kiedy już umieścił klatkę siłową Oana na wyznaczonym jej miejscu, powiedział z nieukrywanym zadowoleniem:

— Admirale, uwięziłem czas. Wyłączyłem go. Pająk, którego na nasze nieszczęście sprowadziłeś na statek, znalazł się poza czasem. Zestarzejemy się, umrzemy, tysiąckrotnie odrodzimy się w potomkach, a on wiecznie będzie tam trwał. To mam już za sobą i teraz mogę zająć się o wiele ważniejszym problemem. Spróbuję zdynamizować czas. To nie udało się dotychczas żadnemu Demiurgowi! I człowiekowi — dodał niemal uprzejmie.

— Co masz na myśli, Ellonie? — zapytałem. Rozdziawił w szerokim uśmiechu swoją przerażającą paszczękę. Wszyscy byli przygnębieni, a on się cieszył. Dla niego sens istnienia polegał na rozwiązywaniu coraz to nowych problemów technicznych. Teraz znalazł nowy przedmiot badań, przeczuwał ważne odkrycie, jakże więc mógł się nie cieszyć?

— Postaram się wytworzyć mikrokolapsar i zobaczyć jak on transformuje czas. — Dostrzegł wyraz niepokoju na mojej twarzy i pospiesznie dodał: — Nie obawiaj się, na razie zamierzam eksperymentować na poziomie atomowym. Dopiero kiedy uda mi się uruchomić generator mikroczasu, spróbujemy pokazać ciemnym Ramirom, że daleko im jeszcze do nas. Podczas gdy oni muszą wyszukiwać kolapsary kosmiczne, ja stworzę własny w laboratorium.

I jak zwykle zakończył przeraźliwym, bezdźwięcznym chichotem.

Często przychodzę do konserwatora, gdzie najlepiej mi się myśli. Pamiętam, iak po raz pierwszy zostałem sam na sam z wrogiem zatopionym jak mucha w bursztynie w skoncentrowanym polu siłowym. Nie potrafiłbym wytłumaczyć, dlaczego musiałem usiąść naprzeciw Oana i rozmawiać z nim na głos, zwierzać mu się ze swej nienawiści i determinacji, powtarzać, że nas nie można zawrócić z obranej drogi, że człowiek nigdy się nie cofnie, jeśli jest przekonany o swojej słuszności.

— A więc zginąłeś, Oanie — mówiłem. — Wreszcie zginąłeś, podły zdrajco! W starożytnej księdze ludzi jest powiedziane: każdy z nas pełni wolę tego, który go posłał. Ty spełniałeś wolę swoich okrutnych panów, a może jesteś jednym z nich przebranym za kogoś innego. Nie, byłeś! Teraz jesteś tylko zmaterializowaną pamięcią o ukaranym zdrajcy!... My też spełniamy wolę tych, którzy nas posłali — ciągnąłem głosem przerywanym ze wzruszenia. — My, to znaczy ludzie i gwiezdni przyjaciele ludzi. A posłano nas do waszych Ginących Światów, abyśmy dowiedzieli się, jak żyją tu istoty rozumne, aby im dopomóc, jeśli potrzebują pomocy, uczynić ich swoimi przyjaciółmi i czegoś się od nich nauczyć, jeśli wiedzą coś, czego my jeszcze nie wiemy. Ty tego nie potrafisz zrozumieć, bo nie wiesz co to miłość żywego do żywego, bo jesteś cały nienawiścią i pogardą. Ale nienawiść zasługuje jedynie na nienawiść. Trwaj więc wiecznie zasklepiony w swojej nienawiści i pogardzie! Teraz nie jesteś już dla nas groźny...

Uspokojony nieco tą dziwną rozmową z martwym wrogiem poszedłem na stanowisko dowodzenia, gdzie Oleg z Osimą i Olgą, pozostawiwszy statek pod nadzorem automatów, opracowywali plan ratunku dla resztek eskadry.

— Eli — powiedział Oleg — „Strzelec” nie nadaje się nawet na transportowiec. Olga uważa, że trzeba jego załogę przenieść na „Węża” i „Koziorożca”, zdemontować ważniejsze urządzenia, przeładować zapasy, a sam statek anihilować.

— I spowodować nowy atak Ramirów! — zaprotestowałem. — Może zapomniałeś, że okrutni władcy Ginących Światów nie znoszą anihilacji mas materialnych?

— Wobec tego wysadźmy „Strzełca” za pomocą materiałów wybuchowych. Ramirowie nie reagują na eksplozje konwencjonalne, nawet sami je wywołują, o czym najlepiej świadczy zagłada naszych statków. A teraz sprawa najważniejsza i najpilniejsza, Eli. Trzeba uruchomić MUK. Zajmij się tym z Ellonem.

— Ellon zamierza zmienić bieg czasu w procesach laboratoryjnych, żeby rozszyfrować istotę zjawiska, które Oan nazwał rakiem czasu.

— Admirale! — wybuchnął nagle Osima. — Nie pora teraz na zajmowanie się głupstwami! Eskadra znalazła się w niebezpieczeństwie i pan, jako kierownik naukowy wyprawy, ma obowiązek to niebezpieczeństwo od niej odsunąć. Musi pan opracować plan ratunku, który my niezwłocznie zrealizujemy. Nie poznaję pana, admirale! Dawniej działał pan o wiele szybciej i skuteczniej!

Spuściłem głowę. Nie tylko ja się zmieniłem, ale w niczym mnie to nie usprawiedliwiało. Oleg milczał, ale tym milczeniem również mnie potępiał.

— Macie rację, przyjaciele — powiedziałem. Najpilniejszym zadaniem jest przywrócenie sterowności statków. Zajmijcie się ewakuacją „Strzelca”, a ja w tym czasie postaram się coś zrobić z mózgami pokładowymi.

Prosto ze stanowiska dowodzenia poszedłem do Włóczęgi, który leżał płasko rozpostarty na podłodze. Na jego grzbiecie Trub z Gigiem zapamiętałe grali w durnia. Tej gry nauczył ich Lusin, który i mnie usiłował zarazić pasją do kart, ja jednak nie potrafiłem opanować prostych w gruncie rzeczy zasad gry. Anioł z niewidzialnym grali o prztyczki. Kiedyś zdarzyło mi się obejrzeć finał ich gry. Gig przegrał i zainkasował taki cios skrzydłem, że wyłeciał pod sufit jak z procy, spadł na podłogę i o mało nie połamał sobie wszystkich kości. Prztyczki Giga były słabsze, ale niewidzialny częściej wygrywał, więc Anioł też miał za swoje. Gig wyjaśnił mi z dumą, że niewidzialnym musi się szczęścić w grze, bo gra to przecież walka, a czyż istnieją lepsi żołnierze niż on i jego pobratymcy?

— Eli, siadaj z nami — zaproponował Trub, rozczesując pazurami bokobrody. — We trójkę też można grać.

— Nie chcę być durniem, nawet w grze — odparłem.

— Jeśli nie lubisz durnia, możemy zagrać w pokera. Ta gra powinna ci się spodobać! — wykrzyknął Gig. Blef to taki znakomity manewr bojowy!

Ale poker też mnie nie skusił.

— Przyjaciele — powiedziałem — muszę porozmawiać z Włóczęgą w cztery oczy.

Trub bez cienia urazy machnął skrzydłami i poleciat do wyjścia, ale Gig poczuł się trochę urażony, mrugnąłem więc do niego porozumiewawczo. Poweselał i przestał się dąsać.

— Włóczęgo, jak się dzisiaj czujesz? — zapytałem, gdy zostaliśmy sam na sam.

— Jak się czuję? — wychrypiał, łypiąc na mnie z ironią swoim bursztynowym okiem. — Nienajlepiej. Teraz to ciało jest dla mnie zbyt wielkie. Przytłacza mnie.

— A może zrobić te ciało nieważkim? Będziesz mógł wówczas swobodnie unosić się w powietrzu. Dziwne, że do tej pory o tym nie pomyśleliśmy...

— I bardzo dobrze, żeśmy nie pomyśleli. Zwrócisz mi młodość?

— Niestety, tego nie potrafię.

— A po co mi nieważkość bez młodości? Czy latający starzec jest w czymkolwiek lepszy od pełzającego? Ja nie lubię się oszukiwać, chociaż tęsknię do działania, do ruchu. Ruch przez całe życie był moim największym marzeniem.

— Nawet wówczas, kiedy zostałeś smokiem?

— Nie, wtedy byłem prawdziwie szczęśliwy, bo miałem posłuszne mi ciało. Moje cielesne życie było krótkie, ale nie oddałbym za nie nieśmiertelnej wieczności w swym poprzednim kształcie. Dziękuję ci, Eli, że podarowałeś mi tę radość.

— Mówisz tak, jakbyś się już żegnał. Niepotrzebnie. Do końca ci jeszcze daleko.

— Mylisz się, mój koniec jest już bardzo bliski. Chciałbym tylko przed śmiercią przekonać się, że nic wam nie grozi, że wyrwaliście się z pułapki.

— Możesz nam w tym pomóc — powiedziałem. — Nie rozumiem! W jaki sposób?

— Posłuchaj, Włóczęgo. Oglądałeś zapis przesłuchania Oana? Szpieg przyznał się, że Ramirowie przeprowadzają eksperymenty z czasem. A zatem istnieje coś, czego i oni nie potrafią! Ellon, który wpadł na interesujący pomysł transformacji czasu, nazwał ich nieukami.

— Ellon to chwalipięta.

— Istotnie, zbyt skromny to on nie jest, ale ważne jest co innego: z Ramirami można walczyć. Rzuciliśmy się do boju nieprzygotowani i drogo za to zapłaciliśmy. Nie cofniemy się jednak, bo nie możemy się wycofać: nasze statki są praktycznie unieruchomione...

— Wola twoja, Eli...

— Pomóż nam! Przypomnij sobie jak twojej woli podporządkowywały się gwiazdy i planety. Ożyw nasze gwiazdołoty!

— Mam ożywić statki? Ja, schorowany smok?...

— Właśnie ty, bo nikt inny tego nie potrafi. Nie ty się zestarzałeś, tylko twoje ciało. Twój potężny intelekt jest nadal sprawny, zastąp więc nasz MUK, podporządkuj sobie analizatory i mechanizmy wykonawcze!

— Zapomniałeś o moim strupieszałym cielsku, Eli... — Wyzwolimy cię z niego. Przywrócimy ci poprzednią postać. Wiem, że nienawidziłeś tamtego bytowania, ale wtedy było ono życiem niewolnego nadzorcy więziennego. Ja natomiast proponuję ci rolę wyzwoliciela, zbawcy przyjaciół, którzy tak cię kochają i tak potrzebują twojej pomocy.

— Tylko Lusin mógłby to zrobić, a Lusin nie żyje, Eli.

— Zrobi to Ellon. Demiurgowie kiedyś wypreparowali twój młody mózg z ciała Galakta, więc i dziś potrafią powtórzyć tę operację.

— Ellon mnie zabije.

— Będzie przeprowadzał operację pod nadzorem Orlana, a jemu chyba wierzysz?

— Orlanowi wierzę, ale chciałbym, żebyś i ty był przy tym obecny. — Dobiegło mnie słabe westchnienie, któremu nie towarzyszył najmniejszy bodaj kłębuszek dymu. — Pospiesz się więc, Eli! Życie wycieka ze mnie, jak woda z dziurawej beczki...

Poszedłem do Orlana.

4

U Orlana siedział, a właściwie majestatycznie zasiadał na kanapie Gracjusz. Dobrze się złożyło, że zastałem ich obu, bo nie będę musiał wszystkiego powtarzać dwukrotnie.

— Operacja ekstrakcji mózgu nie przedstawia żadnych trudności — powiedział Orlan. — W ciągu tysiącleci tak udoskonaliliśmy technikę tego zabiegu, że...

— Znów chcecie przysposabiać żywy Mózg do pracy, którą tak doskonale wykonywały wasze mechanizmy, Eli! — wykrzyknął z dezaprobatą Gracjusz.

— Mechanizmy odmówiły posłuszeństwa. Nie rozumiem cię, Gracjuszu. Powinieneś być przecież dumny, że struktura biologiczna okazała się lepsza od sztucznej konstrukcji!

— Chodźmy do Ellona — powiedział Orlan.

Ellon regulował właśnie kondensator grawitacyjny, na którego okładkach zamierzał uzyskać pole ekwiwalentne w mikroskali polu grawitacyjnemu kolapsara. W istocie była to po prostu odmiana konstrukcyjna generatora metryki wytwarzającego spiralę grawitacyjną. Powiedziałem mu, że będzie musiał oderwać sę od tego zajęcia i przeprowadzić pilną operację.

— Głupi pomysł! — odparł Ellon. — Żaden smok nie jest potrzebny, bo wkrótce uruchomię nasze mózgi pokładowe.

— Co to znaczy wkrótce?

— Wkrótce, to znaczy wkrótce. Zresztą nikt nas na razie nie atakuje, więc nie musimy się spieszyć.

— Musimy. Smok jest umierający. Stracimy jego mózg, jeśli go niezwłocznie nie zoperujemy.

— Niewielka strata, admirale. — Operacja jest niezbędna!

— Ani myślę jej robić! — Ellon odwrócił się do swojego kondensatora.

Powstrzymał go władczy okrzyk Orlana: — Ellonie, ja cię nie zwalniałem!

Ellon zamarł. Tułów gotów był skoczyć na nas, ałe głowa obracała się pokornie ku Orlanowi.

— A czy muszę pytać cię o zgodę na odejście? zapytał chmurnie.

Orlan pogardliwie zignorował jego pytanie.

— O ile dobrze pamiętam, w szkole przygotowywałeś się do egzaminu na Niszczyciela Czwartej Kategorii Impeńalnej, do którego obowiązków należało przeprowadzanie właśnie takich zabiegów. A może się mylę, Ellonie?

— To było przed Wyzwoleniem, a teraz jestem naczelnym inżynierem eskadry kosmicznej i nie mam obowiązku spełniać wszystkich próśb zwariowanego admirała! — Próśb tak, ale to jest mój rozkaz, Ellonie!

Ellon wpił się wściekłym wzrokiem w fosforyzującą niebieskawym blaskiem, nieruchomą twarz Orlana. Wspominałem już, że stosunki tych dwóch Demiurgów były dla mnie tajemnicą. Orlan zachowywał się wobec Ellona z zaskakującą uniżonością, a teraz przekonałem się, że sprawa nie jest tak prosta, jak by to na pierwszy rzut oka mogło się wydawać. Po Wyzwoleniu zlikwidowaliśmy wszystkie rangi i od tej pory jedyną miarą wartości osobnika stały się jego zdolności. Orlan starał się dowieść, że z całego serca popiera nowe porządki, ale nie potrafił zachować w tym umiaru. Przybrawszy nazwę Demiurga stał się Niszczycielem na odwrót i dobrowolnie się poniżał, płacąc tym za uprzednie wywyższenie. Teraz z obu opadły z trudem przyswojone nowe zasady zachowania. Przed dumnym Niszczycielem Pierwszej Kategorii Imperialnej zginał się w pokornym ukłonie nędzny, czwartorzędny urzędniczyna. Ellon, choć złamany, próbował jednak jeszcze walczyć: — Nie rozumiem cię, Orlanie...

— Kiedy przystąpisz do operacji?

Ellon z łoskotem wbił głowę w ramiona. Na bardziej zdecydowany protest już się nie ośmielił.

— Gdy tylko przygotuję aparaturę i płyny odżywcze. Jeszcze dzisiaj. — I ponownie pochylił się w kornym ukłonie.

— Wykonasz zabieg pod moim nadzorem! — powiedział dobitnie Orlan, odwrócił się na pięcie i długim, posuwistym krokiem wypadł z laboratorium.

Dopędziliśmy go z najwyższym trudem, gdy jednak udało się to nam, Orlan znów był Demiurgiem, uprzejmym, dobrze ułożonym przyjacielem ludzi i ich gwiezdnych braci. Nie potrafiłem się powstrzymać od niezręcznej uwagi:

— Wyobrażam sobie, Orlanie, jakiego strachu potrafiłeś napędzić w czasach, kiedy byłeś jednym z najulubieńszych dostojników na dworze Wielkiego Niszczyciela.

— To było tak dawno, że czasami wątpię, iż naprawdę było — odparł mi swym zwykłym łagodnym tonem.

— Włóczęga boi się operacji, a zwłaszcza tego, że operował go będzie Ellon — powiedziałem.

Na krótką chwilę znów ujrzałem nie swego przyjaciela Demiurga Orlana, lecz pysznego dostojnika Imperium Niszczycieli.

— Niepotrzebnie. Demiurgowie od dzieciństwa wychowywani są w duchu posłuszeństwa i rzetelności. Ellon to wybitny umysł, ale pod innymi względami nie różni się niczym od pozostałych Demiurgów.

Wróciłem do Włóczęgi, u którego zastałem perorującego Romera. Smok powiedział mu o mojej propozycji i wyznał, że lęka sę powtórnego uwięzienia, więc Paweł starał się rozproszyć jego obawy, przytaczając swoim zwyczajem mnóstwo argumentów zaczerpniętych ze starożytnej historii. Ku mojemu zdziwieniu krasomówstwo Romera odniosło skutek, bo Włóczęga popatrzył na mnie niemal z nadzieją.

— Dzisiaj, Włóczęgo — powiedziałem. — Już dzisiaj dokonasz kolejnego przekształcenia. Ty jeden wśród nas zmieniasz postaci jak kobieta fryzury. Zazdroszczę ci tego, mój przyjacielu!

— Dziękuję, Eli — zaszeleścił smok przymykając oczy.

Zgodnie z obietnicą byłem obecny przy operacji. Opisywać jej nie będę, gdyż był to zabieg dość banalny, muszę jednak wyznać, że byłem wstrząśnięty, gdy po raz pierwszy wszedłem do pomieszczenia, w którym odtąd miał rezydować Mózg. Kabina przypominała galaktyczne stanowisko dowodzenia Niszczycieli na Trzeciej Planecie: ta sama niknąca w ciemności kopuła, gwiezdne sfery, pierścieniowe ściany. A pośrodku kabiny, między stropem a podłogą, unosiła się swobodnie w powietrzu półprzezroczysta kula, w której znajdował się nasz przyjaciel Włóczęga na wieki przykuty do tego miejsca.

Wstrząsnął mną nie widok kabiny, bo byłem nań przygotowany, lecz głos, który zabrzmiał w moich uszach. Spodziewałem się usłyszeć sepleniący, ochrypły głos smoka, a nie śpiewny, melodyjny, dawno zapomniany głos Mózgu:

— Zaczniemy, Eli? — zapytał ów głos.

— Jesteś tu Włóczęgo? — wymamrotałem głupio. — Dobrze ci jest?

— Nigdzie mnie nie uwiera — odparł z lekką ironią głos. — Ellon wyrósłby na znakomitego fachowca od ekstrakcji mózgów, gdybyście nie rozbili Imperium Niszczycieli. Spieszę cię poinformować, że nawiązałem już kontakt z większością mechanizmów wykonawczych. Wkrótce uruchomię statek, a jeśli Ellon zamontuje odpowiednie anteny, również i „Wąż” będzie niebawem gotowy do drogi.

— Dziękuję ci, Włóczęgo — powiedziałem ze wzruszeniem. — Czy mogę cię tak nazywać?

— Nazywaj jak chcesz, byleś nie zwracał się do mnie jako do Głównego Mózgu. Nie chcę, abyś mi przypominał o Trzeciej Planecie...

— Będziesz dla nas Głosem — powiedziałem uroczyście. — Tak cię będziemy nazywać!

Zameldowałem Olegowi, że może już wytyczać dalszy kurs w kierunku jądra, a potem wstąpiłem do Gracjusza. Galakt był sam. Opadłem na kanapę. Byłem porządnie zmęczony.

— Źle się czujesz, Eli? — zapytał troskliwie gospodarz. — Mogę dać ci niezły...

— Gracjuszu — przerwałem mu — interesowałeś się jak nasz były Włóczęga zwany obecnie Głosem wchodzi w swoją nową rolę? Niebawem będziemy mogli poruszać się z szybkością nadświetlną. Ożyją też nasze anihilatory bojowe. Gracjuszu, pomóż Głosowi, zostań jego asystentem.

Galakt popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

— Co kryje się pod twoją propozycją, admirale? — zapytał.

— Nie wiem — odparłem niepewnie. — Chyba przeczucie. Nie potrafię ci tego wytłumaczyć, bo to nie da się wyrazić słowami, ale przeczucia dla ludzi mają swoje znaczenie. Należysz do tej samej rasy, co i Głos, dlatego proszę cię, żebyś mu pomógł...

— Zostanę asystentem Głosu, Eli — odparł z serdeczną powagą Galakt.

5

Nikt nadal nie wiedział, jakie siły blokowały pracę MUK, ale siły te stopniowo słabły i przestawały już być niepokonaną przeszkodą w uruchomieniu mózgów pokładowych. Pierwszy ocknął się MUK „Strzelca” wymontowany z ewakuowanego gwiazdolotu. Olga na wiadomość o tym wyściskała nawet Ellona, który zapewnił, że wszystkie mózgi, działające jeszcze jakby ospale, odzyskają niebawem pełną sprawność, bo siły blokujące ich działalność myślową szybko zanikają. Dodał też, że wówczas można będzie zrezygnować z usług naszego zamkniętego w kuli ulubieńca.

— Nie lubisz Głosu, Ellonie? — zapytałem.

Zamiast odpowiedzi odwrócił się do mnie plecami. Demiurgowie nie uczą się w szkołach zasad dobrego ludzkiego wychowania, a w dodatku Ellon nie zapomniał jeszcze, że kiedyś był wielce obiecującym Niszczycielem.

Rozmowa z Ellonem skłoniła mnie do zastanowienia. W dniu, kiedy mózgi pokładowe zaczną działać, Głos przestanie być potrzebny. Nie mogłem tego negować, ale kłopoty z maszynami myślącymi sprawiły, że nie mogłem już odnosić się do nich z pełnym zaufaniem. W Ginących Światach po prostu nie można było na nich polegać. Powiedziałem to przy okazji Olegowi.

— Nikt nas nie zmusza do rezygnowania z usług Głosu, kiedy mózgi pokładowe będą już w pełni sprawne — zauważył Oleg. — Będzie nawet lepiej, gdy sterowanie zostanie zdublowane.

— To właśnie chciałem zaproponować. Ale Ellon nie będzie zachwycony takim rozwiązaniem.

— Do moich obowiązków nie należy wzbudzanie zachwytu Ellona — powiedział cicho Oleg. — Na razie to ja dowodzę eskadrą, a nie on.

— Co zamierzasz? — zapytałem. — Kontynuować zaplanowany rejs czy w związku z utratą trzech czwartych eskadry wracać do bazy?

Nie odpowiedział mi od razu.

— Zżymam się na myśl o powrocie, który miałby wszelkie znamiona ucieczki, ale nie chciałbym też pchać się na oślep w ogień.

— Nie wykonaliśmy zadania — przypomniałem. Nie spełniliśmy też obietnicy danej Aranom. Gdzie jest ów skrawek czystego nieba, o którym tak wiele mówiliśmy?

Od chwili, gdy gwiazdoloty odzyskały zdolność ruchu, myślałem niemal wyłącznie o tym. Zaraz po katastrofie paniczny lęk skłaniał do ucieczki, ale w miarę upływu czasu strach mijał, osłabło też pragnienie zemsty za poległych przyjaciół i znów powróciło pytanie: czy mamy pomóc Aranom? To nie był nasz obowiązek, bo zjawiliśmy się w Ginących Światach jako zwiadowcy, a nie cywilizatorzy, mogliśmy więc z czystym sumieniem pozostawić Aranię jej losowi. Ale nie miałem czystego sumienia — miałem za to masę wątpliwości. Kiedyś przyznałem się do :.ich Głosowi.

— Chcesz narazić na niebezpieczeństwo resztę eskadry, Eli?

— W żadnym wypadku, Głosie. Szukam innych możliwości oczyszczenia przestrzeni niż ten, który zirytował Ramirów. Nieustannie o tym myślę. Ty też spróbuj się nad tym zastanowić, Głosie!

W nocy nie mogłem długo zasnąć i w milczeniu miotałem się po kabinie. Myślałem. Jeśli Ramirowie nie zdołali nas zniszczyć, to sprawa jest prosta, nie dali rady. Co znaczy nie dali rady? Nie chcieli! Spaliwszy „Cielca” osiągnęli jakiś swój cel i lekceważąco zignorowali pozostałe gwiazdoloty. Jaki to był cel? Nie dopuścić do anihilacji planety! Znali z doniesień Oana nasze zamiary i przeszkodzili nam w ich realizacji. Dlaczego? Po co im była potrzebna ta martwa planetka? Co kryje się za ich okrucieństwem wobec Aranów?

Nad ranem weszła do mnie przestraszona Mary i powiedziała z ulgą:

— Jesteś tutaj? Obudziłam się, zobaczyłam, że ciebie nie ma i pomyślałam, iż wydarzyło się jakieś nowe nieszczęście.

— Mary — powiedziałem — odpowiedz mi dlaczego Okrutni Bogowie są okrutni? Przecież okrucieństwo jest jednym z przejawów tchórzostwa i słabości, a nie potęgi!

— Tak jest w społeczeństwach ludzkich — zaoponowała z uśmiechem — ale nie musi być w cywilizacjach gwiezdnych jądra Galaktyki. Różne miejsca, różne obyczaje...

— Nie chodzi tylko o zwyczaje, ale o logikę, która wszędzie musi być jednakowa!

— Doprawdy? Dlaczego więc zarzucasz mi czasem „kobiecą logikę”, a więc logikę różną od twojej?

— Masz rację, Mary! — wykrzyknąłem ze śmiechem. — Postaram się zapamiętać, że we Wszechświecie istnieje mnóstwo rozmaitych logik czy też różnych systemów myślenia. Założę też z góry, że nasz system myślenia jest odmienny od innych i spróbuję przetransponować go, przenieść w inny układ współrzędnych i zobaczyć, jakie prawa pozostaną niezmienione, poszukać inwariantów. Inwariantów logiki i etyki międzygwiezdnej. I jeśli nawet wówczas nie zrozumiem dlaczego Ramirowie z nami walczą i czego w ogóle chcą, to znaczy, że na starość oduczyłem się myśleć.

Mary wróciła do siebie, a ja nadal biegałem po kabinie, myślałem za siebie i za Ramirów, konstruowałem i odrzucałem dziesiątki koncepcji, z których wreszcie jedna wydała mi się godna uwagi. Musiałem to natychmiast sprawdzić, więc pobiegłem do kabiny Głosu, po której majestatycznym krokiem przechadzał się Gracjusz.

— Przyjaciele — powiedziałem. — Dowódca eskadry polecił przygotować się do kontynuowania rejsu w kierunku jądra. Uszkodzonego gwiazdolotu wziąć ze sobą nie możemy, zaś jego zanihilowanie może spowodować nową kontrakcję nieznanych wrogów. Dlatego Oleg chce go zniszczyć przez zastosowanie konwencjonalnej eksplozji. Ja mam inną propozycję: może poddać „Strzelca” anihilacji tlącej? W pobliżu Ziemi często stosujemy tę metodę, jeśli zależy nam, aby zbyt gwałtowny wybuch nie naruszył równowagi ciał niebieskich:

Głos zrozumiał mnie w pół słowa.

— Masz nadzieję, że przeciwko takiej anihilacji Ramirowie nie zaprotestują? — zapytał. — Chcesz zbadać zakres tolerancji Okrutnych Bogów?

— Chcę im zadać konkretne pytanie i otrzymać na nie wyraźną odpowiedź, a nie widzę na to innego sposobu poza tym ryzykownym eksperymentem. Potrafisz przeprowadzić taką operację na odległość, Głosie?

— Bez najmniejszego trudu!

Oleg rozkazał „Koziorożcowi” i „Wężowi” oddalić się od skazanego na zniszczenie „Strzelca” na granicę widoczności optycznej, a ciężarówki odsunąć jeszcze dalej. I Głos przystąpił do akcji.

Osima, jako obdarzony najszybszym refleksem, zasiadł za sterami „Koziorożca”, aby w razie najmniejszego niebezpieczeństwa rzucić się do natychmiastowej ucieczki, my zaś zgromadziliśmy się w kabinie Głosu. Niedawny Włóczęga uspokoił nas, że eksperyment przebiega sprawnie. „Strzelec” wolno się wypala, przekształcając się w pustą przestrzeń i nie napotykając przy tym zbyt wielkiego oporu.

— Jak mam cię rozumieć, Głosie? — zapytałem. — Wyczuwam pewne ograniczenie, Eli. Moje rozkazy wykonywane są z opóźnieniem. Niewielkim, liczonym w mikrosekundach, ale jednak opóźnieniem...

— Głosie — powiedziałem. — Spowolnij anihilację, a potem stopniowo ją zintensyfikuj i zaobserwuj, jak zmieniają się siły hamujące.

Siły hamujące zanikały, gdy Głos wygaszał anihilację i wyraźnie narastały, gdy ją aktywizował. W pewnej chwili poskarżył się, że jeśli jeszcze bardziej ją przyspieszy, to cały proces wymknie mu się spod kontroli.

— Obawiasz się wybuchu czy tego, że zostaniesz zablokowany?

— Nie jestem MUK, żeby można mnie było zablokować, ale mechanizmy wykonawcze odmówią mi posłuszeństwa.

Poszedłem na stanowisko dowodzenia. Na wielkim ekranie gwiezdnym „Strzelec” jeszcze płonął, jarzył się ciemnym blaskiem niczym rozgrzana do czerwoności śrucina. Widziałem tę iskierkę tak wyraźnie, jak niczego jeszcze nie oglądałem w niebie Ginących Światów, gdyż rozdzielała nas już nie mgławica pyłowa, lecz czysta przestrzeń, w którą stopniowo przekształcał się nasz anihilowany gwiazdolot.

Olga, siedząca w fotelu drugiego pilota, cicho opłakiwała swój statek. Płakała chyba po raz pierwszy w życiu. Położyłem jej rękę na ramieniu.

— Ciesz się, Olgo! — powiedziałem. — Dzięki twojemu „Strzelcowi” uratuje się cała cywilizacja gwiezdna!

— Przestań dowcipkować, Eli! — obraziła się niespodziewanie Olga. — To nie jest odpowiednia chwila do żartów.

— Wcale nie żartuję. Już teraz widzę, że będziemy jednak mogli zanihilować planetę, przez którą uległo zagładzie dwie trzecie naszej eskadry.

Olga nie wiedziała jeszcze, że po wypaleniu gwiazdolotu zamierzaliśmy w ten sam sposób postąpić z planetą, jeśli w pierwszym etapie akcji nie zostaniemy „skarceni” przez Ramirów. Jednak „Strzelec” wytlił się bez przeszkód. Okrutni Bogowie odpowiedzieli na moje pytanie, że zdecydowanie nie życzą sobie eksplozyjnego narastania przestrzeni, natomiast nie mają nic przeciwko tego rodzaju wolno przebiegającym procesom.

— Chyba dlatego, że w przeciwieństwie do procesów gwałtownych nie zakłócają one zbytnio równowagi kosmicznej w gromadzie gwiezdnej — zauważyła Olga. Spróbuję to policzyć.

Martwa planeta nadal krążyła po tej samej orbicie między Aranią a Trzema Mglistymi Słońcami, na którą ją wciągnęliśmy. Było oczywiste, że naszym wrogom obojętna jest jej lokalizacja w układzie, pod warunkiem, że nie będziemy jej wysadzać. Ale stopniowe wyparowywanie ciała kosmicznego tej wielkości nie było rzeczą prostą. Anihilacja tląca wymagała nie tylko czasu, lecz także nieustannego podtrzymywania z zewnątrz. Planety nie można było podpalić i zostawić, bo proces wkrótce by wygasł.

— Trzeba będzie poświęcić transportowiec — powiedział Oleg z westchnieniem.

— Dwa! — wtrącił Osima. — Pozbędziemy się w ten sposób kuli u nogi, bo trudno nimi kierować przy szybkościach nadświetlnych, a poza tym nie ma z nich żadnego pożytku!

Poszedłem do parku. W parku lało. Wedle ziemskiej rachuby czasu mieliśmy późną jesień. W pozostałych pomieszczeniach statku umowne pory roku nie przejawiają się w żaden sposób: panuje w nich ciągle ta sama „pogoda”, komfort klimatyczny najbardziej sprzyjający człowiekowi. Ja jednak, aby normalnie funkcjonować, musiałem od czasu do czasu dać się zmoczyć ulewie, wysmagać mroźnemu wiatrowi lub poczuć zapach wiosny. Nie tylko zresztą ja, bo ludzie bardzo często wypoczywali w parku. Nie pamiętam natomiast, żeby kiedykolwiek z własnej inicjatywy pojawił się tam Demiurg lub Galakt. Demiurgów to nie bawi, zaś Galaktowie tak dbają o swoją nieśmiertelną cielesną powłokę, że nie chcą jej narażać na żadne niepotrzebne niebezpieczeństwo...

Jedna z alei parku prowadziła do konserwatora. Podszedłem do sarkofagu Lusina i zacząłem z nim bezgłośną rozmowę. „Przyjacielu — mówiłem doń w myśli — nigdy byś nam nie wybaczył, gdybyśmy po prostu stąd uciekli, powiedziałbyś, gdybyś tylko zdołał przemówić, że nie po to wyruszyliśmy na daleką wyprawę, że naszym obowiązkiem jest udzielić pomocy nieszczęsnym, którzy o tę pomoc błagają. Masz rację, przyjacielu. Nie zamierzam się z tobą spierać i nawet wspominać o zemście, chociaż nie należę do tych, którzy podstawiają drugi policzek. Gdybyś mógł wstać! Zobaczyłbyś piękny widok tlącej się ogromnej planety, a wokół niej rozszerzający się przestwór czystego nieba!”

A potem usiadłem w fotelu naprzeciw Oana. „Morderco i szpiegu! — wykrzyknąłem chyba nawet na głos. — Potrafiłeś swobodnie przekazywać myśli wprost do naszych mózgów, mogłeś więc bodaj dać do zrozumienia na co pozwolą, a czego zdecydowanie nie życzą sobie twoi okrutni panowie. Dlaczego więc milczałeś?... Pragnąłeś naszej zagłady? My jednak nie potrafimy zostawić nikogo na pastwę łosu i musimy pomagać tym, którzy tej pomocy potrzebują. I oto znaleźliśmy sposób na udzielenie tej pomocy, a teraz opuszczamy przeklęte Ginące Światy, zostawiając za sobą skrawek czystego nieba. Bez gwałtownych wybuchów, bez zakazanej anihilacji planet. Szkoda, że już nie żyjesz, bo mógłbyś to twoim panom powiedzieć...

Tego wieczoru Mary powiedziała do mnie:

— Cała załoga zna już plan tlącej anihilacji planety. Chciałabym się w związku z tym z tobą naradzić, bo i ja przecież będę musiała wyrazić swoją opinię na ten temat. Szukałam cię, Eli. Gdzie byłeś?

— Spacerowałem po parku.

— I oczywiście odwiedziłeś konserwator? — Dlaczego oczywiście?

— Czasami się ciebie boję, Eli. Masz w sobie coś z dzikusa uprawiającego kult zmarłych.

— Zaskakujesz mnie!

— Czyżbyś zapomniał, że i w ziemskim Panteonie też potrafiłeś przesiadywać całymi godzinami? A w Sali Wielkich Przodków tak patrzyłeś na posągi, jakbyś się do nich modlił...

— Naprawdę tak to wyglądało? — zapytałem ze śmiechem. — Nie wiedziałem, bo z pewnością postarałbym się zachowywać inaczej. Masz jednak rację, że mam wielki szacunek dla przodków, bo zawsze pasjonowałem się historią.

— Pasjonowałeś się historią! — wykrzyknęła ironicznie Mary. — Romero uważa, że nie masz o historii najmniejszego pojęcia, a ja się z nim pod tym względem zgadzam. Nie, ty po prostu jesteś cały zwrócony ku przeszłości, a to zupełnie coś innego.

— Czego ty właściwie ode mnie chcesz, Mary?

— Chcę wiedzieć, co cię skłania do nieustannego obcowania ze zmarłymi — odparła krótko.

Postarałem się, żeby odpowiedź zabrzmiała żartobliwie.

— Przecież sama mi to powiedziałaś! — wykrzyknąłem. — Jestem po prostu dzikusem uprawiającym kult zmarłych. ...

6

Eskadra opuściła gromadę gwiezdną Ginących Światów. Przez jakiś czas obserwowaliśmy jeszcze malowniczy widok planety sublimującej aureolą czystej przestrzeni, ale niebawem jarzący się ognik został daleko za rufą gwiazdolotu, niewidoczny nawet na ekranie powiększacza optycznego i znów powtórzyły się znajome krajobrazy.

Wyrwaliśmy się z zapylonej gromady, wokół rozpościerała się czysta przestrzeń, gęsto i bezładnie wypełniona gwiazdami. A przed nami narastał gigantyczny gwiezdny pożar — groźne jądro Galaktyki...

Dawniej wolny czas spędzałem przed ekranami, ale teraz, chociaż było co na nich obserwować, najchętniej przebywałem w laboratorium Ellona, gdzie budowano kondensator czasu.

Urządzenie miało kształt kuli z superwytrzymałego plastiku, coś w rodzaju niewielkiego autoklawu oplecionego jednak gąszczem przewodów, szyn prądowych i rur.

— Praca została zakończona, admirale! — wykrzyknął pewnego dnia Ellon. — Wewnątrz tej kuli znajduje się strzępek materii o wymiarach jądra wodoru. Ale jego masa przekracza sto tysięcy ton!

— Ależ to teoretycznie niemożliwe! — powiedziałem zdumiony.

— Co mnie obchodzą ludzkie teorie, admirale! błysnął oczyma Demiurg. — Niech je studiują Ramirowie, którzy tak samo jak wy nie mają zielonego pojęcia o naturze kolapsu grawitacyjnego i muszą korzystać w swych badaniach z energii naturalnych kolapsarów. Ja natomiast transformuję czas przy użyciu tego mikroskopijnego kolapsanu — podkreślił tonem głosu nowy termin. — Kiedy go wyłączę, zainplantowane do wnętrza cząsteczki wystrzelą w daleką przeszłość albo w jeszcze dalszą przyszłość!

— A sami nie powędrujemy za nimi? Ellon popatrzył na mnie z pogardą.

— Uważasz mnie za Okrutnego Boga, admirale? zapytał. — Nie jestem takim nieukiem, jak oni!

Kiedy wychodziłem z laboratorium, zapytał mnie jeszcze:

— Admirale, jesteś zadowolony z pracy mózgów pokładowych?

— Na razie nie mogę się na nie uskarżać.

— Wobec tego czemu nadal rządzi nimi Mózg? Po co je uruchamiałem?... Nie wydaje ci się dziwne, że ja, Demiurg, namawiam cię do przywrócenia ludzkiego sposobu kierowania eskadrą? Bo przecież MUK jest ludzkim wynalazkiem, prawda?...

— Wcale mi się to nie wydawało dziwne, bo wiedziałem, że Ellon wcześniej czy później znów zażąda „zdymisjonowania” Głosu. Demiurg od początku nie znosił smoka, a teraz wręcz go znienawidził, bowiem jego obecną rolę uważał za niesprawiedliwe wywyższenie. Tego nie potrafił znieść tym bardziej, że transformacja Włóczęgi w Głos została dokonana wbrew jego woli, ale za to jego własnymi rękami. Aby go nie urazić jeszcze bardziej, wyjaśniłem oględnie, że Głos nie dowodzi mózgami pokładowymi, tylko dubluje ich czynności, że dobrze byłoby mieć na wszelki wypadek innych jeszcze dublerów, w związku z czym Gracjusz wprawia się w sterowaniu eskadrą, że wreszcie to nie ja zarządziłem taki tryb pracy, tylko dowódca wyprawy... Ellon jednak przerwał mi pełnym zniecierpliwienia gestem:

— Nie mam nic przeciwko Gracjuszowi! Niech sobie ćwiczy na zdrowie i tak całej jego nieśmiertelności nie starczy mu na opanowanie funkcji MUK, ale Głos jest zbędny!

— W tej sytuacji mogę zaproponować tylko jedno: niech na temat roli Głosu wypowie się cała załoga eskadry. Jeśli wszyscy uznają twoje antypatie za uzasadnione...

— Moje sympatie i antypatie nie mają tu nic do rzeczy, ale jeśli mózgi pokładowe znów się rozregulują, ja ich więcej remontować nie będę. Nie zamierzam dostarczać wam coraz to nowych niewolników!

Wieczorem przyszła do nas Irena.

— Chciałabym porozmawiać z Elim — powiedziała. Mary wstała, ale Irena nie pozwoliła jej odejść.

— Eli — powiedziała — przy twojej żonie będzie mi łatwiej z tobą rozmawiać. Wiesz chyba, z czym przyszłam?

— Nie wiem, ale się domyślam. Chodzi o coś związanego z Ellonem, prawda?

— Tak, z Ellonem! — wykrzyknęła zaciskając nerwowo palce. — Dlaczego odnosi się pan do niego z taką pogardą, admirale?

Takiego oskarżenia się nie spodziewałem, dlatego też odpowiedziałem dopiero po dłuższej chwili:

— Czy aby nie przesadzasz, Ireno? Wszyscy, zarówno ja, jak i Oleg, kapitanowie statków i cała reszta załogi odnosimy się do Ellona z takim szacunkiem...

— Na temat Olega też mam kilka słów do powiedzenia! A jeśli chodzi o tak zwany szacunek do Ellona, to ogranicza się on do zdawkowych wyrazów uznania, że niby jest zdolny, wybitny, może nawet w pewnym stopniu genialny, ale... A on jest zdolny nie na niby, wybitny bez zastrzeżeń i genialny bez żadnego ale! Kto potrafi zrobić to, co on do tej pory dla nas zrobił?

— Istotnie, zrobił wiele — odrzekłem poważnie ale za to nie jest zdolny zrobić tego, co potrafią inni. Wśród naszych załóg nie ma postaci szarych, przeciętnych, niewybitnych. Takich po prostu zostawiliśmy w domu. A może twoim zdaniem szary jest na przykład Kamagin, twoja zaś matka przeciętna?

— Mówię o Ellonie, a nie o mojej matce lub Kamaginie. Ellon zasługuje na coś więcej niż zdawkowe uznanie! — Czego więc od nas żądasz?

— Dlaczego postawił pan nad nim smoka? — wypaliła Irena. — Dlaczego każe mu pan służyć obrzydliwemu gadowi, który w dodatku przeszkadza mózgom pokładowym w kierowaniu eskadrą?

— Pamiętaj, że maszyny raz już odmówiły posłuszeństwa.

— To co z tego? Ale znów działają, robią to, do czego zostały skonstruowane. Pańskie przywiązanie do smoka jest w tej sytuacji obraźliwe dla wszystkich, czy pan tego nie potrafi zrozumieć?!

— Nie potrafię zrozumieć czegoś innego. Tego mianowicie, za co Ellon tak nienawidzi biednego Włóczęgi? — Nie wiem! Proszę raczej zapytać, dlaczego ja nie znoszę tego smoka...

— Dobrze — odparłem. — Dlaczego więc nie znosisz Głosu?

— Nie lubię go i już! Nie cierpiałam go już na Trzeciej Planecie! Obrzydliwe, cuchnące cielsko...

— Włóczęga od tej pory bardzo się zmienił, Ireno. — Tak, zestarzał się i amory już mu nie w głowie. Ale nadal cuchnie. Dziwię się, że pan potrafił przesiadywać z nim godzinami, podczas gdy ja musiałam w jego obecności zatykać nos.

— Nie wiedziałem, że to tak wygląda...

— Oleg też się nim brzydzi, ale ustąpił panu, bo panu ustępuje zawsze i we wszystkim. Pana zaś inni zupełnie nie obchodzą, bo liczą się dla pana jedynie własne zachcianki!

— To mocny zarzut, Ireno!

— Ale sprawiedliwy! Lusin oprócz Mizara chciał wziąć ze sobą jeszcze dwa koty, ktoś jednak powiedział, że pan kotów nie cierpi. Sprawdzono to i okazało się, że istotnie za kotami pan nie przepada, admirale! No i Lusin bez słowa zrezygnował z zabrania swoich ulubionych kotów. A pan zapytał kogoś czy towarzystwo ognistego smoka sprawia mu przyjemność?

— Smoka nie ma — powiedziałem. — Jest myślący Głos koordynujący, pracę dwóch mózgów pokładowych.

Jeśli okaże się, że naprawdę nie daje sobie z tym rady, zwolnimy Głos z jego obecnych obowiązków i zatrzymamy w rezerwie.

Irena wstała. Zatrzymałem ją.

— Wspomniałaś, że masz jeszcze coś do powiedzenia na temat Olega. Zatem słucham.

Zawahała się i dopiero po dłuższej chwili powiedziała ze łzami w oczach:

— Oleg bardzo się zmienił, nie jest już taki jak dawniej. To przez pana. Jest pan główną postacią w eskadrze i wszystkich pan sobie podporządkował. Jego również. Dawniej byłam z niego dumna, teraz mi go żal. Powiedziałam mu: mój ojciec też latał z Elim, ale nie pozwalał tak sobą komenderować. Odparł mi na to, że mówię od rzeczy...

— I miał świętą rację! — wykrzyknąłem.

Po jej wyjściu przez parę minut krążyłem w milczeniu po kabinie. Mary obserwowała mnie z uśmiechem.

— Cieszysz się — wykrzyknąłem z irytacją — że na statku zaczynają się swary?

— Cieszy mnie to, że wreszcie usłyszałeś kilka nieprzyjemnych słów prawdy! — Śmiała się tak zaraźliwie, że i ja nie mogłem utrzymać powagi. — Ja sama już nie raz zamierzałam powiedzieć ci coś podobnego, ale ty tak przejmujesz się najmniejszym głupstwem... A jeśli chodzi o koty, to sama poprosiłam o ich pozostawienie na Ziemi.

— Niepotrzebnie! Jakoś bym wytrzymał ich obecność na statku...

— Chodziło właśnie o to, żebyś nie musiał wytrzymywać.

— Dość już o kotach! — zawołałem ze złością. Nie znoszę ich i basta! Powiedz lepiej, co mam robić!

— Przede wszystkim ustalić jak wygląda współpraca Głosu z Mózgami. Jeśli istotnie są w niej jakieś zahamowania, to sprawa jest poważna.

— Masz rację — powiedziałem. — Zaraz to sprawdzę.

Wokół kabiny Głosu majestatycznie przechadzał się Gracjusz, pełniąc w ten sposób swoje nowe obowiązki, które jak na razie sprowadzały się do rozmów z Głosem na wszelkie możliwe i niemożliwe tematy.

— Głosie — powiedziałem. — Jak układa ci się współpraca z maszynami myślącymi?

— Oba mózgi pokładowe są zbyt powolne — poskarżył się.

— Chcesz przez to powiedzieć, że szybciej od nich przeliczać warianty?

— Nic podobnego! Nikt nie może liczyć szybciej niż MUK, ale kiedyś ci już wspominałem, że nie analizuję kolejnych wariantów rozwiązania, tylko od razu znajduję właściwą odpowiedź.

— Tak, mówiłeś mi o tym, ale jakoś nie potrafię zrozumieć jak to w ogóle jest możliwe.

— Wszystkie rozwiązania wariantowe pojawiają się we mnie jednocześnie. Moim zadaniem jest wybór najodpowiedniejszego, więc robię to w sposób intuicyjny. Oceniam cały zbiór wariantów całościowo, nie tracąc czasu na ich kolejne analizowanie. MUK jeszcze nie zdąży przeliczyć poszczególnych możliwości, kiedy już podpowiadam jedynie właściwą odpowiedź. Trochę to utrudnia pracę mózgów, ale nigdy jeszcze nie spowodowało błędu.

— A czy ty, Gracjuszu — zwróciłem się do Galakta — też myślisz gotowymi ocenami?

— Staram się, Eli — odparł z majestatyczną skromnością.

Sytuacja zatem wyglądała zupełnie inaczej niż sądzili Ellon i Irena. Poszedłem na stanowisko dowodzenia i żeby nie przeszkadzać Osimie wywołałem Olega na korytarz. Zaprosił mnie do siebie. Zajmował malutkie mieszkanko składające się z dwóch pokoików urządzonych na wzór starożytnych kajut okrętowych.

Opowiedziałem dowódcy eskadry o żądaniach Ellona popartych natarczywymi prośbami Ireny. Oleg słuchał z obojętnym wyrazem twarzy, i uśmiechnął się tylko raz, kiedy referowałem mu zarzuty, jakie postawiła mi dziewczyna.

— Zdaje się, że bardzo cię to ubodło, Eli? — zauważył.

— Człowiekowi nie może być przyjemnie, kiedy rzuca mu się w twarz takie oskarżenia.

— Nie przejmuj się. Ja nie jestem z tych, których można zmusić do postępowania wbrew własnej woli. Jeśli zgadzam się z tobą to tylko dlatego, że masz rację. Właśnie dlatego nalegałem na twój udział w wyprawie, żeby wysłuchiwać twoich rad. To współpraca, a nie utrata samodzielności i wielka szkoda, że Irena tego nie rozumie.

— Ona nie rozumie również wielu innych rzeczy dodałem.

Oleg powściągliwie skinął głową. Powiedziałem, że skoro Głos stworzył nowy system kierowania statkiem, system skuteczniejszy od realizowanego dotychczas przez MUK, to rezygnowanie z niego byłoby nierozsądne.

— Rzecz polega na tym — ciągnąłem — że ich konstruktorzy wykorzystali jedną tylko cechę ludzkiego myślenia: zdolność analizowania i wyciągania logicznych wniosków. MUK mnoży i porównuje warianty i na tym jego rola się kończy. Jednak myślenie człowieka nie ogranicza się do zimnej analizy, jest zatem bogatsze od maszynowego. A w trudnych sytuacjach ta nietożsamość dwóch sposobów myślenia może doprowadzić do ciężkich kłopotów, może nawet do katastrofy...

— Nie potrafię ocenić, jak dalece słuszne są twoje zastrzeżenia co do sprawności mechanicznego intelektu, ale wspomniałeś o możliwych kłopotach... Co miałeś na myśli, Eli?

— Tylko to, że w każdej chwili może pęknąć każde z ogniw niezliczonych łańcuchów logicznych i wtedy skomplikowane obliczenia mózgów pokładowych doprowadzą do absurdu. Przypomnij sobie awarię na „Taranie”. Jego MUK pomylił skutki z przyczynami i całe rozumowanie diabli wzięli. Dobrze jeszcze, że zdezorientowany mózg sam siebie wyłączył, bo przecież wśród absurdalnych komend mógł się znaleźć rozkaz samozagłady lub skierowania anihilatorów na inne gwiazdoloty.

— Nasze MUK są wyposażone w wielostopniowy układ samokontroli — przypomniał Oleg.

— Mówię o sytuacjach, w których i samokontrola może zawieść.

— A czy jesteś pewien, Eli, że Głosowi nic podobnego nie może się przytrafić?

— Tak, o ile tylko nagle nie zwariuje. Głos myśli panoramicznymi obrazami. Liczy też i analizuje, ale to dla niego jedynie chwyt pomocniczy. Jest zatem rzeczą oczywistą, że ma przewagę nad maszynami.

— Zgadzam się z tobą — powiedział Oleg głosem pozbawionym wyrazu. — Możesz uznać, że jeszcze raz brutalnie narzuciłeś mi swoją wolę. Na pewno zetkniemy się jeszcze z niejedną trudną sytuacją.

— Który z nas powie Irenie i Ellonowi, że ich prośba została ponownie odrzucona?

— Powiedz lepiej ty — odparł Oleg po chwili wahania. — Mnie trudno jest rozmawiać z Ireną, która straciła głowę dla swego mentora.

— Ale przecież to jest śmieszne! Nasi gwiezdni przyjaciele są jedynie przyjaciółmi i nic więcej... Istnieją w końcu przeszkody natury cielesnej uniemożliwiające miłość. Irena myli ze sobą dwa zupełnie różne uczucia.

— Słyszałem — zauważył jakby mimochodem Oleg — że kochałeś się kiedyś w niejakiej Fioli, wężycy z Wegi. Cielesne różnice ci nie przeszkadzały?

— To było głupie młodzieńcze zadurzenie, o którym już dawno zapomniałem. Bardzo szybko zrozumiałem, że zbyt wiele nas dzieli.

— Irena też to zrozumie, ale chyba nieprędko...

7

Przekroczyliśmy granicę jądra Galaktyki.

Jak to banalnie brzmi! Jakby istniała miedza oddzielająca jądro od przestrzeni wokół jądrowej, a myśmy przez tę miedzę przeszli. Jednak nie było żadnej miedzy, nie było nawet większego zagęszczenia gwiazd, ale weszliśmy do jądra i natychmiast zorientowaliśmy się, że tam jesteśmy, bo gwiazdy nagle oszalały. Astrofizycy skrzywią się zapewne na to określenie, zarzucą mi, że przypisuję ludzkie cechy martwym ciałom niebieskim, ale nie potrafię znaleźć trafniejszego określenia niż to, które mi się od razu narzuciło. A zatem gwiazdy oszalały! Świecenie przestało być ich główną cechą, bo najważniejsza stała się pasja, z jaką to czyniły.

Nie sposób tego przekazać słowami, nie sposób wytłumaczyć komuś, kto sam nie zanurzył się w chaos wściekle rozpędzonych, miotających się, wpadających na siebie i odskakujących na powrót rozpłomienionych mas materii, nie stał się nikczemnym pyłkiem pośród sabatu gigantów!

Znaliśmy już różne gromady gwiezdne zarówno rozproszone, jak i kuliste, ale wszędzie gwiazdy zawieszone były w przestrzeni względnie nieruchomo, wszędzie ich wzajemne odległości niemal się nie zmieniały, wszędzie panował porządek narzucony przez prawa grawitacji.

Tu zaś panował chaos, bo czy może być harmonia w eksplozji?

— Eli, nie mogę obliczyć trajektorii żadnej z gwiazd! — niemal z przestrachem wykrzyknęła Olga, kiedy we czwórkę siedzieliśmy na stanowisku dowodzenia. Prawa Newtona są tu nie do poznania zdeformowane przez jakieś nadrzędne siły. Jądro kipi, a ja nie potrafię zrozumieć, co powoduje kipienie gwiazd. Nie potrafię wyobrazić sobie potęgi zdolnej do zakłócenia ich równowagi! Oleg z zadumą wpatrywał się w ekrany.

— Czy nie wydaje się wam — powiedział — że wszystkie te gwiazdy spadają nawzajem na siebie, aby potem przekształcić się w eksplodującą mgławicę?

— To doprowadzi do zagłady całej naszej Galaktyki — odpowiedziała Olga. — Ze składających się na nią około dwustu miliardów gwiazd około połowy skupia się w jądrze. Jeśli te sto miliardów eksploduje, to z pozostałych stu miliardów, w tym z naszego Słońca i Perseusza Demiurgów i Galaktów nie zostanie nawet garstka popiołu.

— Za to rozumni obserwatorzy z innych galaktyk odnotują pojawienie się kolejnego kwazara — pocieszyłem ich.

— Zaczynam podejrzewać — wyznała Olga — że postąpiliśmy nieroztropnie, pchając się do tego wrzącego kotła. W każdym razie szybkości nadświetlne są tu niebezpieczne.

Obawy Olgi, jak się wkrótce okazało, były uzasadnione. Siedzieliśmy znów we czwórkę na stanowisku dowodzenia, Osima prowadził statek, Olga coś liczyła, a ja rozmawiałem półgłosem z Olegiem.

— Z obliczeń wynika — powiedziała nagle Olga że pędzimy ku zgubie. Pewnie musiałam się gdzieś pomylić!

W tym momencie rozległy się sygnały alarmowe, na tablicy świetlnej zapłonął złowieszczy napis: „Generatory przestrzeni — gotowość bojowa!” Sięgnąłem po słuchawkę, ale Oleg mnie wyprzedził:

— Głosie, co się stało? — krzyknął. Dowiedzieliśmy się, że grupka miotających się bezładnie gwiazd, wśród których przeciskał się nasz statek, jednocześnie, jakby na dany sygnał zmieniła kierunek ruchu i popędziła w kierunku geometrycznego środka, w którym akurat się znaleźliśmy. Jedyna droga ucieczki wiedzie przez nowo utworzony kanał świeżej przestrzeni...

— Właśnie przystąpiliśmy do obliczeń — poinformował Głos.

— Wątpię, aby obliczenia przyniosły pozytywny wynik — powiedziała spokojnie Olga. — Sytuacja jest niedobra. Zapasów całej eskadry nie wystarczy na przebicie tunelu przestrzennego na zewnątrz.

Wywołałem laboratorium.

— Ellonie — powiedziałem, gdy Demiurg ukazał się na ekranie. — Znaleźliśmy się w niebezpieczeństwie i chyba tylko ślimak grawitacyjny może nas uratować. Porozum się z Głosem.

Ellon uśmiechnął się szatańsko.

— Potrafiłem wysłać do piekła całą planetę, więc z dwoma statkami też sobie poradzę. Niech tylko twój ulubieniec przyzna się do tego, że nie potrafi nawigować wśród gwiazd, a natychmiast naprawię jego błąd, admirale!

W minutę później Głos zawiadomił nas, że anihilacja substancji aktywnej nie uchroni nas przed skutkami eksplozji gwiezdnej i że jedyną nadzieją jest ucieczka przez ślimak grawitacyjny.

— Na co więc czekasz? — zapytałem niecierpliwie. — Jest jeszcze za wcześnie — uspokoił mnie Głos. — Jesteśmy z Ellonem zgodni co do tego, że stosowny moment jeszcze nie nadszedł.

Wszystkie pokładowe źródła energii zostały przełączone na zasilanie generatorów metryki. „Wąż” szedł w szyku torowym za „Koziorożcem”. Czekaliśmy.

Potem zobaczyliśmy, jak dwa słońca wyrwały się z gąszczu pozostałych gwiazd i pomknęły naprzeciw sobie, przecinając tor naszego lotu. Nie mieliśmy nawet tej pociechy, że przed śmiercią ujrzymy koniec świata. Obie gwiazdy eksplodują wcześniej niż pozostałe zdążą dotrzeć na miejsce katastrofy, my zaś wyparujemy jeszcze wcześniej, jeśli tylko nie zdołamy się wyśliznąć po spirali ślimaka grawitacyjnego.

— Start! — usłyszałem potrójną komendę, w której zmieszały się melodyjny nawet w takiej chwili Głos, skrzekliwy wrzask Ellona i beznamiętny rozkaz Olega.

Straszliwy ból skręcił moje ciało. Na pół oślepły kątem oka zdążyłem jednak zarejestrować jak w swoich fotelach wiją się Osima i Olga, jak Oleg chwycił ręką za gardło. Widok na ekranie był tak niezwykły, że na moment oprzytomniałem i zapomniałem o bólu.

Pędzące ku sobie słońca zderzyły się, ale nie wybuchły! Po prostu przeszły nawzajem przez siebie. Pomyślałem, że tracę zmysły, że ból rozdzierający moje ciało przyprawił mnie o szaleństwo. Nawet nie ucieszyłem się, że jeszcze żyjemy. Nie widziałem dróg ratunku, bo ratunek był zwyczajnie niemożliwy, chociaż gwiazdy wciąż jeszcze nie eksplodowały, lecz zachodziły na siebie jak dwa pokrywające się na chwilę cienie.

— Gwiezdne fantomy! — wykrzyknąłem ze zgrozą. Słońca przeniknęły przez siebie i teraz się rozbiegały. Doszło do zderzenia, którego nie było. Nieunikniona eksplozja nie nastąpiła. Byliśmy w królestwie fantomów, gdzie jedyną realnością był ból rozrywający na strzępy każdą tkankę, każdą komórkę naszego ciała!

Wygramoliłem się z fotela i zatoczyłem ku Olegowi, który wychrypiał z trudem:

— Do Ellona! Ja spróbuję pomóc Oldze i Osimie. Wyskoczyłem na korytarz i upadłem. Nogi miałem jak z waty, a w dodatku nie mogłem ich przestawiać normalnie, po kolei, tylko obie naraz. Zacząłem więc posuwać się skokami, jak Demiurgowie, ale zanim dotarłem do laboratorium odzyskałem władzę w nogach.

Laboratorium wyglądało jak po trzęsieniu Ziemi. Wszystkie ruchome urządzenia wyrwały się ze swoich gniazd i tylko stanowiska badawcze pozostały na swoich miejscach. Ellon leżał przy generatorze metryki i spazmatycznie poruszał kończynami. Klęczała przy nim Irena, wykrzykując coś bez związku, płacząc i całując nieprzytomnego Demiurga. Zwróciła do mnie zalaną łzami twarz i zawołała błagalnie:

— Niech mu pan pomoże! On umiera! Ja tego nie przeżyję!

Udało nam się wspólnie podnieść Ellona z podłogi i posadzić go na fotelu. Irena znów uklękła przed Demiurgiem.

— Żyjesz, żyjesz! — wykrzykiwała. — Żyjesz najdroższy! Kocham cię!

Spróbowałem ją od niego odciągnąć, ale nic z tego nie wyszło. Ellon otworzył z trudem oczy. Spojrzenie miał półprzytomne.

— Ireno — jęknął. — Ireno, nie umarłem? Dziewczyna zaczęła go całować z jeszcze większym zapamiętaniem.

— Tak, tak, tak! Żyjesz, a ja cię kocham! Obejmij mnie, Ellonie, mój najdroższy!

Demiurg chwiejnie uniósł się na nogi.

— Obejmij! — domagała się Irena. — Obejmij mnie, Ellonie!

Tym razem popatrzył na nią przytomnym wzrokiem.

— Objąć? — zapytał ze zdumieniem. — Po co mam cię obejmować?

Irena zakryła twarz rękami i wybuchnęła łkaniem. Dotknąłem jej ramienia.

— Ireno, opanuj się! — powiedziałem. — Ellon cię nie rozumie.

Odskoczyła ode mnie jak oparzona:

— Czego pan chce? Jest pan złym człowiekiem i nikogo nie chce zrozumieć!

— Natychmiast przestań histeryzować! Nie czas teraz na babskie humory!... Ellonie, co się stało? Zdążyłeś włączyć generator metryki?

— Nie, admirale, nie zdążyłem niczego zrobić odparł Demiurg. Mówił jeszcze z wielkim trudem. — Nagle skręciło mnie i rzuciło na podłogę, ale widzę, że jesteśmy uratowani... — Poczuł się widać lepiej, bo z nowym zdziwieniem popatrzył na Irenę. — Co ci jest? Coś sobie uszkodziłaś? Zaprowadzić cię do maszyny medycznej?

Irena zdołała wziąć się w garść. Potrafiła nawet blado się uśmiechnąć, tylko głos miała jeszcze trochę niepewny.

— Już wszystko w porządku — odparła. — Posprzątam laboratorium.

Odeszła, a Ellon powtórzył, że upadł w momencie, kiedy zamierzał wpuścić oba gwiazdoloty do ślimaka grawitacyjnego. Przypomniałem sobie, że nie znam losów Mary i wywołałem ją. Mary czuła się nie najlepiej, ale z wolna wracała do siebie. Paroksyzm bólu dopadł ją w kabinie, więc zdołała dotrzeć do łóżka.

— Nie martw się o mnie, Eli. Zajmij się ważniejszymi sprawami.

Teraz trzeba było pójść do kabiny Głosu, gdzie na szczęście nic się nie zmieniło. Oparłem się bez tchu o ścianę. Podtrzymał mnie Gracjusz. Galakt był blady, ale twardo trzymał się na nogach. Wymamrotałem:

— Głosie, Gracjuszu, cóż to były za straszliwe fantomy!

Jakby z daleka dobiegła mnie odpowiedź Głosu:

— To nie były fantomy, Eli. To realne słońca pędziły ku sobie nawzajem!

— I nie zderzyły się? Nie ekplodowały? Przeszły przez siebie bez szwanku? Gracjuszu, rozumiesz coś z tego? Albo wszyscy zwariowaliśmy, albo znaleźliśmy się w świecie, w którym nie działają żadne prawa fizyki, nawet prawo powszechnego ciążenia!

Gracjusz nie odpowiedział. Był równie skonsternowany jak ja. Tymczasem Głos ciągnął:

— Nagle rozerwał się we mnie strumień czasu. Byłem jednocześnie w przeszłości i przyszłości, ale w teraźniejszości mnie nie było. Wyrzucono mnie z mojego „teraz”. To było potworne, Eli... Z przeszłości nie mogłem wpływać na przyszłość, gdyż nie było teraźniejszości, przez którą te oddziaływania muszą przebiegać.

Ta informacja tak mną wstrząsnęła, że nie byłem zdolny do myślenia. W tym momencie mogłem jedynie wykonywać jakieś proste czynności: kogoś ratować, z kimś walczyć, na kogoś krzyczeć...

— Głosie, pytam cię o zderzenie słońc, a nie o twoje samopoczucie! — wrzasnąłem.

— Zderzenia nie było, Eli! Pękła nić czasu łącząca ze sobą dwie pędzące ku sobie gwiazdy. Wpadliśmy w tę przerwę i dlatego nasz czas również się rozerwał... Słońca wpadły na siebie nie w ich teraźniejszości. Prawdopodobnie jedno cofnęło się w przeszłość, drugie zaś zostało przerzucone do przyszłości. Przemknęły przez to samo miejsce, ale w różnym czasie i dlatego nie było eksplozji. Zaczynałem coś pojmować.

— Mówisz potworne rzeczy, Głosie. Mogę dopuścić, że Juliusz Cezar i Attyla chodzili w różnych czasach po tej samej ziemi, że deptali te same kamienie, ale nie mogli się spotkać, bo dzieliły ich całe wieki, ale żeby sam czas tracił ciągłość!...

— To jedyne logiczne wytłumaczenie, Eli. — Udowodnij to, Głosie!

— Mózgi pokładowe analizują w tej chwili wszystkie zjawiska zarejestrowane przez analizatory.

Wróciłem na stanowisko dowodzenia. Oleg i Osima czuli się nie najlepiej, ale poruszali się bez większego trudu. Oleg znów oddał stery Osimie, a sam zajął się przeglądaniem wyników obliczeń dostarczanych sukcesywnie przez MUK.

Wkrótce mieliśmy już ostateczny rezultat. Był przerażający. Gwiazdy realnie pędziły ku sobie, ale w momencie, kiedy ich wzajemne przyciąganie osiągnęło jakąś wartość graniczną, bieg ich czasu został zakłócony. Czas przerwał się, przestał być synchroniczny. Luka czasowa wynosiła parę mikrosekund dla cząstek elementarnych, kilka sekund dla nas i tysiąclecia dla słońc, była zatem proporcjonalna do masy. Te pozaczasowe sekundy omal nas nie zabiły i nie było na razie jasne, dlaczego tak się nie stało. Poza tym wszystko było jasne, jeśli można coś takiego powiedzieć o zjawisku, którego mechanizmów zupełnie nie rozumieliśmy.

Wieczorem wstąpił do nas Romero. Czuł się nie najlepiej, co Mary natychmiast zauważyła. Paweł powiedział nam, że tylko Mizar nie odczuł wpływu luki czasowej, że — jak się wyraził — zakłócenie temporalne zagoiło się na nim jak na psie. Gig też był w niezłej formie, ale Trub poważnie zachorował. Stary Anioł nie umiał pogodzić się z tym, że stał się igraszką jakichś potężnych sił, rozwścieczało go to i przygnębiało. Stąd choroba.

— Dlaczego jesteś taki posępny? — zapytała mnie Mary, kiedy Romero, postukując swoją nieodłączną laseczką poszedł do siebie. — Przecież wszystko skończyło się pomyślnie.

— Mylisz się — odparłem. — To był dopiero początek i nie wiadomo jaki będzie ciąg dalszy. Z prawdziwym lękiem oczekuję co nam przyniesie jutro.

Jutro nie przyniosło nam nic złego, podobnie jak i kilka następnych dni. Nic się nie działo, jeśli nie liczyć ciągłego migotania snujących się bez celu, miotających bezładnie gwiazd. A potem znów rozdzwoniły się sygnały alarmowe i każdy pospieszył na swe stanowisko bojowe. Na ekranach ukazał się znany już obraz sypiącego się na nas zewsząd rojowiska gwiazd. Osima krzyknął z przerażeniem, że jest to ten sam rój gwiezdny, w którym już byliśmy. Niemal natychmiast Głos potwierdził to przypuszczenie.

— Zapadamy się w przeszłość! — Oleg wpatrywał się z pobladłą twarzą w migotliwe iskierki szybko wyrastające do rozmiarów gwiazd.

— Pędzimy w przyszłość — poprawiła go skrupulatna Olga. — Wszystko co nas czeka jest przecież naszą przyszłością, chociaż akurat w tym szczególnym wypadku owa przyszłość już raz nam się przydarzyła.

Intensywnie myślałem. Lot ku przyszłości, która jest zarazem przeszłością, mógł oznaczać tylko jedno. Wpadliśmy w tak zakrzywiony strumień czasu, że nie było w nim początku ani końca i gdzie każda chwila była zarazem przeszłością i przyszłością. Dotychczas podobne sytuacje zdarzały się jedynie w powieściach fantastycznych i nikt nie podejrzewał nawet, że zawirowanie czasu może w ogóle realnie istnieć.

— Znaleźliśmy się w pętli czasowej — powiedziałem. — I sądząc z tego, że przeszłość nastąpiła bardzo szybko, średnica pętli jest niewielka. Będziemy teraz nieustannie krążyć po zamkniętym torze, kręcić się jak pies wokół własnego ogona. Co zamierzasz zrobić, Olegu?

Oleg zbladł jeszcze bardziej, ale jego głos brzmiał pewnie i zdecydowanie:

— Postaramy się wyrwać z tej pętli. Ellonie, przygotuj się do włączenia generatorów metryki! Głosie, daj sygnał do ich włączenia zanim ponownie znajdziemy się w luce czasowej!

Teraz pozostawało jedynie czekać. Znów rozpłomieniło się stado słońc, znów dwie gwiazdy wyprysnęły z roju i z szaloną szybkością popędziły ku sobie, a ja skurczyłem się w oczekiwaniu na rozdzierający ból, którego tym razem pewnie bym nie przeżył... Ale samobójcze słońca zaczęty nagle blednąć i znikać, i już po chwili nie było zwartego gwiezdnego roju, tylko uprzedni gwiezdny chaos, może jedynie nieco gęściejszy i bardziej rozedrgany.

Wyrwaliśmy się ze śmiertelnej pułapki w zwyczajną przestrzeń jądra.

— Luka czasowa była, jak się okazuje, nie tylko przerwą w strumieniu temporalnym, lecz także jego odgałęzieniem — powiedziała z ulgą w głosie Olga. — W przeciwnym razie nie znaleźlibyśmy się w przyszłości poprzedzającej przeszłość.

Poradziłem jej, aby podyskutowała na ten temat z Głosem, który przecież jako pierwszy wykrył lukę czasową. Ten problem nie wiedzieć czemu wydawał mi się w tym momencie mało ważny. Bardziej niepokoiło mnie to, że ślimak grawitacyjny nie wyrzucił nas poza granice jądra, lecz jeszcze głębiej wepchnął do jego środka.

8

Wybrałem się z Mary do Truba, który czuł się bardzo źle. Stary Anioł leżał na miękkiej sofie zwiesiwszy na podłogę swe ogromne skrzydła. Jego postarzała, silnie pomarszczona twarz była równie szara jak jego wyblakłe bokobrody. Z przyzwyczajenia rozczesywał je zakrzywionymi pazurami, ale tak wolno i niepewnie, że Mary nie zdołała powstrzymać łez. Truba próbowano leczyć wszelkimi znanymi metodami — od natrysków promienistych do baniek — ale było oczywiste, że jego dni są już policzone.

Wiedział, że jest już jedną nogą na tamtym świecie, lecz zachowywał pogodę ducha.

— Eli, ta luka czasowa mnie wykończyła — wyszeptał. — Anioły nie mogą istnieć w paru czasach naraz. Wiesz przecież, admirale, że mamy piekielnie silny organizm, ale co za dużo to niezdrowo! Każdy z nas jest zdeklarowanym realistą i nie umie pogodzić się z żadnym zjawiskiem nadprzyrodzonym, a przecież poplątanie czasu zakrawa na cud. Lusin zresztą nie zniósłby czegoś podobnego, jestem o tym święcie przekonany.

Mary pocieszała Truba, a mnie nie było na to stać. Kobiety potrafią zbuntować się przeciwko najoczywistszym w świecie faktom, jeśli tylko ranią one ich uczucia. Mary pod tym względem była nieodrodną córą Ewy. Słuchałem w milczeniu, jak przekonywała Anioła, że nie jest z nim wcale tak źle, że jeszcze wstanie z posłania i będzie latał jak młodzieniaszek. Musi tylko cierpliwie poddać się leczeniu, a wszystko niebawem będzie w najlepszym porządku. Nie jest wykluczone, że sama wierzyła we własne słowa. Trub nie wierzył, ale patrzył na nią z wdzięcznością. Wszedł Romero i zapytał mnie szeptem o czym myślę. Myślałem o tym, że luka czasowa niemal nie zaszkodziła przedmiotom, a na wszystkie istoty żywe poza Mizarem sprowadziła groźne dolegliwości.

Paweł pogłaskał Mizara, który położył się przy jego nodze. Mądry pies nie spuszczał oczu z Truba. Słyszał, co o nim mówiłem, ale nie zareagował. Wprawdzie dzięki staraniom Lusina doskonale rozumiał ludzką mowę, jeśli tylko nie zawierała ona pojęć zbyt dla niego abstrakcyjnych, ale jednak nigdy nie proszony nie wtrącał się do naszych rozmów.

— Wskazał pan na fakt ogromnej doniosłości, admirale — powiedział Romero. — Prawdopodobnie fazowe przesunięcie czasu czy też jego przerwanie, jak uważa Głos, było w naszym pokładowym światku tak minimalne, że przedmioty martwe nie zdołały nań zareagować. Jednak dla żywej komórki, zwłaszcza komórki nerwowej nieistnienie w ciągu jednej lub dwóch sekund równa się mikrośmierci. Musimy w przyszłości o tym pamiętać.

— Najbardziej dostało się Trubowi. — Podobnie jak Romero mówiłem niemal szeptem. — Wstrząs, jakiego doznały komórki nerwowe, doprowadził do ciężkiej choroby. On sam zresztą tak to sobie tłumaczy.

— Anioł chyba poczuł się lepiej — powiedział uradowanym głosem Paweł. — Poruszył się!

Romero niestety się mylił. To nie było ożywienie, tylko agonia. Ciało Truba wyprężyło się gwałtownie, zadygotało i opadło. Skrzydła znów bezsilnie rozpostarły się na podłodze. Trub odszedł.

— To koniec, Mary! — wykrzyknąłem z rozpaczą. — Na kogo teraz przyjdzie kolej?

Mary płakała. Romero w milczeniu stał przy posłaniu i nie ocierał łez płynących mu po twarzy. Dopiero teraz spostrzegłem, że jego nieodłączna laseczka przestała mu już służyć wyłącznie jako starożytny atrybut stroju i stała się po prostu niezbędną podporą. Wyprężony opodal Gig żałobnie postukiwał kośćmi. Ten chrzęst szkieletu na zawsze pozostanie w mej pamięci.

W konserwatorze stanął kolejny przezroczysty sarkofag.

Przez kilka kolejnych nocy zupełnie nie mogłem spać. Wspominam o tym nie dlatego, żeby wzbudzić czyjeś współczucie czy też podziw dla mojej wrażliwości. Nic podobnego! Romero powiedział mi kiedyś, że w starożytności bezsenność była niemal powszechną dolegliwością, chorobą wymagającą leczenia. Ale ja nie byłem chory ani nadmiernie wrażliwy. Przeżyłem śmierć Wiery i Astra, Allana, Leonida i Lusina, cierpiałem, ale snu mi to nie odebrało. Teraz jednak nie spałem, bo nie mogłem sobie poradzić z myślami. Podczas dyżurów i rozmów z przyjaciółmi nie potrafiłem się skupić. Nie umiem tak jak Olga wyłączyć się w największym nawet tłumie i hałasie. Do rozmyślań potrzebna mi jest bezwzględna samotność.

Wstawałem więc, kiedy Mary zasypiała, szedłem do mojej kabiny i wpatrywałem się w malutki gwiezdny ekran, na którym wciąż szalała niesłychana gwiezdna burza, panował niewyobrażalny gwiezdny chaos, zrodzony przez jakąś przedwieczną, wszechogarniającą i trwającą wciąż eksplozję. Patrzyłem na to i zastanawiałem się, co mógł oznaczać taki potworny wręcz brak elementarnego porządku, nie mówiąc już o majestatycznej harmonii gwiezdnych sfer? Jądro kipi, powiedziała kiedyś Olga mimochodem i to zdanie nie mogło mi wyjść z głowy. Co zmusza jądro do kipienia, co rozpryskuje gwiazdy niczym krople wrzącej wody? Jakaż straszliwa temperatura sprawia, że gigantyczne ciała niebieskie miotają się zupełnie jak molekuły przegrzanego gazu, i czy ta niesłychana temperatura nie powoduje zmian właściwości samej przestrzeni? Cóż zresztą wiemy o jej właściwościach! Że nie jest pustym nośnikiem ciał materialnych, gdyż może zamieniać się w materię i z materii powstawać? Ale co wiemy poza tym? Przestrzeń jest największą tajemnicą natury, najbardziej tajemniczą jej zagadką. A czas? Czy i on nie jest tu zanadto przegrzany? Przywykliśmy do spokojnego, równomiernego upływu czasu na naszej spokojnej gwiezdnej prowincji, więc nie mamy pojęcia jakie jeszcze postaci może przybierać. Bo czyż ten, który widzi ocean podczas flauty potrafi sobie wyobrazić go podczas szalejącego sztormu? Tutaj czas jest nieciągły, zrakowaciały mówił zdrajca Oan... Straszył czy ostrzegał? Biedny Trub padł ofiarą luki czasowej... A gdyby tej luki nie było? Wówczas wszyscy padlibyśmy ofiarą gigantycznej katastrofy. My, nasze statki i same gwiazdy. Cóż to byłaby za eksplozja!

— Poczekaj! — wykrzyknąłem do siebie na głos. Przecież to oczywiste i udowodnione przez MUK, że luka czasowa zapobiegła zniszczeniu co najmniej setki gwiazd! Czy zatem rak czasu nie jest szczególną formą równowagi jądra? Kiedy atom wpada na atom, cząsteczka na cząsteczkę, ich nieustannym zderzeniom zapobiegają oddziaływania elektryczne, odpychanie się różnoimiennych ładunków. Właśnie dlatego istnieją ludzie, przedmioty, organizmy i dzieła sztuki, że ich mikroskopijne atomy nie mogą się ze sobą zderzyć. A tutaj, w tym ogromnym gwiezdnym autoklawie? Tu nie ma oddziaływań elektrycznych, jest natomiast newtonowska grawitacja pchająca wszystko ku nieuchronnej zagładzie. I zagłada nie następuje jedynie dlatego, że działa też tu nowe, potężniejsze, jeszcze nie znane nam prawo wywołujące zakrzywienie i nieciągłość czasu. Tak, to właśnie jest grawitacja trwałości jądra! To właśnie ratuje przed zagładą cały Wszechświat... Wiemy już zatem, że dysharmonia temporalna jądra zapewnia mu trwałość, ale Trub miał rację, to nie jest dla nas.

Poznaliśmy granice istnienia życia, przekonaliśmy się, że w jądrze skupiającym większość gwiazd Galaktyki jest ono niemożliwe, wykonaliśmy zadanie postawione wyprawie i teraz najwyższa pora wynosić się z tego gwiezdnego piekła.

Tymi właśnie słowami na kolejnej naradzie kapitanów zaproponowałem, aby zakończyć wyprawę i wracać do domu.

Przygotowania do powrotu rozpoczęliśmy niezwłocznie.

9

Zgadzaliśmy się wszyscy co do jednego: jądro Galaktyki jest gigantycznym piecem, piekłem materii, przestrzeni i czasu. Niemal bez dyskusji przyjęto też moją hipotezę, iż luki czasowe zapewniają mu trwałość. Jedynie Romero miał pewne wątpliwości.

— Drogi admirale — powiedział. — Jeśli tylko do pomyślenia są dwa różne wytłumaczenia jakiegoś zjawiska, jedno banalne i drugie niecodzienne, pan zawsze wybierze to drugie. Taką już ma pan naturę.

— Zaprzecza pan istnieniu luki czasowej? — zapytałem. — Zapomniał pan już, jak leżał bez zmysłów na podłodze? — dodałem złośliwie.

— Tego akurat nie zapomniałem, ale wolałbym tłumaczyć to sobie bez konieczności przywoływania nieznanych praw natury, które pan zdaje się przed chwilą odkrył, admirale! — wykrzyknął Romero i obrażony opuścił naradę.

Ellon i Głos nie mieli żadnych zastrzeżeń, co było tym dziwniejsze, że ci dwaj bardzo rzadko zgadzali się ze sobą. Szczególnie ucieszyło mnie poparcie Ellona, bo to on właśnie musiał opracować sposoby ucieczki z jądra, które wciągało nas coraz głębiej.

— Admirale, nie mam pojęcia dlaczego mój ślimak działa tylko w jedną stronę — wyznał mi kiedyś dumny Demiurg. — Wedle obliczeń statki już dawno powinny znaleźć się na zewnątrz jądra, a tymczasem coraz bardziej się w nie pogrążają.

Rozmawialiśmy w laboratorium. Opodal, obrócona do nas plecami, pracowała w milczeniu Irena. Nie wybaczyła mi dotąd tego, że widziałem jej rozpacz i łzy. Ellonowi potrafiła wybaczyć brak zrozumienia dla jej uczuć, ale mnie wybaczyć nie chciała. Odwracała się na mój widok, zagadnięta odpowiadała półsłówkami i w ogóle traktowała jak najgorszego wroga. Omawiałem z Ellonem problemy o najwyższej wadze i jednocześnie korciło mnie, żeby podejść do niej, potrząsnąć brutalnie za ramię i krzyknąć: „Przestań się dąsać, idiotko! Przecież to nie moja wina!”

— Nie widzisz żadnego wyjścia, Ellonie? — zapytałem.

— Tu jest bardzo dziwna przestrzeń, admirale. Nie rozumiem jej. — Zamilkł i dodał niechętnie: — Naradź się z Mózgiem, on kiedyś nieźle znał się na właściwościach przestrzeni.

Potrafiłem ocenić, ile musiała kosztować go taka rada.

Poszedłem niezwłocznie do kabiny Głosu.

— Włóczęgo — powiedziałem. — Zgodziłeś się ze mną, że musimy stąd jak najprędzej uciekać. Generatory metryki nie potrafią nam otworzyć drogi powrotnej, może więc spróbować wyrwać się z jądra z szybkością nadświetlną, anihilując przestrzeń?

— Jestem temu kategorycznie przeciwny! — zabrzmiała zdecydowana odpowiedź. — Nieeuklidesowe zakrzywienie przestrzeni, którym blokowałem drogę statkom kosmicznym w Perseuszu, było wielokrotnie słabsze od tych, z jakimi tu mamy do czynienia. I jeszcze jedno, Eli: tam przestrzeń jest bierna i dlatego łatwo układa się w zaprogramowaną metrykę, tutaj zaś wykazuje zupełnie inne właściwości i aktywnie opiera się wszelkim oddziaływaniom.

— A nasz wypróbowany sposób anihilacji planet? — Przypominam ci, że zginęło dwie trzecie eskadry, kiedy zastosowaliśmy tę metodę!

— Tam byli Ramirowie, którzy z jakichś względów nie chcieli pozwolić na zakłócanie równowagi w Ginących Światach. A tutaj Ramirów prawdopodobnie nie ma, a w każdym razie nic nie świadczy o ich obecności. Wątpię zresztą, aby jakaś cywilizacja mogła istnieć w tym piekle.

— Spróbujmy zatem anihilować planetkę — zgodził się Głos.

Ale planet w jądrze nie było. Wśród milionów gwiazd nie znaleźliśmy bodaj jednej z własnym satelitą. Nie było nawet gwiazd podwójnych lub potrójnych.

Oleg zwołał naradę kapitanów, aby znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. Jako pierwszy głos na niej zabrał Kamagin.

— Chciałbym dzisiaj naprawić błąd, który popełniłem dwadzieścia lat temu — powiedział gorąco. — Wtedy admirał Eli rozkazał zniszczyć dwa gwiazdoloty, żeby trzeci mógł wyrwać się na wolność. Zaprotestowałem. Teraz proponuję powtórzyć tę operację z Perseusza. Do zniszczenia można przeznaczyć mojego „Węża”.

— O ile dobrze pamiętam, taka operacja w Perseuszu zakończyła się fiaskiem — zauważyła spokojnie Olga. Kamagin w odpowiedzi zaczął z pasją dowodzić, że w Perseuszu musieliśmy pokonywać opór groźnego wroga, a tutaj żadnych nieprzyjaciół nie ma, że sami przekonaliśmy się, iż żywe istoty nie mają co w jądrze robić, chyba że któraś z nich lubi kąpać się w gorącej smole.

— Zgadzam się z Elim — ciągnął — iż życie i rozum jest w naszej Galaktyce zjawiskiem peryferyjnym i wyciągam z tego taki oto wniosek: celowego przeciwdziałania nie będzie, zaś ze ślepym żywiołem z pewnością sobie poradzimy.

— Co ty na to, Eli? — zapytał Oleg.

Wyznam ze wstydem, że ogarnęło mnie niezdecydowanie. Nie mogłem poprzeć Kamagina, nie mogłem mu się przeciwstawić. Milczałem przez dłuższą chwilę. Wreszcie wykrztusiłem:

— Nie mam na ten temat żadnego zdania...

Już po naradzie, na której przyjęto projekt Kamagina, podzieliłem się swoimi wątpliwościami z Głosem i Ellonem. Demiurg uważał, że ucieczka się nie powiedzie, bo gwiazdolot ma zbyt małą masę do wytworzenia tunelu przestrzennego prowadzącego na zewnątrz jądra, a ponadto nie był pewien, że tunel będzie wolny...

— Anihilacja masy może sobie nie poradzić z dziwną tutejszą przestrzenią — ostrzegł. — Nie warto się spieszyć, Eli. Wkrótce do końca uruchomię swój kolapsan i wówczas bez trudu wyślizgniemy się na zewnątrz w nowym ślimaku grawitacyjno-temporalnym. Sam możesz się przekonać, że czas atomowy zmieniam już bez trudu.

— Od atomów do gwiazd droga jeszcze daleka! ostudziłem jego zapał. — A my natychmiast musimy wracać do domu.

— Wkrótce przejdę do makroczasu — obiecał Ellon. — Powtarzam ci, admirale, nie spiesz się! Na razie nikt nas nie zamierza zabijać.

Ellon już nie raz obiecywał mi skonstruować przystawkę temporalną do ślimaka grawitacyjnego, ale choć dzięki kolapsanowi udało mu się podporządkować sobie czas atomowy, to jednak wbrew jego zapewnieniom od atomu do ciał makroświata prowadziła długa i żmudna droga. Naradziłem się z Głosem, który uważał projekt Kamagina za jedyny realny sposób ucieczki. Trzeba tylko, dodał, wybrać fragment biernej przestrzeni, co podejmuje się zrobić bez udziału MUK. Ma takie wrażenie, że przestrzeń to on sam, że to właśnie jego skręcają i ogłupiają zawirowania przestrzeni. Za to jak wspaniale mu się myśli, kiedy napięcie słabnie!

— Będziemy czekać na twój sygnał, Głosie! — powiedziałem.

I oto zaczęła się ostatnia w naszej wyprawie do jądra ewakuacja gwiazdolotu. Powiedziałem ostatnia ewakuacja, gdyż „Wąż” był ostatnim statkiem jaki można było jeszcze porzucić. Akcją dowodził Kamagin. Dowodził energicznie i rzekłbym nawet wesoło, bo wierzył, że składając w ofierze swój statek uratuje wszystkich. Ja zaś nie byłem tak dobrej myśli. Spotykały nas dotąd same niepowodzenia, flota praktycznie przestała istnieć, a zgrupowani na jedynym statku kosmonauci stali się więźniami szalonego świata, gdzie miliardy gwiazd balansują na ostrzu noża, po obu stronach którego rozpościera się otchłań powszechnej zagłady. Czułem się tak przygnębiony, że musiałem swoje obawy wykrzyczeć na głos, aby jednak nie zarazić nimi przyjaciół postanowiłem pójść do konserwatora.

— Morderco! — powiedziałem do szpicla Ramirów. — Wszystkie nasze nieszczęścia zaczęły się od znajomości z tobą. Zdradzałeś staczających się Aranów, spróbowałeś zdradzić również i nas. Lusin padł ofiarą twojej fałszywej przyjaźni, a Petri wraz ze swoją załogą zapłacili życiem za twoje donosy. Nie wiem, dlaczego twoi panowie stworzyli na Aranii warunki zabójcze dla jej mieszkańców, po co przybrali dla nich obrzydliwą maskę Okrutnych Bogów. Natomiast wiem już teraz, że nie jesteście żadnymi bogami, żadną siłą wyższą. Jesteście tylko okrutni i potężni, ale wcale nie wszechmocni. „Ci niedouczeni Ramirowie!”, mówi o was z pogardą Ellon. Ma rację, jesteście niedouczeni. Bałeś się panicznie transformacji czasu w jądrze, Oanie! Ostrzegałeś nas przed rakiem czasu, a ten czas wcale nie jest chory, tylko zmienny, eksplodujący przy zbyt bliskim kontakcie wielkich mas pękiem linii temporalnych. I te eksplozje zabezpieczają jądro, do którego nie odważacie się nawet wsunąć nosa, od innego wybuchu, wybuchu materii. Wiedzieliście o tym? Skąd! Przecież jesteście nieukami, prymitywnymi i ciemnymi jak wszyscy okrutnicy!

Zamilkłem. Wiele bym dał za to, żeby można było ożywić fałszywego Arana i wtedy rzucić mu w złowieszcze górne oko moje pełne pasji oskarżenia. Ale Oan był martwy. Zdołał uniknąć kary. Uciekł z życia, ale nie ze świata. Jego obrzydliwe zwłoki wiecznie będą wisiały w przezroczystej klatce siłowej Demiurgów.

— Nie — ciągnąłem — pod jednym względem nie mam racji. Musieliście wiedzieć o mechanizmach rządzących tym kipiącym piekielnie gwiezdnym kotłem, który my nazywamy jądrem Galaktyki. Sami chcieliście opanować sztukę odwracania czasu, to jasne... Głupcze, nie potrafiłeś wymyślić niczego lepszego niż nurkowanie w otchłań kolapsaru. A my umieściliśmy go na stole laboratoryjnym. Nie umiemy jeszcze zmieniać czasu gwiazd, ale czas atomowy kształtujemy już całkiem dowolnie. Opuszczamy jądro, zdrajco, ale jeszcze tu wrócimy! I wówczas z pewnością nie zdołacie nas przekonać, że wasza siła równa się waszemu okrucieństwu...

10

A potem stało się to, co — dziś widzę to zupełnie wyraźnie — musiało nieuchronnie nastąpić.

Głos znakomicie wyczuwał przestrzeń; MUK bezbłędnie obliczał skupiska mas; Osima po wirtuozersku lawirował w przestrzeni, wymijając gwiezdne roje i pojedyncze słońca. Dublowali go Olga i Kamagin, równie odważni jak on i równie doświadczeni. Wszystko zostało zaplanowane, wszystko doskonale zorganizowane i przewidziane.

Wszystko poza jednym. Okazało się, że wbrew oczekiwaniom nie byliśmy jedyną rozumną siłą w jądrze. Nie byliśmy też gospodarzami nawet tego strzępka przestrzeni, przez który zamierzaliśmy się przebić. Pomyliliśmy się w najważniejszej sprawie, sądząc, że przyjdzie pokonywać jedynie opór ślepego żywiołu. A tymczasem przeciwdziałał naszym poczynaniom potężny wrogi rozum. Rzuciliśmy się do boju w nadziei, że nasi tajemniczy przeciwnicy zostali daleko, a oni byli tuż, tuż i naszej sile przeciwstawili swoją. Siła złamała siłę.

Głos zasygnalizował zbliżanie się biernego sektora przestrzeni, chociaż wokół w dzikim pląsie nadal miotały się rozszalałe gwiazdy, a mózgi pokładowe i analizatory nie wykryły żadnych zmian w naszym otoczeniu. Oleg jednak wierzył w możliwości Głosu i rozkazał ustawić „Węża” w stożku promieniowania anihilatorów.

Na stanowisku dowodzenia znajdowali się wówczas wszyscy trzej kapitanowie i Oleg. Dla mnie wstawiono tam dodatkowy fotel, ale nie skorzystałem z niego. Wolałem pójść do sali obserwacyjnej, w której zebrały się wolne od wacht załogi trzech gwiazdolotów. Na widok tego tłoku wycofałem się i wraz z Romerem i Mary zasiadłem przed małym ekranem w swojej kabinie. Dzięki temu zobaczyłem wyraźnie, jak rozegrała się nowa katastrofa.

„Wąż” leciał w pewnej odległości przed dziobem „Koziorożca”, prowadzony z naszego pokładu przez samego Kamagina. W pewnym momencie w głośnikach łączności wewnętrznej — komendy kapitanów przekazywane były do wszystkich pomieszczeń statku — rozległ się jego głos:

— Odblokowuję anihilatory masy. Cel w stożku zero-zero-trzy. Zaczynam odliczanie: dziesięć, dziewięć, osiem, siedem...

I wtedy z mętnej mgławicy spośród miotających się bezładnie gwiazd wytrysnął znany już nam promień, dokładnie taki sam, jaki rozpylił „Cielca”. Wyminął „Koziorożca” i trafił „Węża”. Na ekranie powtórzyła się znów scena zagłady gwiazdolotu. Pełne grozy milczenie przerwał przeraźliwy krzyk Kamagina:

— Mózgi pokładowe zablokowane! Głosie, masz łączność z mechanizmami wykonawczymi? Głosie, odpowiedz!

Głos nie odpowiadał. Mary jęknęła i chwyciła się za serce. Śmiertelnie pobladły Romero wymamrotał:

— To Ramirowie, admirale! Są w jądrze! Uwięzili nas!

Wstrząśnięty i zaskoczony nie mogłem oderwać się od ekranu. MUK nie działał, anihilatory zostały zablokowane, a jakaś siła zawróciła „Koziorożca” i rzuciła go na poprzedni kurs wiodący wprost do środka jądra, w rozszalały żywioł kipiących gwiazd.

— Ramirowie wiedzą o nas wszystko — powiedziałem beznadziejnie. — Mogli z łatwością zniszczyć również „Koziorożca”, ale najwidoczniej woleli pobawić się z nami w kotka i myszkę!...

## 4. Pogoń za własnym cieniem

1

Niemal natychmiast po nowej katastrofie z przerażeniem domyśliłem się przyczyny naszego nieszczęścia, jednak ta myśl nie zdołała mnie całkowicie opanować, bo nie to mi było akurat w głowie. Trzeba było najpierw ratować statek, a dopiero potem zastanawiać się, dlaczego kolejna próba ucieczki zakończyła się niepowodzeniem. Popędziłem na stanowisko dowodzenia. Dowódca eskadry i Olga wyszli z tego bez szwanku, tyle że już nie byli dowódcami, lecz podobnie jak my wszyscy bezradnymi pasażerami pozbawionego napędu galaktycznego wraku. W laboratorium też wszystko było we względnym porządku. Aparatura nie ucierpiała, Ellon i Irena czuli się dobrze, jeśli można mówić o dobrym samopoczuciu istot pozbawionych kompletnie możliwości działania. Na razie nie mogli nic zrobić, bo laboratorium zostało odcięte od dopływu energii.

— Nie chcieliście nas słuchać! — wykrzyknął gniewnie Demiurg. — Spieszyliście się, a przecież nic nam nie groziło, dopóki nie podjęliśmy tej szalonej próby ucieczki!

— Chodź z nami, Ellonie! — rozkazał Oleg, który w ślad za mną wszedł do laboratorium.

Pospieszyliśmy do kabiny Głosu.

Głos brzmiał słabo, ale wyraźnie. Poskarżył się, że odczuł bolesny wstrząs, kiedy zerwała się łączność z mózgami pokładowymi i mechanizmami wykonawczymi. Wróg sparaliżował sterowanie anihilatorami bojowymi i do tego się ograniczył, ale Głos ucierpiał niejako rykoszetem.

— To Ramirowie! — powiedział Głos. — Nie chcą nas wypuścić z jądra. Jesteśmy ich więźniami...

Jego opinia na ten temat była o wiele bardziej autorytatywna od naszej, bo dokładnie wiedział, co to znaczy więzić statek kosmiczny. Znał się na tym!

Najgorzej zniósł katastrofę Gracjusz, który w momencie zablokowania mózgów pokładowych runął bez zmysłów na podłogę i teraz ten nieśmiertelny, po utracie całego swojego majestatu, wyglądał o wiele słabiej od nas, zwykłych zjadaczy chleba. Galaktowie są zupełnie nieodporni na jakiekolwiek wstrząsy, bo w swoich rajskich ogrodach dawno już zapomnieli o tym, że świat pełen jest niebezpieczeństw.

— Trzeba skontrolować MUK — powiedział Oleg. MUK nie pracował. Odłączyliśmy go od mechanizmów wykonawczych i przenieśliśmy do laboratorium, gdzie jak nam się wydało znów zaczął działać. Były to jednak tylko pozory. Obwody przewodziły wprawdzie sygnały, ale całość zwana Małym Uniwersalnym Komputerem uległa rozkładowi.

— Odnoszę wrażenie, że wasza maszyna straciła przytomność na skutek szoku — zauważył Gracjusz, który zaczynał odzyskiwać formę. — Co zresztą innego można oczekiwać od martwego mechanizmu?

Ellon łypnął na niego złym okiem. Pospieszyłem zmienić temat rozmowy, bo ten mógł doprowadzić jedynie do kłótni między Demiurgiem i Galaktem.

— Jeśli maszyna tylko zemdlała — powiedziałem — to może jeszcze uda się ją ocucić.

Oleg polecił dostarczyć do laboratorium dwa rezerwowe mózgi wymontowane ze „Strzelca” i „Węża”. One również były w szoku, a skontrolowany przy okazji MUK „Tarana” nadal mylił przyczyny ze skutkami.

— Gracjuszu — zwróciłem się do Galakta — teraz na ciebie i Głos spadnie najcięższy obowiązek. Analizatory i mechanizmy wykonawcze znów, podobnie jak w Ginących Światach, zostaną podłączone bezpośrednio do was. Mam nadzieję, że sobie poradzicie, bo jeżeli nie, oznacza to koniec nas wszystkich.

— Ja też mam tę nadzieję — odparł z godnością. MUK „Koziorożca” zaczął dawać znaki życia. Z głębokim smutkiem słuchaliśmy jego odpowiedzi na kontrolne sygnały. Maszyna zwariowała. We własnym przekonaniu była teraz duszą dziewczyny imieniem Czarna Mańka, opłakującą z zaświatów swój nędzny i tragiczny doczesny żywot. Nie reagowała na pytania, nie wykonywała poleceń i wszelkie impulsy doprowadzane do jej wejścia kwitowała rozdzierającym stwierdzeniem: „Nie ma Mańki, bo umarła! Czarna Mańka zimny trup!...” Potem zaczynała rozpaczliwie płakać i przez łzy złorzeczyła ostatnimi słowami jakiejś „Ciepłej Personalnej”.

Wkrótce jednak zmieniła repertuar i głębokim, piersiowym altem wykonała pieśń zaczynającą się od słów: „Puchowy śniegu tren, w krąg roztoczył swe czary, dźwięczą sanek janczary, miasto spowił już mrok”...

Te komputerowe majaczenia były nie tylko idiotyczne, ale również zdumiewające. Przecież konstruktorzy mózgu nie umieścili w jego pamięci żadnych informacji na temat kochanek bandytów, obyczajów „paniczów bogatych” rozbijających się sankami po zaśnieżonych miastach, ani zasad wersyfikacji. Wszystko to maszyna wymyśliła sama, gdy straciła rozsądek.

Szaleństwo dotknęło również inne maszyny. MUK „Węża” na pytanie: „Ile gwiazd trzeciej wielkości mieści się w stożku o kącie rozwarcia równym ośmiu stopniom, wysokości dwóch lat świetlnych i osi zorientowanej dokładnie na wschód?” odpowiadała wyliczeniem od końca wszystkich pierwiastków zawartych w Tablicy Mendelejewa. Natomiast w maszynie „Strzelca”, podobnie jak dawniej w mózgu pokładowym „Tarana”, rozchwiały się związki przyczynowo-skutkowe. Dałem jej banalne zadanie kontrolne: „Wszyscy ludzie są śmiertelni. Jestem człowiekiem. A zatem jestem?...” Podała natychmiast trzy różne odpowiedzi do wyboru: „Jesteś gruby w szóstym wymiarze. Jesteś gwoździem drugiego rzędu w kratkę typu pepita. Kwiaty już zwiędły, a całka trwa”. Zaś na pytanie Olega czemu równa się sto czterdzieści trzy do sześcianu, odpowiedziała równie szybko i też troiście: „Idź się utop. Dwadzieścia osiem ton koma szesnaście metrów plus wyrazy współczucia. Byk ma rogi niezwykle kwadratowe”. Nie dość, że gadała brednie, to jeszcze nie wiedzieć czemu powtarzała je na trzy równie kretyńskie sposoby.

Odniosłem wrażenie, że mózgami „Strzelca” i „Węża” warto się jeszcze zająć, natomiast MUK „Koziorożca” jest w beznadziejnym stanie. Nie omieszkałem powiedzieć tego na głos:

— Szaleństwo dwóch pierwszych maszyn nie wychodzi poza granice ich specjalności. Straciły rozsądek, ale zachowały osobowość, jeśli w ogóle można mówić o osobowości jakiegoś urządzenia. Pozostały jednak maszynami myślącymi, chociaż myślą źle, niesprawnie i pokrętnie. Natomiast MUK „Koziorożca” w swoim przekonaniu stał się nieszczęśliwie zakochaną dziewczyną z półświatka piszącą w dodatku wiersze. To jest dopiero czyste szaleństwo!

— Nie jestem pewien, czy Romero zgodzi się z tezą, iż pisanie wierszy dowodzi kompletnej utraty władz umysłowych — zauważył Oleg.

— Mówię o maszynach, a nie o ludziach. Ludzie często oddają się dziwnym i bezużytecznym zajęciom, a ponadto mają do szaleństwa szczególny stosunek, co było widoczne zwłaszcza w starożytności. Bo czyż nie mówiono wtedy: „Ona mi się szalenie podoba!” albo „Kocham go do szaleństwa!”... Niestety myślenie ludzkie nie zawsze podporządkowuje się logice, w przeciwieństwie do myślenia maszynowego, zawsze logicznego, trzeźwego i konkretnego. Tym akurat zresztą intelekt maszyn różni się od intelektu ich niedoskonałych twórców.

— Żartowałem — powiedział Oleg. — Ellonie zwrócił się do Demiurga — zajmiesz się uruchomieniem mózgów pokładowych, ale postaraj się zrobić to bez zaniedbywania innych prac. Jak przebiegają doświadczenia z kolapsanem?

— Czas atomowy kształtuję już zupełnie swobodnie.

— To za mało. Ireno, można cię prosić?

Irena jak zwykle, gdy ktoś wchodził do laboratorium, i tym razem odeszła w jego przeciwległy kąt. Teraz zbliżyła się do nas bez pośpiechu. Oleg powiedział ze wzruszeniem, które tak rzadko uzewnętrzniał:

— Przyjaciele moi, Ireno i Ellonie. Lękam się, że nie wyprowadzimy statku z jądra, jeśli nie zdołamy odkryć jakiegoś procesu fizycznego, który pozwoli nam uniknąć wrogiej obserwacji Ramirów. Dajcie mi możliwość choć na moment oderwać się od nich w czasie. Całkiem możliwe, że „dawniej” ich nie było albo nie będzie „potem”, ale „teraz” są i są znacznie silniejsi od nas. Rozumiecie mnie, przyjaciele?

Irena tylko skinęła głową, Ellon zaś powiedział:

— Mam już wszystko przygotowane do doświadczeń z makroczasem, ale brak mi jeszcze odpowiedniego martwego przedmiotu i istoty żywej. Przedmiot martwy wybiorę bez trudu, ale skąd wezmę żywą istotę?

— Weź Mizara, Ellonie — poradziłem. — Już w starożytności przeprowadzano doświadczenia na psach. Wprawdzie Mizar jest zwierzęciem myślącym, więc trzeba będzie wytłumaczyć mu istotę eksperymentu i uzyskać jego zgodę, ale...

— Sam z nim porozmawiaj — przerwał mi bezceremonialnie Ellon. — Demiurgowie nie uważają zwierząt za istoty równe sobie, jak to czasem czynią ludzie.

— Ireno, może ty podejmiesz się przekonać Mizara? — poprosiłem. — Masz rację, Ellonie, człowiek potrafi traktować zwierzęta po ludzku.

Wątpię, by Ellon właściwie zrozumiał moją replikę, ale mało mnie to obchodziło. Ważne było to, że Irena zgodziła się porozmawiać z Mizarem. Nieco tym uspokojony znów podszedłem do mózgu pokładowego „Koziorożca”. — Znasz mnie? — zapytałem. — Pamiętasz?

W odpowiedzi MUK zaśpiewał drżącym dyszkantem, w niczym nie przypominającym jego normalnego barytonu:

Jak pantera, co w złotej klatce śpi

Prężysz swój złocisty kark

I rozchylasz czerwień warg,

By za chwilę ramionami zwisnąć u mych bark!

Widok wspaniałej, jeszcze niedawno tak rozumnej i na swój sposób błyskotliwej maszyny, a teraz uważającej się za żywą istotę i kompletnie pomylonej na punkcie stosunków męsko-damskich, był tak smutny i żałosny, że z najwyższym trudem powstrzymałem się od łez.

2

Wieczorem wstąpił do mnie Romero.

Usiadł w fotelu, ustawił laseczkę między kolanami i zagapił się roztargnionym wzrokiem w ekran, na którym wciąż bezładnie krążyły rozszalałe gwiazdy. Spostrzegłem nagle z bolesnym współczuciem to, na co dawniej jakoś nie zwróciłem uwagi: Romero zaczynał tracić formę, dziadział, jak dosadnie mawiali jego ulubieni starożytni. Wprawdzie nadal dbał o to, żeby w jego czarnej fryzurze i starannie pielęgnowanym zaroście nie pojawił się bodaj jeden siwy włosek, ale głębokich zmarszczek, które przeorały mu twarz nie dało się zamaskować. Widziałem, że jest załamany, że potrzebuje pociechy. Powiedziałem więc lekkim tonem:

— Przeżyliśmy niezwykle interesującą przygodę, nieprawdaż?

Patrzył na mnie długo wielkimi ciemnymi oczami, wpatrywał się tak intensywnie, że nagle przypomniałem sobie, jak kiedyś w momencie irytacji Mary wykrzyknęła: „Paweł jest taki przystojny, wytworny i dobrze wychowany, ma tak piękne oczy, których może mu pozazdrościć każda kobieta, a ja musiałam zakochać się akurat w tobie, ty zwariowany brzydalu! Cóż to za niesprawiedliwość losu!”

— Admirale, pańskie zamiłowanie do paradoksów przekracza granice przyzwoitości! — wykrzyknął wreszcie z oburzeniem. — Tragedię nazwać interesującą przygodą! To niesłychane...

— W porównaniu z losami Petriego i jego towarzyszy...

— Mówię w tej chwili o nas, o mnie i panu, Eli! Popisaliśmy się niewybaczalną głupotą, mój przenikliwy admirale! Wlecieliśmy do jądra jak ćmy do ogniska!... Ćmy w piekielnym gwiezdnym piecu, słabe owady w twardych palcach okrutnych wrogów!

— Dostał pan obsesji na punkcie ciem, Pawle?

— Prawie — odparł z goryczą. — Od momentu, gdy Ramirowie zniszczyli „Węża”, ciągle sobie powtarzam, że jesteśmy słabymi ćmami lecącymi do ogniska. A wie pan, że tego samego słowa użył nasz pokładowy MUK?

— Był pan w laboratorium?

— Właśnie stamtąd wracam. Zapytałem mózg pokładowy, co sądzi o nieciągłości czasu w tym dziwnym świecie, nazywanym przez nas jądrem Galaktyki. I w odpowiedzi usłyszałem... Jak pan sądzi, co to mogło być?

— Pewnie jakaś głupawa piosenka albo wierszyk. — Właśnie. Dziwny wierszyk. Proszę posłuchać. I Romero wydeklamował:

Motylem jestem, ćmą tęczoskrzydłą.

Świat mi się znudził, życie obrzydło...

Jak długo można z kwiatka na kwiatek,

Gdy róża kole, więdnie bławatek,

Gdy drży osika z wielkiego strachu?

Nie chcę nektaru! Pójdę do piachu...

— Dziwne w tych rymach wydaje mi się jedynie to, że MUK przestał się uważać za sentymentalną dziewczynę z półświatka i zaczął przemawiać jak znudzony łatwymi podbojami prowincjonalny donżuan.

— Nie, mój uczony przyjacielu, dziwne jest coś innego. W moim mózgu tkwiło uparcie słowo „ćma”, a MUK użył właśnie tego wyrazu. Nic to panu nie mówi? — Nic a nic.

— Wielka szkoda, admirale, że nigdy nie interesował się pan starożytnymi obyczajami, bo znajomość historii bywa czasem niezmiernie użyteczna... Ale zostawmy te utyskiwania. Otóż moja uniwersytecka praca dyplomowa nosiła tytuł „Folklor miejski pierwszej połowy dwudziestego wieku starej ery” i cytowała wszystkie piosenki i wierszyki, którymi teraz operuje nasz zwariowany MUK.

— To rzeczywiście jest bardzo dziwne i interesujące.

— Cieszę się, że to do pana dotarło. Atak Ramirów spowodował rozdwojenie jaźni naszej biednej maszyny. — Rozdwojenie czasu, Pawle.

— Ma pan rację, rozdwojenie czasu. MUK przebywa równocześnie w dwóch epokach. Fizycznie, materialnie znajduje się tutaj, na pokładzie „Koziorożca”, natomiast psychicznie, jeśli tego określenia można użyć w stosunku do maszyny, tkwi w przeszłości. Wszyscy, jak pan wie, jesteśmy powiązani z mózgiem pokładowym naszym indywidualnym promieniowaniem, a zatem i moje biopole jest w nim zakodowane. MUK nieustannie odbierał wszystkie moje impulsy mózgowe, przyswajał sobie całą moją wiedzę, moje wyobrażenia o przeszłości, ale wszystkie te informacje były nieprzydatne do jego bieżącej pracy. Teraz natomiast, gdy został wypchnięty w przeszłość, operuje jedynie tymi wiadomościami, które dotyczą tego zamierzchłego okresu. Pytał pan czy MUK pana zna, ale w przeszłości, która stała się jego teraźniejszością, admirał Eli po prostu nie istniał. Szaleństwo mózgu pokładowego „Koziorożca” polega, powtarzam, na tym, że fizycznie jest on tu i teraz, zaś intelektualnie tam i wcześniej.

— A co z innymi maszynami myślącymi, Pawle?

— Każdy wariuje na swój sposób, admirale. Odnosi się to nie tylko do ludzi, ale także do maszyn.

— Pańska hipoteza otwiera obiecujące możliwości uzdrowienia mózgów pokładowych — powiedziałem.

— Ja natomiast widzę inną możliwość. Lękam się, że my wszyscy wkrótce tu powariujemy! — odparł z goryczą Romero.

Po czym przypomniał mi Oana i jego chory czas. Przepowiednia zdrajcy spełniła się co do joty: znaleźliśmy się w chorym czasie. Wielkim błędem z naszej strony było to, że krążąc wśród światów, gdzie dysharmonia temporalna jest zjawiskiem normalnym, obowiązującym powszechnie prawem, łudziliśmy się, iź nas samych ta klęska nie dotknie. W dzikim chaosie jądra niestabilność czasu gwarantuje, być może, fizyczną trwałość gwiazd, ale też z pewnością jest zabójcza dla naszych harmonijnych organizmów. Trwająca niewiele dłużej niż mgnienie oka luka w „teraz” omal nie doprowadziła nas do zguby. Zachorowaliśmy, na razie o tym nie wiedząc. Rozpad więzi czasowych dokonuje się teraz również i w nas.

— Ale maszyny myślące już zwariowały, my natomiast jak dotąd zachowaliśmy trzeźwe głowy. Jeśli oczywiście nie uznamy za przejaw szaleństwa pańskiej teorii o stopniowym rozpadzie naszego indywidualnego czasu...

— Funkcjonujemy na innej zasadzie niż intelekty mechaniczne — odparł Romero ignorując moją złośliwość. — Organizmy mają zapewne wewnętrzne stabilizatory czasu, bo nie wątpię, że natura tworząc życie zatroszczyła się o jego ochronę również przed takimi kataklizmami, jak zakłócenie rytmu temporalnego. Natura wie przecież najlepiej, na co ją stać... My zaś nie mieliśmy pojęcia, że trzeba MUK zaopatrzyć w stabilizator czasu i dlatego maszyny myślące są słabsze od naszych mózgów przynajmniej pod tym względem. Ale naszej odporności też nie wolno przeceniać! Zakłócenia synchroniczności nawarstwiają się w komórkach i kiedy pokonają próg wytrzymałości stabilizatora biologicznego, my też stracimy rozsądek.

— Postaramy się uciec z zagrożonego obszaru zanim do tego dojdzie. Pawle, mam propozycję. Jeśli zależy panu na sprawdzeniu słuszności hipotezy o rozszczepieniu indywidualnych czasów, proszę zająć się wraz z Ellonem i Ireną uruchomieniem naszych mózgów pokładowych.

— Żartuje pan, admirale? — wykrzyknął zdumiony Romero. — Ośmielę się zauważyć, że remont przyrządów to domena inżynierów, a ja jestem z wykształcenia historykiem!

— O to właśnie chodzi! Właśnie historyk jest do tego niezbędny! Jeśli MUK znajduje się intelektualnie w przeszłości, to jedynie historyk może go przywrócić czasom obecnym. Proszę sobie wyobrazić człowieka, który zasnął sześćset lat temu i niedawno się obudził. Co by pan z nim zrobił? Posadził w ławce i zmusił do nauczenia się, poznania wydarzeń i faktów, które zaszły podczas jego snu. Po zakończeniu nauki nasz śpioch znajdzie się w swoim nowym czasie, prawda? Trzeba zatem postąpić tak samo ze zwierszokleciałym mózgiem! Mam nadzieję, że pana, jako miłośnika poezji, takie określenie nie nazbyt szokuje...

— Już dawno pogodziłem się' z faktem, że ludzie nie zawsze najstaranniej dobierają wyrażenia. Pozwolę sobie jednak przypomnieć panu, admirale, że „zwierszokleciał” tylko jeden MUK, a pozostałe zachorowały na co innego. Czy je również będziemy leczyć lekcjami historii?

— Zaaplikujemy im lekcje logiki. Przyczyna poprzedza skutek, oto zasada, na której zbudowano nasze maszyny. Luka czasowa naruszyła logikę obliczeń. Znamy istotę schorzenia i chyba potrafimy zwalczyć szaleństwo logiczne, jeśli pan poradzi sobie z szaleństwem historycznym. Myślałem, że już go przekonałem, gdy nagle Romero uniósł tragicznym gestem laseczkę i wykrzyknął z patosem:

— Po cóż te wszystkie remonty, kuracje i naprawy?... Trafiliśmy do piekła, z którego nie ma ucieczki. Gdzie się znajdujemy? W jądrze Galaktyki? Nic podobnego! Nie ma żadnego jądra, bo coś zwartego może istnieć tylko w spójnym czasie, a takiego akurat czasu tu nie ma! Jesteśmy nigdzie, gdyż znajdujemy się wszędzie jednocześnie!... To się nie mieści w głowie! Oszaleję, jeśli mi ktoś tego nie wytłumaczy... Już oszalałem!...

Złapał się rękami za głowę i wydawało się, że lada chwila zacznie rwać włosy, wrzeszczeć, toczyć pianę z ust. Jeszcze nie oszalał, ale już dostał ciężkiego ataku histerii. Wpadłem we wściekłość. Zacisnąłem pięści i już gotów byłem go uderzyć, gdy nagle popatrzył na mnie uważnie, opuścił wolno ręce i zapytał:

— Chce mnie pan zbić, admirale? Proszę bardzo, nie będę się bronił. Dawniej ludzi bijano i czasem to pomagało.

Tylko te słowa, którym towarzyszył niepewny uśmiech, uratowały go przed policzkiem. Opadłem na fotel i położyłem ręce na kolanach, żeby uspokoić rozdygotane dłonie. Rozumiałem teraz, co czuli kapitanowie statków, kiedy załoga odmawiała wykonania ich rozkazów. Histeria w obliczu powtarzających się katastrof nie była przecież lepsza od buntu na zagubionym w oceanie żaglowcu.

— Pawle, apeluję do pańskiego rozsądku, do pańskiego wspaniałego rozumu! Poczuł się pan dotknięty, że tragedię nazwałem interesującą przygodą? Ale czyż mówiąc o przygodzie nie mamy zarazem na myśli jej szczęśliwego zakończenia? I czyż dziś nie jesteśmy pod pewnym względem najszczęśliwszymi z ludzi?

— My mamy być najszczęśliwszymi z ludzi? — zapytał głucho Romero. — Mówiłem już panu, admirale, że pańskie paradoksy mnie nużą...

Przypomniałem mu jednak, że Oleg od dzieciństwa marzył o wyprawie do jądra Galaktyki, najbardziej tajemniczego i niedostępnego miejsca w całym Wszechświecie i że to on właśnie jako pierwszy z galaktycznych kapitanów doprowadził tu eskadrę. Dzięki temu wejdzie do historii jako odkrywca jądra. A czyż może być nieszczęśliwy pionier, jeśli nawet zapłaci przedwczesną śmiercią za miejsce w Panteonie? Że sam Romero, znawca starożytności, specjalista w dziedzinie historii porównawczej społeczeństw zyskał możliwość poznania takich form życia, takich cywilizacji rozumnych, o których nam się nawet dawniej nie śniło. Czy to też należy zaliczyć do nieszczęść? Że Olga, Osima i Kamagin zawsze za sens swojego życia uważali prowadzenie potężnych statków po niezbadanych gwiezdnych trasach. Czyż więc nie dopięli celu swojego życia, nawet jeśli teraz przyjdzie im z tym życiem się rozstać? I czy nieszczęśliwy jest Głos, nasz Główny Mózg, nasz były Włóczęga, który zaznał wszystkiego, o czym mógł tylko zamarzyć: potęgi myśli, rozkoszy cielesności, władzy nad przestworem Wszechświata? A Galakt i Demiurgowie? Czyż każdy z nich nie realizuje najlepszych cząstek swych osobowości, nie wciela w życie tego, do czego zdolny był w swoich marzeniach, pragnieniach i zrywach woli? Nie, tu o nieszczęściu nie może być mowy. Nawet jeśli pisany jest nam tragiczny koniec, to już dziś nasz los jest godzien pozazdroszczenia!

Romero uniósł się z trudem, wspierając się ciężko na lasce.

— Mój stary przyjacielu Eli! — powiedział. — Nie chcę, nie mogę się z panem kłócić. Admirale, czy mogę przystąpić do wykonywania rozkazu?

Zasunąłem drzwi, aby nawet Mary nie mogła w tym momencie do mnie wejść. Nawet ona nie powinna oglądać mnie w tym stanie. Bo gdy tylko w oddali ucichło postukiwanie laseczki opadłem na fotel, chwyciłem się za głowę, jak to niedawno uczynił Romero i zacząłem jęczeć z rozpaczy, poczucia bezsiły i przerażenia na myśl o końcu, który przepowiadałem. Atak histerii, któremu nie pozwoliłem opanować Romera, dopadł teraz mnie. Miałem znacznie więcej powodów do utraty opanowania niż on, a w dodatku nie mogłem nikogo prosić o pomoc. Nie mogłem zdradzić tajemnicy zanim statek znajdzie się poza zasięgiem niebezpieczeństwa.

3

Ellon poczuł się śmiertelnie obrażony, kiedy poprosiłem go, aby do transformatora czasu dobudował jeszcze stabilizator podobny do tego, w jaki natura wyposażyła nasze ciała. Tak uwierzyłem w hipotezę Romera, że przyjąłem ją za pewnik. Demiurg błysnął wściekle oczami i warknął:

— Admirale, nie wtrącaj się do spraw, o których nie masz zielonego pojęcia! Transformator, stabilizator, może jeszcze multiplikator? Wymyślaj swoje nazwy, ale nie przeszkadzaj mi w robocie. Sądzisz, że jeden chaos zastępujemy innym? No to zapamiętaj sobie raz na zawsze, że budujemy uniwersalną maszynę czasu!...

Wykrzykując to skakał przede mną jak konik polny i wściekle wymachiwał rękami. Wiedziałem, że Ellon jest źle wychowany jak na ludzki gust i że studiując ziemszczyznę najchętniej uczył się słów powszechnie uznawanych za obelżywe, więc nie bardzo przejąłem się jego zachowaniem. Przypisałem jego podniecenie skutkom zagłady „Węża”, myśląc przy tym, że nawet wytrzymałość niezmordowanych Demiurgów ma swoje granice. Wątpię, aby od momentu ostatniej katastrofy Ellon wypoczywał choćby godzinę. W ogóle nie przyszło mi do głowy, że mogą to być pierwsze objawy szaleństwa przepowiedzianego przez Romera.

Po raz pierwszy zacząłem podejrzewać coś złego dopiero wtedy, kiedy Mizara przyprowadzono do transformatora czasu, ogromnej przezroczystej kuli spoczywającej na postumencie. Wokół kuli stało mnóstwo różnych promienników i reflektorów, a sam transformator połączony był z kolapsanem grubościenną rurą o wielkiej średnicy. Było tam jeszcze wiele innych urządzeń i mechanizmów, których przeznaczenia nie znałem i których nie podejmuję się opisać.

Powiem jedynie, że przed doświadczeniem z udziałem psa Ellon eksperymentował na kilku przedmiotach, wysyłając je na przemian w przeszłość i przyszłość. Z obu tych kierunków czasowych przedmioty powracały nietknięte. Gdyby zatem również doświadczenie z Mizarem się powiodło, oznaczałoby to znalezienie realnej drogi ucieczki z jądra, bowiem w wypadku zderzenia z gwiazdą nie przez nią, lecz przez pustą w innym czasie przestrzeń. Naturalnie nasze plany oparte były poza tym na ryzykownym założeniu, iż tym razem Ramirowie nie będą nam w ucieczce przeszkadzać.

W doświadczeniu uczestniczyli w charakterze obserwatorów Oleg i Romero, Gracjusz i Orlan, Mary i Olga. Ellon sam otworzył właz transformatora czasu, a Irena przyprowadziła psa. Pies cicho popiskiwał, trącił mnie nosem w kolano, polizał Mary w rękę i nagle oparł przednie łapy na ramionach Romera, który zaskoczony tym dowodem psiej sympatii upuścił nieodłączną laseczkę. Irena głaskała Mizara po grzbiecie i coś mu szeptała do ucha. Zaniepokoił mnie wyraz jej twarzy, więc podszedłem bliżej.

— Kochany piesku! — szeptała Irena. — Leć w przeszłość, w daleką przeszłość! Do lasu. Też chętnie bym się z tobą tam znalazła, chętnie bym pobiegała po lesie i szczekała jak ty!

— Do lasu! Do lasu! — powarkiwał radośnie pies i lizał ją po rękach. — Zapolujemy sobie razem, poszczekamy! Szybciej, Ireno! Szybciej!

Szept Ireny słyszałem tylko ja, natomiast odpowiedzi Mizara docierały do wszystkich za pośrednictwem deszyfratorów osobistych. Nic więc dziwnego, że obecni w niczym się nie zorientowali i sądzili, że Irena czułymi słówkami po prostu dodaje psu otuchy przed jego niebezpieczną podróżą. Ja jednak doskonale wiedziałem, że Mizar po szkole Lusina doskonale zna ludzką historię i nie potrzebuje do podjęcia decyzji żadnych kłamliwych zachęt, że wystarczy mu naga prawda o niebezpieczeństwie, ale też i o wadze jego udziału w eksperymencie. To wszystko już zresztą dawno z Ireną ustaliliśmy.

— Ireno! — powiedziałem cicho. — Ireno, odwróć się!

Wolno uniosła się z klęczek. Oczy miała dziwne, gdy powiedziała:

— Admirale, pozwoli mi pan odejść z Mizarem? Kocham go!

Chwyciłem ją za rękę i ścisnąłem tak silnie, że aż krzyknęła z bólu. Na ból jeszcze reagowała.

— Mylisz się, Ireno! — wyskandowałem dobitnie. — Nie kochasz Mizara, tylko Ellona!

Z takim napięciem wsłuchiwała się w moje słowa, że przez chwilę stała z otwartymi ustami. Nigdy przedtem nie widziałem jej z taką głupią miną, Irena należała bowiem do kobiet bardzo dbających o swój wygląd.

— Ellona? — zapytała dziecięcym głosikiem. Jak mogę kochać Ellona, skoro pan mi tego zabronił, admirale? Ja jestem bardzo posłuszną dziewczynką...

— Gadasz głupstwa! — syknąłem ze złością. Wcale nie jesteś posłuszna, tylko krnąbrna. A teraz w dodatku źle się czujesz, jesteś chora i dlatego wyobrażasz sobie niestworzone rzeczy. Musisz się położyć, Ireno.

— Myśli pan, że nie lubię Mizara? — zapytała z powątpiewaniem w głosie.

— Naturalnie, że go lubisz. Ja też go lubię, podobnie jak twoja matka, Mary i wszyscy inni... Ale to nie wystarczy, żeby wybierać się we wspólną podróż w czasie.

— Za mało cię lubię, Mizarze — powiedziała pokornie Irena. — Wydało mi się, że lubię cię najbardziej ze wszystkich, że cię kocham... — Nagle załamała ręce i wykrzyknęła błagalnie: — Admirale, pozwól mi kogoś pokochać! Jestem taka posłuszna, że bez twojej zgody nie potrafię!

Przywołałem Olgę, za którą przybiegli Mary i Oleg. Na jego widok Irena skrzywiła się boleśnie i wykrzyknęła:

— Nie, tylko nie ty! Porzuciłeś mnie dla wyprawy, podczas której zginiesz...

— Ireno, ocknij się! — wykrzyknął blady jak płótno Oleg. — Przypomnij sobie naszą rozmowę na bazie. Przecież sama nalegałaś na swój udział w wyprawie. Jesteśmy razem na pokładzie statku flagowego. Nie zostałaś na Perseuszu, Ireno!

Dziewczyna rozpłakała się spazmatycznie, kryjąc twarz na piersi matki.

— Olgo, zaprowadź ją do siebie — powiedziałem. — I nie ruszaj się od niej na krok. Obawiam się, że jej stan może się pogorszyć.

Kiedy tak gorączkowo szeptaliśmy, stojąc ciasną grupką wokół Mizara, Ellon w miarę spokojnie czekał przy otwartym włazie, ale kiedy Olga troskliwie podtrzymując Irenę wyprowadziła ją z laboratorium, nie wytrzymał i wrzasnął ze złością:

— Ludzie, przestańcie tracić czas! Transformator przegrzewa się na jałowym biegu i lada chwila wszyscy możemy znaleźć się w niekontrolowanej przyszłości. Kto w końcu przyprowadzi Mizara?!

— Ja — odpowiedziałem i podobnie jak przed chwilą Irena uklęknąłem przy psie i czule pogłaskałem go po karku. — Mizarze, przyjacielu — powiedziałem. Niestety, na razie nie pobiegasz sobie po lesie. Musimy najpierw przeprowadzić niezwykłe doświadczenie, od którego zależy ratunek nas wszystkich. Gotów jesteś nam w tym pomóc?

— Prowadź mnie, Eli! — warknął mężnie pies i polizał mnie po ręce.

Zaprowadziłem go do włazu. Ellon chciał brutalnie chwycić go za kark i wrzucić do środka, ale mu na to nie pozwoliłem. Mizar popatrzył na nas smutnym, pożegnalnym wzrokiem, szczeknął „Żegnajcie!” i sam wskoczył do transformatora. Ellon zatrzasnął pokrywę i odszedł na bok, do stanowiska kolapsanu. Zaczęło się niebezpieczne doświadczenie.

Wkrótce spostrzegliśmy, że Mizar znika. Nie rozpadał się, nie kurczył do rozmiarów kropki, jak tego z niewiadomych względów oczekiwaliśmy, lecz znikał tak samo jak Oan podczas swej nieudanej próby ucieczki, stopniowo przekształcając się w mglistą sylwetkę. W transformatorze musiało być gorąco, bo pies zaczął gwałtownie dyszeć z wywieszonym językiem, a jego oczy nabrały gorączkowego blasku. Ciało Mizara zbladło i zniknęło, i tylko te płonące oczy i czerwony jęzor jeszcze przez dłuższą chwilę pozostawały w teraźniejszości. Wreszcie i one umknęły w przyszłość. Przezroczysta kula transformatora czasu opustoszała.

— Mizar jest w przyszłości! — wykrzyknął Ellon, odchodząc od kolapsanu. — W bardzo bliskiej przyszłości, o co najwyżej tysiąc lat wedle waszej ziemskiej rachuby. Smaży się w roztopionym czasie! — zachichotał okrutnie.

— Jak długo tam pozostanie?

— Zaledwie godzinę, jedną małą godzinkę, admirale! A potem wyłączę kolapsan i twój pies wypadnie do naszego czasu, podobnie jak zrobił to Oan, kiedy próbował uciec w dalekie jutro.

Triumf Demiurga był oczywisty i uzasadniony, ale jednak przykro było nań patrzeć. Nawet radość eksperymentatora dokonującego epokowego odkrycia nie powinna przecież przesłaniać niepokoju o los bohaterskiego psa. Ponadto miałem do Ellona wielką pretensję o to, że zupełnie nie przejął się chorobą Ireny. Oleg poszedł na stanowisko dowodzenia, zaś Romero, widząc mój stan, wziął mnie pod rękę i zapytał:

— Nie ma pan ochoty, admirale, przekonać się jakie postępy na drodze do normalności poczynił MUK „Koziorożca”?

Chora maszyna stała w przeciwległym kącie laboratorium. Zapytałem ją, co myśli o podróżach w czasie i czy jest nadzieja, że Mizar powróci pomyślnie z przyszłości. MUK wyśpiewał swoją odpowiedź przyjemnym altem:

Żadna istota nie przeminie!

Bo wieczność dalej przez nią płynie. Więc trwaj i raduj się twym bytem! Byt jest odwieczny...

— Odpowiedź mało konkretna, ale niezupełnie pozbawiona sensu — zauważyłem. — W dodatku optymistyczna! A i wiersz wydaje mi się lepszy od tych bredni, którymi maszyna nas do tej pory częstowała.

— Ten wiersz wyszedł spod pióra jednego z największych poetów starożytności, o którym zapewne nie słyszał pan, admirale. Ten poeta nazywał się Goethe... To zresztą nieważne. Ważne jest jedynie to, że MUK wspomniał o wieczności, o wiecznym trwaniu każdej istoty. A wiesz, Eli, czemu zawdzięczamy to trwanie? Pamięci! Pamięć jest jedyną gwarancją nieśmiertelności, katalizatorem przekształcającym każdą chwilę w wieczność, dającym jej ponadczasowe trwanie!...

Język Romera zawsze odznaczał się nadmierną kwiecistością, ale równie podniosłych słów nigdy jeszcze od niego nie słyszałem.

— Cóż za wspaniała oda do pamięci, Pawle!

— Dziś w nocy przyszła do mnie pańska siostra, Eli. Proszę tak na mnie nie patrzeć, przyjacielu, na razie jeszcze nie zwariowałem. Doskonale wiem, że Wiera dawno umarła i że przed opuszczeniem Ziemi pokłoniłem się jej prochom w Panteonie. Odwiedziła mnie we wspomnieniach, tylko w moich wspomnieniach! Całe moje życie stało się nagle wspomnieniem o moim życiu i to było piękne, kuzynie! Posprzeczaliśmy się z Wierą, o czym doskonale wiesz, admirale. Nie, jeszcze nie był pan admirałem, tylko zwykłym młodzieńcem... Dopędziłem więc Wierę na Plutonie, wszedłem to hotelu, do tego samego numeru, w którym już kiedyś byliśmy razem i upadłem przed nią na kolana... Ucałowałem jej stopy, a ona rozpłakała się i również mnie ucałowała. Tak bardzo ucieszyła się z mojego powrotu i z tego, że może mi wybaczyć... Eli, przyjacielu mój i kuzynie, nawet nie masz pojęcia jak bardzo jestem ci wdzięczny za to, że rozkazałeś mi popędzić na złamanie karku za twoją siostrą, że dzięki temu przywróciłeś mi życie! Klęczeliśmy naprzeciw siebie, co musiało zapewne wyglądać śmiesznie dla kogoś patrzącego z boku, ale nic to nas nie obchodziło, bo byliśmy niezmiernie szczęśliwi... I to było zaledwie parę godzin temu, to było tej nocy, Eli!

Zachwiał się. Wybuch szaleństwa był tak gwałtowny, że nie zdążyłem Pawłowi przerwać i zareagowałem dopiero wtedy, kiedy omal nie zwalił się bez zmysłów na podłogę. Podtrzymałem go. Romero drgnął i oprzytomniał. Oczy miał zmętniałe ze szczęścia.

— Czy coś się stało? — zapytał. — Co ja mówiłem? — Rozmawialiśmy o przywracaniu świadomości mózgowi pokładowemu, Pawle. A teraz może podsłuchamy, o czym tak gorąco dyskutuje Ellon z Orlanem i Gracjuszem.

Ta rozmowa istotnie zasługiwała na uwagę. Ellon utrzymywał, że znalezienie drogi do przyszłości jest dla jego mechanizmów zupełnym drobiazgiem, bo w tym wypadku należy jedynie przyspieszyć bieg czasu, nie zmieniając jego kierunku. Czas naturalny płynie od przeszłości ku przyszłości, kolapsan popędzi go, i po kłopocie. Gorzej jest z podróżą w przeszłość, chociaż kolapsan i z nią sobie poradzi. Jak jednak na zmianę znaku czasu zareagują poddane tego rodzaju transformacji temporalnej obiekty? Przedmioty martwe zapewne zniosą ją bez szwanku, natomiast organizmy najprawdopodobniej zginą, jeśli nie zastosuje się szczególnej metody odwracania czasu.

— Co masz na myśli, Ellonie, mówiąc o szczególnej metodzie odwracania czasu? — zapytał Gracjusz. — I dlaczego przejście przez zero temporalne ma stanowić zagrożenie dla tkanek naturalnych?

— Dlatego, że zero temporalne oznacza zatrzymanie wszelkich procesów. W wypadku metalu czy kamienia, czy wreszcie skomplikowanych mechanizmów, nie ma to większego znaczenia, natomiast dla organizmów równa się śmierci.

Zauważyłem, że kiedyś już, przy zderzeniu dwóch słońc, znaleźliśmy się w luce czasowej, utraciliśmy na moment nasze „teraz”, na co Ellon zareagował ze zwykłą gwałtownością. Zwymyślał mnie od nieuków, po czym łaskawie wytłumaczył, że luka czasowa jest czymś zupełnie różnym od zera temporalnego. Podczas niedoszłego zderzenia gwiazd zamarliśmy tylko na krótką chwilę, ale nie umarliśmy, bo natychmiast powrócił naturalny bieg czasu od przeszłości ku przyszłości, natomiast odwrócenie czasu równało się niszczącej eksplozji.

— Musiałbym wyciągać z przeszłości pańskiego trupa, admirale! — zakończył zjadliwie.

Pobiegał chwilę po laboratorium, a potem oświadczył, że jednak znalazł sposób, dzięki któremu organizmy żywe zdołają dotrzeć bez przeszkód w przeszłość. Trzeba istotę żywą z pomocą transformatora wyrzucić w przyszłość wzdłuż naturalnych linii temporalnych, i jeśli się w tej przyszłości nie utrzyma, nie zatrzymywać jej we współczesności, lecz pozwolić spadać dalej w przeszłość. Będzie to jednak spadanie inercyjne, nie zaś pod wpływem sił zewnętrznych. Ruch bezwładny w czasie jest zawsze przesuwaniem się do punktu realnego istnienia, co wynika z samej natury czasu. I jeśli istota spadająca siłą bezwładności z przyszłości w teraźniejszość sama znajdzie się w przeszłości, to ów wsteczny ruch, ciągle spowalniany, stanie się niebawem normalnym ruchem do przodu. Teraz wystarczy temu znormalniałemu ruchowi w czasie nadać odpowiednie przyspieszenie, aby obiekt biologiczny bez szkody dla zdrowia osiągnął nawet milionoletnią przeszłość...

Trochę to moim zdaniem było zanadto pokrętne i nieprzekonujące, ale postanowiłem na razie nie wdawać się z Demiurgiem w dyskusję, gdyż była już najwyższa pora zawrócić Mizara z dalekiej drogi. Ellon przesunął dźwignię rewersu czasowego na pulpicie sterowniczym kolapsanu. Wnętrze transformatora zmętniało, zamgliło się, a w tej mgle ukazał się najpierw czerwony jęzor, za nim zaś dwoje gorejących oczu. Wkrótce ujrzeliśmy całą postać żywego i zdrowego, szalejącego z radości Mizara.

— Wróciłem! Wróciłem do was! — szczekał nie posiadając się ze szczęścia.

Odskoczyła pokrywa włazu i Mizar wypadł na zewnątrz jak wystrzelony z procy. Skoczył z impetem na pierś Romerowi, przewrócił go, potem zbił z nóg mnie i spróbował tej samej sztuczki z Gracjuszem, ale masywny Galakt tylko lekko się zachwiał pod naporem psiej radości.

— Przestań, wariacie! — zawołałem ze śmiechem. — Opowiedz lepiej, co widziałeś w czasie tej swojej nieprawdopodobnej podróży!

Mizar jednak niczego nie widział. Dokoła była tylko gęsta biała mgła. Tkwił w tej mgle całą wieczność, a potem pojawiły się gwiazdy, które jak wściekłe pędziły po niebie i groźnie błyszczały. Zupełnie tak samo jak na ekranach. Tyle tylko, że było okropnie gorąco, tak gorąco, że Mizar umierał z pragnienia.

— Zaraz dostaniesz pić — burknął Ellon i nie czekając, aż pies wychłepce wodę, zaczął przygotowywać transformator do nowej podróży w czasie.

Zapytałem Demiurga czy nie można odłożyć dalszej części eksperymentu na jutro, żeby pies mógł trochę odpocząć. Odparł na to, że nie mamy do stracenia ani chwili nie tylko obecnego, ale również i dawno minionego czasu. Znów pogłaskałem Mizara i zapytałem go czy Irena powiedziała mu wszystko o programie eksperymentu. Pies uśmiechnął się, jak potrafią uśmiechać się tylko naprawdę inteligentne psy i odpowiedział, zupełnie po ludzku przymrużając oko:

— Skąd mogę wiedzieć, czy powiedziała mi wszystko? Ze zdenerwowania zadajesz mi nierozsądne pytania, admirale. W każdym razie powiedziała mi, że najpierw udam się w przyszłość, a potem w przeszłość, gdzie będzie Ziemia i las. Gdzie ona jest?

— Irena bardzo źle się poczuła. Najlepszym lekarstwem na jej chorobę będzie sukces tego doświadczenia. — Zrobię wszystko, co tylko będzie trzeba.

I znów zobaczyliśmy jak piękne, zwinne ciało Mizara zamienia się w sylwetkę, w której błyszczały tylko gorejące oczy. W laboratorium zjawił się ponownie Oleg. Powiedział nam, że Irena leży nieprzytomna pod opieką matki i że jej stan budzi bardzo poważne obawy. Wyprawa dysponowała znakomitymi lekarstwami dostarczonymi przez ludzi i Demiurgów, w tym także lekami działającymi na chorą psychikę, ale żadne z nich nie poskutkowało. Automat medyczny co chwila zmieniał diagnozę i przepisywał coraz to nową kurację, gdyż jego pamięć nie zawierała żadnych informacji na temat jej niezwykłej, jak się okazało, dolegliwości.

— Uwaga! — rozległ się ostry głos Ellona. — Powrót z przyszłości! Inercyjny przeskok w przeszłość! Mizar wypadł z przyszłości. W transformatorze za rysowało się dwoje oczu, ciężko pulsujący język i półprzezroczysta sylwetka ciała. Przez chwilę miałem nadzieję, że całkowicie już cielesny pies zaszczeka radośnie i zacznie domagać się wypuszczenia na zewnątrz, ale tułów znów zbladł i zniknął. Mizar nie zatrzymał się w naszej chwili obecnej i z rozpędu zanurzył się w przeszłość. Ellon nisko pochylony nad pulpitem sterowniczym uważnie obserwował pulsowanie lampek sygnalizacyjnych.

— Doświadczalny pies Mizar pomknął w przeszłość — zameldował Olegowi. — Zero temporalne przekroczył bez szkody dla zdrowia, dlatego też dodałem trochę czasu wstecznego, przyspieszyłem inercyjny wylot z przyszłości.

— Jak długo będziemy czekać na powrót psa? — Również około godziny, dowódco.

— Jeśli zostaniesz tu — zwróciłem się do Olega to ja odwiedzę teraz Głos, który pewnie stęsknił się za towarzystwem.

W kabinie Głosu zacząłem spacerować pierścieniowym chodnikiem pod jej ścianami, jak to lubił robić Gracjusz. Nie musiałem opisywać unieruchomionemu Włóczędze przebiegu eksperymentu, bo analizatory przekazywały mu na bieżąco znacznie pełniejszy obraz niż ja to bym potrafił uczynić. Nie zdziwiłem się więc, gdy Głos zapytał o mój stosunek do podróży w czasie. Odparłem, że sam nie potrafię tego ściśle sformułować, bowiem jestem pełen nadziei zmieszanej z obawą i czymś, co można byłoby nazwać instynktowną niechęcią do tego rodzaju doświadczeń przeprowadzanych na istotach żywych.

— Zgadzam się z tobą w tym ostatnim punkcie, ale sytuacja jest chyba o wiele groźniejsza niż nam się wydaje. — Również obawiasz się, że grozi nam szaleństwo? — zapytałem.

— Szaleństwo już się zaczęło — odpowiedział Głos.

— Jeśli nie liczyć maszyn, nikt z nas poza Ireną na razie nie stracił zmysłów.

— Intelekt maszynowy nie jest chroniony wewnętrznym stabilizatorem czasu, jak to ma miejsce w wypadku organizmów żywych. Nic więc dziwnego, że mózgi pokładowe ucierpiały pierwsze.

— Uważasz zatem, że hipoteza Romera jest słuszna?

— To nie jest hipoteza, tylko stwierdzenie faktu. — A więc i my utracimy rozsądek? W pierwszej awarii z twojej świadomości wypadło poczucie „teraz”, ale chyba nie wątpisz, że tym razem żyjemy we własnej teraźniejszości?

Jednak Głos właśnie w to wątpił. Nawet więcej, był wręcz przekonany, że już utraciliśmy swoje „teraz”. Powiedział, że czas pokładowy pulsuje, miota się między najbliższą przeszłością a równie bliską przyszłością. Nie płynie równomiernie od przeszłości ku przyszłości, lecz bardzo szybko wibruje, gorączkowo drga. Głos wyczuwał te drgania w każdej komórce swojego mózgu, bo wibracja czasu prowadzi do rozdygotania myśli, do falowania rozkazów wydawanych mechanizmom wykonawczym. Na szczęście maszyny nie wyczuwają takich subtelności, bo dla nich najważniejsza jest treść rozkazu, a nie ton, jakim został on wydany, ale długo to trwać nie może. Nieuchronnie nastąpi chwila, kiedy wibrujący rozkaz przestanie być rozkazem, zamieni się w niezrozumiały bełkot, a wówczas statek umrze.

— Gracjusz dubluje twoją pracę, Głosie, ale na nic podobnego się nie uskarża! — powiedziałem zdumiony. — Wkrótce i on to poczuje. Wkrótce wszyscy to poczujecie, Eli. Czas drży coraz silniej, zwiększa się amplituda jego wibracji. Każda wibracja zostawia ślad: nawarstwia się przeszłość, koncentruje przyszłość. Kiedy ich niezgodność osiągnie wartość graniczną wówczas czas znów się rozerwie, a wątpię, żebyśmy i tym razem zdołali tak łatwo jak poprzednio wymknąć się z powstałej luki. Wtedy uciekliśmy z wyrwy czasowej między dwoma słońcami, ale co będzie, kiedy czas pęknie na samym statku?

— To okropne, co mówisz, Głosie! Czy mamy jakąś szansę ratunku?

— Uratować nas może tylko natychmiastowe ustabilizowanie czasu pokładowego. Stabilizator jest teraz ważniejszy niż transformator czasu.

Wezwano mnie do laboratorium. Na podłodze leżał Mizar. Oczy miał wytrzeszczone, z szeroko rozwartej paszczy wysuwał się obrzmiały język. Pies był martwy. W przygnębiającej ciszy zabrzmiał groźny głos Orlana:

— Ellonie, obiecałeś, że Mizar pomyślnie przekroczy zero temporalne. Skłamałeś!

Ellon tak głęboko wciągnął głowę, że spomiędzy ramion wystawały tylko oczy, zapadłe i przygaszone.

— Nie kłamałem, Orlanie, nie kłamałem. Mizar był żywy, kiedy przekraczał zero... Wszyscy widzieli.

— Ale wrócił martwy! Czy masz coś na swoją obronę, Ellonie? Czy potrafisz się wytłumaczyć?

— Nie potrafię — wyznał szeptem Demiurg. — Ale będę szukał wytłumaczenia...

Ellon wraz z pomocnikami przenieśli Mizara na stół sekcyjny, a ja opowiedziałem przyjaciołom o obawach Głosu.

— Lepiej będzie, jak do niego pójdziesz — poradziłem Gracjuszowi. — Głosowi nerwy zaczynają odmawiać posłuszeństwa.

— Porozmawiam z Ellonem o wibracjach czasu zdecydował Orlan i przywołał go władczym gestem.

Ellon był taki przybity, że nieomal zrobiło mi się go żal.

— Głos informuje, że czas pokładowy wibruje między przeszłością a przyszłością. Amplituda drgań szybko się zwiększa. Kiedy ruszy stabilizator czasu, Ellonie? zapytał Orlan.

— Natychmiast się nim zajmę, Orlanie. Rzucę prace nad transformatorem i przełączę stabilizator z czasu atomowego na pokładowy — odparł skwapliwie Ellon.

— Nie zrozumiałeś mnie, Ellonie. Nie pytałem cię o twoje plany. Ty mnie zupełnie nie interesujesz — odparł zimno Orlan. — Kiedy ruszy stabilizator?

— Stabilizator uruchomię najdalej jutro — powiedział pokornie Ellon.

Popatrzyłem ze smutkiem na zwłoki psa i wyciągnąłem Olega na korytarz, gdzie mu powiedziałem:

— Pamiętaj, że jeśli my obaj poddamy się szaleństwu, to skutki mogą być straszne. Dlatego za wszelką cenę musimy zachować przytomność umysłu, nie poddawać się wibracji czasu. A jeśli mimo wszystko twój czas się zerwie, trzymaj się pazurami przyszłości, nie daj się zepchnąć w przeszłość. To niezwykle ważne, Olegu. Pamiętaj, trzymaj się przyszłości!

— Masz rację, musimy się trzymać — odpowiedział ze smutnym uśmiechem.

Zajrzałem mu w oczy, czerwone i opuchnięte ze zmęczenia. Westchnąłem. Tylko na nas dwóch spośród całej załogi mogłem w jakimś stopniu liczyć. To było przerażające tym bardziej, że nie mogłem powiedzieć Olegowi całej prawdy.

4

Wróciłem do siebie bardzo późno. Mary już spała, więc rozbierałem się bardzo ostrożnie, żeby jej nie obudzić. Długo nie mogłem usnąć, a kiedy mi się to nareszcie udało, prawie natychmiast poderwało mnie rozpaczliwe łkanie żony. Mary siedziała na łóżku i płakała z głową opartą na rękach.

— Co ci jest, Mary? Co się stało? — wykrzyknąłem z przerażeniem.

Odsunęła się ode mnie jak od najgorszego wroga. — Nie kochasz mnie! — załkała.

— Mary, co ty mówisz? Ja miałbym ciebie nie kochać? Ja?...

— Przygarnąłem ją i pocałowałem.

Wyrwała mi się i gniewnie tupnęła nogą.

— Nie dotykaj mnie, bo mnie nie kochasz! Ja zresztą też cię wcale nie kocham!

Dopiero w tym momencie naprawdę się obudziłem i zacząłem pojmować co się dzieje. Odszedłem na bok, usiadłem w fotelu i powiedziałem spokojnie:

— Powiadasz więc, że cię nie kocham i że ty też mnie nie kochasz. W porządku! Ale czy możesz mi wytłumaczyć, jak dosztaś do takiego wniosku?

— Zasięgałeś o mnie informacji! — mamrotała przez łzy. — Przestraszyłeś się, że jesteśmy dla siebie nieodpowiedni. Ja też się tego obawiałam, ale wciąż o tobie myślałam i próbowałam się z tobą spotkać! Pragnęłam tego nieustannie od tamtego wieczoru w Kairze, a ty wyjechałeś na Orę nawet nie spojrzawszy na mnie... Uciekłeś, a ja tak chciałam cię przeprosić za moje zachowanie podczas koncertu, tak bardzo chciałam cię przeprosić! Ciągle o tobie myślałam i ani na chwilę nie wyłączałam stereoekranów, żeby przypadkiem nie przegapić transmisji z Ory. A ty zakochałeś się w jakiejś żmii i poleciałeś na Perseusza. Nic cię nie obchodziło, że płakałam po nocach, kiedy twoja siostra wróciła sama. Paweł opowiadał mi, jak namiętnie patrzyłeś na twoją piękną wężopannę, jak spieszyłeś na nocne spotkania, jak usychałeś z miłości do niej... Wszystko mi opowiedział, a ja mu wciąż odpowiadałam, że mimo wszystko cię kocham i kochać nie przestanę, chociaż już wtedy cię nienawidziłam! Teraz też cię nienawidzę! Możesz nie przyjeżdżać, bo i tak dobrego słowa ode mnie nie usłyszysz! Najwyżej popatrzę na ciebie z zimną pogardą... Właśnie tak, z zimną pogardą! Czemu milczysz?

— Paweł nie opowiedział ci wszystkiego, Mary powiedziałem.

— Wszystko! Właśnie że wszystko! — przerwała mi głosem rozkapryszonej dziewczynki.

— Nie, nie wszystko — powtórzyłem z łagodnym naciskiem. — Paweł nie mógł ci powiedzieć wszystkiego z tego prostego powodu, że nie wszystko o mnie wiedział. Nie mógł ci zatem powiedzieć tego, że od pierwszego wejrzenia, od pierwszego słowa zakochałem się w tobie bez pamięci raz i na zawsze. Nie powiedział ci i tego, że to ty zachowywałaś się wobec mnie nieuprzejmie i dopiero zamierzałaś mnie przeprosić, a ja cię kochałem, po prostu kochałem całym sercem. To prawda, że zadurzyłem się przelotnie we Fioli, ale zawsze kochałem tylko ciebie, ani na chwilę nie przestawałem cię kochać. Wymyślałaś mi, a ja myślałem: jaki ona ma cudowny głos! Marszczyłaś brwi, a ja omdlewałem z zachwytu nad twoimi wspaniałymi brwiami. Piorunowałaś mnie wzrokiem, a ja myślałem z rozczuleniem, że nikt inny na całym świecie nie ma równie wspaniałych oczu. Odchodziłaś ze złością, a ja zachwycałem się twoją figurą, twym tanecznym krokiem, sposobem w jaki wymachujesz rękami i byłem szczęśliwy, że mogę na ciebie patrzeć, że dane jest mi cię podziwiać... Tak to właśnie było, choć Paweł nic o tym nie wiedział!

— Powiedziałeś „było” — znów mi przerwała. A więc już tego nie ma!

— Masz rację, Mary było — ciągnąłem tym samym tonem. — Było zresztą nie tylko to. Była też nasza wyprawa do Perseusza. Pamiętasz ją, prawda? Ach cóż to była za wspaniała podróż poślubna! Nie rozstawaliśmy się nawet na chwilę, bo chwila spędzona nie we dwójkę była dla nas stracona... Przypomnij to sobie, Mary, przypomnij! Znów cię kochałem, byłem z ciebie dumny, zachwycałem się tobą i cieszyłem się, że jesteś ze mną, że jesteś moja, że jesteś tym, co we mnie najlepsze, najszlachetniejsze i budzące największe nadzieje... Przypomnij sobie, Mary, przypomnij sobie, że tak właśnie było!

— Ach! — jęknęła. — To okropne słowo „było”! Jesteś okrutny, Eli, bo wszystko u ciebie było, było, tylko było!...

— Tak, Mary, znów masz rację jak zawsze. Słówko „było” okropnie brzmi, a jednak ileż w nim dobrego! Wszak wśród tego dobrego, co było, był również nasz syn, nasz jedyny syn Aster, bo przecież mieliśmy syna o tym imieniu!

— Nazywał się Aster... — wyszeptała Mary.

— No i widzisz, Mary, przypomniałaś sobie! To cudowne, że sobie przypomniałaś, jestem ci za to nieskończenie wdzięczny. Jestem ci wdzięczny za to, że przypomniałaś sobie naszego syna Astra, który zginął okropną śmiercią na Trzeciej Planecie, umarł na twoich rękach, Mary! Przypomnij sobie, jak umierał nasz syn Aster!...

— Przestań! — załkała. — Ranisz mi serce, Eli! Padłem przed nią na kolana, wtuliłem twarz w jej gorące dłonie i szeptałem, szeptałem...

— Nie, Mary, nie przestanę! I jeśli nie ma innego wyjścia, będę rozkrwawiał ci serce, ale nie pozwolę zapomnieć o Astrze! Przypomnij sobie syna, naszego biednego syna zmiażdżonego przez grawitację na Trzeciej Planecie, przypomnij sobie naszą rozpacz. Przypomnij sobie, że jego proch spoczywa w ziemskim Panteonie, że na jego grobie widnieje napis: „Pierwszemu człowiekowi, który oddał życie za gwiezdnych przyjaciół ludzkości”! Mamy co wspominać, mamy z czego być dumni, Mary!

Szaleństwo jeszcze zmagało się w niej z rozsądkiem, ale rozum zaczynał zwyciężać, bo powiedziała gorzko:

— Tak, Eli, mamy co wspominać, mamy z czego być dumni, ale to wszystko zapadło w przeszłość. Wstałem. Wiedziałem już, że ją uratuję.

— Tak — powiedziałem. — Wiele należy do przeszłości, ale nie wszystko. My nie zapadliśmy w przeszłość. Jesteśmy i nasza miłość jest z nami. Była i jest z nami!

Teraz ona podeszła do mnie, chwyciła za ramiona. — Powiedziałeś „jest”, Eli? — zapytała. — Tak powiedziałeś? Dobrze usłyszałam?

— Dobrze usłyszałaś Mary. Jest! Jesteśmy i nasza miłość jest z nami. — Dopiero teraz pozwoliłem swojemu głosowi zadrżeć. — Kocham cię teraz tak samo mocno, jak zawsze kochałem, choć postarzałaś się, wychudłaś, może nawet nieco zbrzydłaś... Kocham cię, bo cię kocham i nigdy kochać nie przestanę!...

Głos odmówił mi posłuszeństwa, a nogi tak silnie zaczęły dygotać, że musiałem usiąść. Mary zakryła twarz rękami. Przez chwilę zastanawiałem się z bólem serca, a nie była to żadna przenośnia, czy naprawdę zdołałem przywrócić ją rzeczywistości dopóki nie opuściła rąk i nie zapytała trochę jeszcze nieprzytomnie:

— Eli, przytrafiło mi się coś złego?

— Wszystko już przeszło — odparłem pospiesznie. — Nie warto o tym mówić, Mary.

— Drży ci głos — powiedziała wpatrując się we mnie uważnie. — Trzęsą ci się ręce. Z oczu płyną ci łzy, Eli! Nigdy nie płakałeś. Nie płakałeś nawet po śmierci naszego syna... Czy ze mną było aż tak źle?...

— Wszystko już przeszło — powtórzyłem spokojnym głosem, chociaż gardło miałem zdławione łkaniem. — A na mnie nie zwracaj uwagi... Po prostu na chwilę nerwy odmówiły mi posłuszeństwa. Wiesz przecież, w jakiej trudnej sytuacji się znaleźliśmy... A teraz muszę już iść do laboratorium. Zawołaj mnie, gdy tylko źle się poczujesz.

Uśmiechnęła się do mnie. Znów widziała mnie na wylot. Zrozumiałem z ulgą, że już nie muszę się o nią martwić.

— Idź, Eli — powiedziała. — Ja też niedługo wyjdę. Zajrzyj po drodze do Ireny.

Pomachałem jej dziarsko ręką na pożegnanie, a za drzwiami oparłem się bezsilnie o ścianę i zamknąłem oczy. Czułem się jak niedoszły topielec, którego wyciągnięto z wody, ale któremu wciąż brakuje powietrza.

Irena leżała w swoim pokoju. Oczy miała zamknięte. Do tej pory nie ocknęła się z omdlenia w laboratorium. Przy posłaniu córki siedziała Olga. Opadłem na kanapę. Olga powiedziała ze współczuciem:

— Źle wyglądasz, Eli.

— Wszyscy wyglądamy nie najlepiej, Olgo. Co z Ireną?

— Elektroniczny medyk utrzymuje, że jej życiu nic nie grozi. Niepokoi mnie jednak to, że ciągle nie odzyskała przytomności.

— To może nawet lepiej, że jest nieprzytomna. Świadomość wyłączona jest mniej groźna niż świadomość rozdarta w czasie.

Olga nie spuszczała ze mnie uważnego wzroku, co nagle zaczęło mnie irytować.

— Czy po śmierci Mizara coś jeszcze się stało, Eli? — Dlaczego tak sądzisz, Olgo?

— Widać to po tobie.

— Mary zachorowała — powiedziałem niechętnie. — Z jej świadomości wypadło poczucie chwili obecnej. Została tylko przeszłość. Wyobraziła sobie, że jest taka, jak w chwili naszego poznania i że jej nie kocham. Szczęśliwie udało mi się wyciągnąć ją z przeszłości, ale bardzo wiele mnie to kosztowało...

— A Irena jest bardzo nieszczęśliwa, bo pragnie się zakochać — powiedziała trochę bez związku Olga. — Przy czym nie znosi obecności osób, których nie lubi, ale które ją kochają. Mnie jeszcze toleruje, ale innych...

— Co ty pleciesz, przecież ona jest nieprzytomna! — To nic nie znaczy. Kiedy przyszedł Oleg i usiadł obok niej, Irena zaczęła się niespokojnie rzucać na łóżku, po czym wyrwała rękę, za którą ją ujął.

— Nie odzyskując przytomności?

— Właśnie. Zakłócenie biegu czasu powoduje bardzo dziwne objawy, Eli. Bardzo żałuję, że nie jestem psychologiem, bo wtedy potrafiłabym wyliczyć związki między pulsacjami czasu a zmianami w psychice.

— Tak, to istotnie wielka szkoda, bo mając wyniki takich obliczeń moglibyśmy uniknąć wielu niebezpieczeństw. Ale pocieszmy się przynajmniej tym, że oboje na razie nie ulegliśmy szaleństwu. Bo chyba ty nie zamierzasz zapadać myślą w przeszłość?

Roześmiała się cicho.

— A co by to zmieniło, Eli? Moja przeszłość nie różni się niczym od teraźniejszości. Zawsze ten sam los... — Co masz na myśli mówiąc o tym samym losie? zapytałem nieostrożnie.

— Kochałam cię, Eli — odparła spokojnie. — Kochałam cię jako podlotek, kochałam jako kobieta dorosła. Byłam żoną Leonida, ale kochałam ciebie. To już niczego nie zmieni, ale chcę, żebyś to wiedział: nie znałam nigdy żadnego innego uczucia poza tą miłością. Czasem myślę sobie, że urodziłam się tylko po to, żeby ciebie kochać i dlatego niczego innego w życiu nie zaznałam.

Zaskoczony tym niespodziewanym wyznaniem pozwoliłem się jej wygadać, patrząc z osłupieniem na tę drobną, posiwiałą, ale jak zwykle rumianą i spokojną kobietę, którą znałem od tylu lat i nagle zrozumiałem, że się mylę! Że ta zrównoważona kobieta nie wyznaje mi rozpierającego ją teraz gorącego uczucia, lecz tylko ogląda się za siebie, po prostu bilansuje swoje życie. Odkrycie było tak ważne, że przezwyciężając zmieszanie wykrzyknąłem:

— To nieprawda, Olgo! Twoje życie było tak bogate, tyle w nim było sukcesów i sławy, że zawiedzione uczucie zupełnie się w nim zagubiło. Przypomnij sobie, kim jesteś! Jesteś sławnym astronawigatorem, pierwszą kobietą, która została kapitanem galaktycznym, wielką uczoną, wspaniałą zdobywczynią kosmosu!

Pokręciła lekceważąco głową.

— Tak, masz rację, Eli. Miałam życie dość urozmaicone, ale najważniejsza w nim była miłość do ciebie. Miłość wierna i długa jak całe moje życie. A kiedy umierałam, ty byłeś przy mnie, ty gładziłeś moją rękę, a ja ci mówiłam jak bardzo cię kochałam, jak tylko ciebie jednego kochałam!

— Popatrz na mnie, Olgo! — rozkazałem. Popatrzyła na mnie z uśmiechem, kładąc rękę na mojej dłoni. Była tutaj, w teraźniejszości, bo czułem wyraźnie ciepło jej palców, ale patrzyła na mnie z przyszłości. Każdy wariuje na swój sposób...

Irena poruszyła się i Olga powiedziała:

— Ona chce wstać. Zostaw nas same, Eli. Wędrowałem długimi korytarzami statku i bezsilnie zaciskałem pięści. Wróg, z którym walczyłem miał nade mną przewagę już chociażby z tego powodu, że nie potrafiłem przewidzieć z jakiej strony uderzy. Niedaleko stanowiska dowodzenia wpadł na mnie z rozpędu Osima. Kapitan gorączkowo wymachiwał rękami. Nigdy nie przypuszczałem, że porywczy, lecz zdyscyplinowany kosmonauta może się tak zachowywać. Chwyciłem go za rękę.

— Osima, dlaczego opuścił pan posterunek?

— Proszę mnie puścić, admirale. Przekazałem wachtę Kamaginowi, a teraz bardzo się spieszę!

— A dokąd to tak bardzo się pan spieszy, kapitanie Osimo? — zapytałem nie cofając ręki.

Przestał się wyrywać, choć jako silniejszy ode mnie mógł to zrobić bez trudu, i obniżył głos do konfidencjonalnego szeptu:

— Pędzę na spotkanie z Charu-san. Z dziewczyną imieniem Wiosenka.

— Osima, co pan mówi? Na naszym statku nie ma dziewczyny o takim imieniu!

— Admirale! — wykrzyknął z niedowierzaniem kapitan. — Powinienem panu wierzyć, ale nie potrafię. Nie ma Wiosenki? Ale ja przecież myślę tylko o niej i pragnę się z nią spotkać!

— Takiej dziewczyny nie ma na statku. Wiosenka istnieje tylko w pańskiej wyobraźni, Osimo! Śni pan na jawie, mój przyjacielu. Proszę wracać na stanowisko dowodzenia!

Moje słowa nie docierały do niego, nie mogły się przebić do zamroczonego mózgu.

— Jak może jej nie być, skoro wciąż o niej myślę? — zapytał z tępym uporem pedanta. — Jest zawsze ze mną, więc jak może jej nie być?

— Nigdy nie było dziewczyny imieniem Wiosenka! — krzyknąłem z wściekłością. — Nigdy nie było Charu-san! — Wobec tego pójdę jej szukać, admirale! — oświadczył Osima z wielkim entuzjazmem w głosie. — Jeśli jej dotąd nie było, to koniecznie muszę ją znaleźć. Pójdę i nie wrócę bez tej, której nie było!

Spróbował mnie wyminąć, ale szarpnąłem go za rękę. Osima wykonał jakiś nieuchwytny ruch i runąłem jak długi na ziemię. Byłem od niego o głowę wyższy i półtora raza cięższy, a on rzucił mnie na ziemię jak szmacianą lalkę. Na moment straciłem przytomność.

— Admirale, admirale! — dobiegł mnie pełen przestrachu głos Osimy. — Zrobiłem panu krzywdę? Naprawdę nie chciałem, proszę mi uwierzyć! Sam nie wiem, co się ze mną dzieje...

Podniosłem się z trudem, podtrzymywany troskliwie przez Osimę, który momentalnie odzyskał zmysły.

— Wszystko w porządku, kapitanie Osima — powiedziałem. — Idziemy na stanowisko dowodzenia.

W fotelu pierwszego pilota siedział Kamagin, a Oleg niespokojnie krążył po kabinie. Popatrzyłem z lękiem na małego kosmonautę, ale Kamagin pracował szybko i sprawnie. MUK nadal nie działał, więc wszystkie rozkazy do mechanizmów wykonawczych musiał przekazywać za pośrednictwem Głosu i tą samą drogą otrzymywał informacje od analizatorów, ale mimo tego zachowywał się tak, jakby nic w systemie kierowania statkiem się nie zmieniło. Na ekranie nadal kipiało jądro, pryskając na wszystkie strony rozszalałymi gwiazdami, ale Kamagina zdawało się to zupełnie nie wzruszać. Pomyślałem z ulgą, że gdyby nawet Kamagin wpadł w szaleństwo przeszłości, to nie będzie ono zbyt dla nas groźne, gdyż i w swojej dalekiej przeszłości Edward był odważnym galaktycznym kapitanem, tym odważniejszym, że dowodził statkami w epoce, kiedy o mózgach pokładowych klasy MUK jeszcze się nikomu nawet nie śniło. I gdyby nawet zginął Głos, co dla każdego z nas byłoby niewyobrażalną katastrofą, on po prostu wróciłby do starej, świetnie przez siebie opanowanej metody ręcznego sterowania statkiem...

Osima usiadł w fotelu obok niego. Odciągnąłem Olega na bok i powiedziałem półgłosem:

— Zauważyłeś, w jakim stanie jest Osima?

— Z Osimą jest bardzo niedobrze — odpowiedział Oleg. — Właśnie dlatego pozwoliłem mu wyjść.

— A ja zawróciłem go z drogi, bo obawiam się, że tolerowanie nierozsądnych zachowań tylko pogłębia szaleństwo. Udało mi się trochę nim potrząsnąć i otrzeźwić, ale nie wiem na jak długo.

— W każdym razie nie wolno mu już powierzać samodzielnego prowadzenia statku — powiedział Oleg, a ja się z tą opinią zgodziłem.

Kiedy po paru minutach opuszczałem stanowisko dowodzenia, Osima rozpłakał się jak dziecko i zaczął głośno rozpaczać:

— Nie było Wiosenki! Nie było dziewczyny imieniem Charu-san! Nie było kwiatów sakury w jej włosach! O, światło moich oczu, niezapomniana Wiosenko, do końca moich dni będę płakał z tęsknoty za tobą, chociaż nigdy cię nie było!

— Ja bym go jednak skierował do szpitala, Eli powiedział Oleg.

— A kto go tam będzie pielęgnował? Tacy sami szaleńcy? A poza tym odnoszę wrażenie, że Osima czuje się już trochę lepiej... Jeszcze niedawno szukał Charu-san, a teraz się z nią żegna.

Jakby na potwierdzenie moich słów Osima wyjął chusteczkę, wytarł załzawione oczy, wysiąkał nos, obciągnął mundur i powiedział niemal normalnym głosem:

— Admirale, melduję, że trochę mi się kręci w głowie. Dlatego przekazałem wachtę Kamaginowi. Czy mogę się trochę zdrzemnąć?

Zamknął oczy i natychmiast zasnął. Po chwili jego twarz rozluźniła się, nabrała swego zwykłego wyrazu. Odeszliśmy cicho od niego. Oleg pozostał na stanowisku dowodzenia, a ja ruszyłem do laboratorium.

Trwał tam montaż stabilizatora czasu. Ostry głos Ellona rozlegał się w całym pomieszczeniu, a Demiurgowie i ludzie biegiem wykonywali jego polecenia. W głębi hali krążył od ściany do ściany Orlan, a wokół niego, co natychmiast zauważyłem, wytworzył się skrawek wolnej przestrzeni: nikt widocznie nie odważał się przekroczyć niewidzialnej bariery odgradzającej go od pozostałych. Jeszcze przed paroma dniami taki widok był nie do pomyślenia, gdyż Orlan tak bardzo starał się nie wyróżniać spośród otoczenia, że niknął w każdej grupie liczącej więcej niż trzy osoby. Nie chcąc przeszkadzać Ellonowi i jego ekipie w pracy, podszedłem do samotnego Demiurga.

— Witaj, przyjacielu Orlanie! — powiedziałem, starając się, żeby mój głos brzmiał serdecznie i ciepło. Jest nadzieja, że stabilizator czasu zacznie działać?

— Dziwne pytanie, admirale Eli! — odparł Orlan zimno. — Czyż nie słyszałeś, że Ellon przyrzekł mi uruchomić go dzisiaj?

— Tak — wymamrotałem zmieszanym głosem. Słyszałem, Orlanie, jak Ellon ci to obiecywał...

— Sądzisz, że Ellon ośmieliłby się mnie oszukać? Taka rzecz wśród Demiurgów nie może się zdarzyć! Uspokój się, dzień dopiero się zaczął, admirale Eli.

On również popadł w szaleństwo. Wszyscy na statku tracili zmysły, bo nieuchwytna dla przyrządów wibracja czasu rozbijała im psychikę. W świadomości nawarstwiała się przywrócona do życia przeszłość, zagęszczała się mająca dopiero nastąpić przyszłość. W rozdwojonej duszy przeszłość zaczynała przeważać, gdyż jako dobrze już znana wydawała się bliższa. Tylko Olga stanowiła wyjątek, bo cała reszta zapadała się coraz głębiej w czas miniony.

Patrząc na dumnie kroczącego od ściany do ściany Orlana nagle zobaczyłem go takim, jakim był, gdy jeszcze nie stał się naszym przyjacielem, wyobraziłem sobie, jak wobec niego zachowywali się otaczający go lokaje, jego niewolnicy. Sztywna hierarchia, wymóg bezwzględnego posłuszeństwa wobec przełożonych jako nadrzędna zasada obowiązywała w społeczeństwie, gdzie nawet myśl o wolności była najcięższym przestępstwem i dawny Orlan był produktem tego właśnie społeczeństwa. To naturalnie nie jego wina, myślałem, że coraz głębiej grzęźnie w przeszłości, to jego nieszczęście, a nie wina. A poza tym w naszej obecnej tragicznej sytuacji jego pycha, jego surowa władczość może tylko sprzyjać wyzwoleniu nas z nieszczęścia... W nadzwyczajnych okolicznościach należy stosować jedynie nadzwyczajne środki. Ale co będzie, jeśli my się uratujemy, a on pozostanie takim oto pełnym pychy dostojnikiem? Czułem, że tracę przyjaciela, jednego z najbliższych i najserdeczniejszych przyjaciół...

— Można oszaleć na taki widok — wyrwało mi się. Orlan usłyszał to i zapytał groźnie:

— Co powiedziałeś? Powtórz!

— Nie pamiętam już, co mamrotałem, Orlanie odpowiedziałem i poszedłem do siebie.

Mary spała i błogo uśmiechała się we śnie. Popatrzyłem na jej zarumienioną twarz, wziąłem dyktafon i poszedłem do konserwatora, w którym przybył nowy sarkofag ze zwłokami Mizara, który nie przeżył powrotu z przeszłości. Przysunąłem fotel do klatki siłowej Oana. Gdzie on był? W przeszłości czy przyszłości? W jakim momencie uchwyciły go niewidzialne pęta Ellona? Czy zdoła powrócić do rzeczywistości, gdy zdejmiemy krępujące go okowy?

— Co do jednego miałeś rację, zdrajco — powiedziałem. — Ostrzegałeś nas przed rakiem czasu i rak czasu nas poraził. Nie powiedziałeś tylko, że stanie się to za sprawą twoich okrutnych władców, a może braci. Ciesz się, Oanie, jesteśmy chorzy! Nasze dusze krwawią, a wkrótce również nasze ciała udręczone przez rozdwojoną psychikę odmówią posłuszeństwa, zwalą się bez sił, skamienieją na podłodze, w łóżkach czy fotelach. Cieszcie się, okrutni, zwyciężyliście! Ale po co wam takie zwycięstwo? Odpowiedz mi, zdrajco, dlaczego z nami walczycie? Po co zniszczyliście naszą eskadrę? I dlaczego pozostawiliście nam jeden statek, ale za to poszarpaliście na strzępy jego czas pokładowy? Mało wam zwycięstwa? Chcecie jeszcze porozkoszować się widokiem naszych męczarni? Przesądni Aranowie nazwali was bogami. Mylili się. Jesteście po prostu okrutnymi katami! Ale nie ma sensu złorzeczyć... Odpowiedz mi lepiej co będzie, gdy jednak wyrwiemy się z obszaru chorego czasu. Będziecie nas ścigać? Spopielicie ostatni statek? Jeszeze raz pytam, dlaczego z nami walczycie? Dlaczego nie wypuszczacie nas ze swego piekła? Czym was rozgniewaliśmy?

Zamilkłem na chwilę, a potem znów mówiłem już nieco spokojniej:

— Szaleństwo ogarnia całą załogę. Mnie również. Już to, że ja żywy, rozmawiam z tobą — martwym, nie świadczy dobrze o moich zdrowych zmysłach. Każdy wariuje na swój sposób, a ty jesteś moją formą szaleństwa. Coś nieodparcie ciągnie mnie tutaj, ale nie ciesz się, jeszcze cię przechytrzę! Ja również wpadłem w przeszłość, ale nie utonę w niej, utrzymam się na wzburzonej powierzchni czasu... Widzisz to? Wyrzucę przeszłość ze swej świadomości i unieruchomię ją na taśmie dyktafonu. Ciężar minionych lat omal nie zgubił mojej żony, ale ja się od tego ciężaru wyzwolę.

Będę przed tobą spokojnie, konsekwentnie, godzina po godzinie leczył się z choroby, którą mnie perfidnie zaraziłeś.

Odwróciłem się do Oana plecami, ująłem w prawą rękę dyktafon i zacząłem mówić:

Tego dnia, doskonale to pamiętam, lunął niezapowiedziany deszcz...

5

Zasnąłem zmęczony wielogodzinnym dyktowaniem. Obudziło mnie dwukrotne wezwanie: „Admirał Eli proszony do laboratorium! Admirał Eli proszony jest do laboratorium!” Rzuciłem dyktafon na fotel i wybiegłem z konserwatora.

W laboratorium ujrzałem Ellona pochylonego kornie przed Orlanem. Obaj stali przy stabilizatorze czasu, a opodal zbili się w ciasną grupkę Oleg, Gracjusz i Romero. Orlan przywołał mnie gestem ręki, jak smarkacza, któremu chciałby dać nauczkę. Na Ellona w ogóle nie zwracał uwagi.

— Dzień się kończy i nasz stabilizator rozpoczyna pracę, admirale! — powiedział butnie i niemal nie odwracając głowy zapytał lekceważąco Ellona:

— Gotowe, mój dobry Ellonie?

— Wszystko, absolutnie wszystko Orlanie! — odparł skwapliwie Ellon, jeszcze niżej pochylając się w swoim kornym ukłonie.

— Wobec tego włącz aparat!

Usłyszeliśmy ostry szczęk i to było wszystko. Przez kilka pełnych napięcia sekund oczekiwaliśmy dalszych dźwięków, błysków czy wibracji, ale aparat pracował bez jakichkolwiek efektów zewnętrznych. Obrzuciłem wzrokiem obecnych i z nagłą goryczą spostrzegłem, jak bardzo się wszyscy zmienili. Poszarzałe ze zmęczenia twarze, przygarbione ramiona i zapadnięte oczy świadczyły o przebytej ciężkiej chorobie. Nawet nieśmiertelny Galakt, nawet wspaniały Gracjusz wznoszący się ponad nami o dobrą głowę już nie przypominał dawnego majestatycznego posągu, a cała reszta, to był prawdziwy obraz nędzy i rozpaczy. Powrót w lata młodości nikomu nie wyszedł na dobre, pomyślałem.

Z zadumy wyrwał mnie triumfalny okrzyk Orlana:

— Eli, Eli, czas jest spójny!

Drgnąłem i otworzyłem oczy. Orlan szedł ku mnie wyciągając po ludzku ręce. Chwyciłem jego kościstą dłoń, wpatrując się natarczywie w twarz byłego Niszczyciela. Orlan był taki jak dawniej, Orlan powrócił z przeszłości, odrodził się, stał się znów tym Orlanem, którego kochałem, dobrym, łagodnym, wiecznie uśmiechniętym Orlanem! Objąłem go, dałem solidnego kuksańca, ale on nie przestał się uśmiechać. To było tak wspaniałe, tak upragnione i tak zarazem nieoczekiwane, że zakrawało na cud, gdyby nie widok stabilizatora, przy którym stał wciąż pochylony w niskim ukłonie Demiurg Ellon. Po chwili w laboratorium zapanowało radosne zamieszanie: wszyscy się cieszyli, wszyscy wszystkim gratulowali, wszyscy obejmowali wszystkich.

— Eli! — zwrócił się do mnie z wyrzutem Orlan, gdy radość nieco ucichła. — Zapomniałeś podziękować naszemu wspaniałemu inżynierowi! Bo musisz teraz przyznać, że miałem rację nalegając na udział Ellona w wyprawie, prawda? Ellon to prawdziwy geniusz techniczny, jakiego dotąd nie było nawet wśród Demiurgów!

Podeszliśmy obaj do Ellona, który nie zmieniając nadal pozy popatrzył na mnie chmurnym wzrokiem.

— Ellonie! — powiedziałem ze wzruszeniem. Dokonałeś niezwykłego czynu! Zwyciężyłeś raka czasu. Tylko dzięki tobie ta najstraszliwsza ze znanych chorób przestała być dla nas groźna!

— Spełniałem tylko wolę tego, który mnie posłał! — powiedział sucho Ellon. — Podziękuj Orlanowi, admirale Eli!

Odrodzonemu Orlanowi moje podziękowania nie były potrzebne.

— Nie, Ellonie! — wykrzyknął gorąco. — To ty nas uratowałeś i dlatego musisz przyjąć nasze najszczersze podziękowania — dodał z takim pośpiechem i naciskiem, jakby obawiał się, że w przeciwnym razie całą eskadrę spotka nowe nieszczęście. — Poza tym mylisz się sądząc, że ci rozkazywałem... Ja cię tylko prosiłem jak przyjaciela...

Ellon pochylił głowę wykrzywiając usta w złym uśmiechu. On się nie odrodził. Orlan wrócił do poprzedniego bytu, Ellon zaś pozostał rozdarty między przeszłością a przyszłością, bo rak czasu wyrył w jego psychice zbyt głęboką wyrwę, aby dała się ona czymkolwiek zapełnić. Zrozumiałem to dopiero później, a wówczas, patrząc z pełną zachwytu wdzięcznością na Ellona pomyślałem jedynie, że ma większą od nas wszystkich inercyjność duszy, że po prostu trzeba mu nieco więcej zdrowego czasu na przywrócenie równowagi. Wiele spraw potoczyłoby się inaczej, gdybym w tym momencie okazał się bardziej przenikliwy!

Romero płonął z niecierpliwości, żeby sprawdzić, jak stabilizacja czasu odbiła się na zwariowanych mózgach pokładowych. W maszynach z „Tarana” i „Węża” działały jeszcze nie wszystkie obwody i dlatego ich poziom intelektualny nie wykraczał poza znajomość tabliczki mnożenia. Nie były już szalone, ale nadal silnie ograniczone umysłowo. MUK „Strzelca” wyleczył się z natręctwa potrójnych odpowiedzi. Na pytanie o samopoczucie i o to, czy gotów jest przystąpić do pracy, zameldował dziarsko: „Było ich dwudziestu i każdy do kwadratu, przy czym pierwszy i szósty dodatkowo nieciągły w przedziale od zwiewnej koronki do czekolady z orzechami”.

— To było do przewidzenia — powiedziałem do Romera. — W maszynach uległa zerwaniu więź przyczynowo-skutkowa, dlatego same nie zdołają powrócić do poprzedniego stanu. Jednak po przywróceniu drożności obwodów będą jak nowe. Interesuje mnie bardziej MUK „Koziorożca”, którego uczył pan historii, kurując w ten sposób z utraty osobowości...

— Na cóż więc pan czeka, drogi admirale? Podeszliśmy do maszyny-wierszokletki.

— Czy możesz mi powiedzieć, co się z tobą działo? MUK znów mi odpowiedział słowem wiązanym:

Polowałem wśród słów gęstwiny, Jedno słowo splatałem z drugim. To zajęcie niegodne maszyny Uprawiałem długo za długo!

— Widzę, że ci powraca samokrytycyzm. Gratuluję, MUK! A teraz jeszcze jedno pytanie: jak się czujesz?

Maszyna odpowiedziała tym razem dobrze nam znanym. niespiesznym barytonem:

— Dziękuję. Wszystkie obwody w porządku. Reakcje w normie. Mogę przystąpić do pracy.

Romero rozpłakał się jak dziecko. Tak wiele ostatnio widziałem łez, tak często sam nie mogłem się od nich powstrzymać, że widok płaczącego człowieka stał się dla mnie czymś najzupełniej normalnym. Ale Romero był zawsze tak powściągliwy, tak wielką wagę przywiązywał do dobrych manier, że jego zapłakana twarz przyprawiła mnie o wstrząs, z którego wyrwał mnie dopiero jego oburzony okrzyk:

— Admirale, ma pan tak ponurą minę, jakby nie cieszył się pan z powrotu do zdrowia! — Romero zaraz się jednak zreflektował i zapytał już spokojniejszym tonem: — A może pana coś dręczy?

— Dręczy mnie wiele rzeczy. Najbardziej to, że nie wiem jak się czuje Głos! — powiedziałem pierwsze, co mi przyszło do głowy i pomyślałem, że naprawdę muszę to jak najszybciej sprawdzić.

Pobiegłem do kabiny Głosu.

— Włóczęgo, przyjacielu, czas się ustabilizował powiedziałem i dopiero wówczas zauważyłem Gracjusza, który powrócił na swój posterunek. — Czujesz, że znów znaleźliśmy się w zdrowym czasie?

— Czuję, że czas się ustabilizował — odparł Włóczęga ze smutkiem — ale nie czuję w sobie jedności. Obawiam się, że we mnie po prostu utrwaliła się wyrwa między przeszłością a przyszłością.

Nie mogłem w to uwierzyć. W porze pogmatwanego czasu Głos był ochrypły i jakby rozdygotany, a teraz znów brzmiał czysto i melodyjnie.

— Przesadzasz, Głosie! — powiedziałem lekceważąco. — W zdrowym czasie nie może być przyszłości. Ślady przeszłości pozostają, ale przyszłość dopiero będzie. Widzę cię i słyszę, a zatem jesteś w teraźniejszości, w ustabilizowanej teraźniejszości!

— Zbyt wiele we mnie jest tych śladów przeszłości, Eli!

— W tobie — zwróciłem się do Gracjusza — luka czasowa chyba się nie ustabilizowała?

Galakt zatrzymał się, pomyślał chwilę i odpowiedział niespiesznie:

— We mnie nie było żadnej luki czasowej, Eli.

A jeśli nawet była, to jej nie czułem. Wiesz przecież, admirale, że nasza przyszłość powtarza naszą przeszłość. Jesteśmy nieśmiertelni, a zatem zawsze przebywamy w najlepszym z możliwych czasów.

Miał rację. Glaktowie są tak doskonali, że przyszłość nie może ulepszyć ich przeszłości. To jednak nie dotyczyło Głosu, który wprawdzie genetycznie wywodził się z Galaktów, ale w jego życiu cierpienia ustępowały miejsca radości, a radość przeradzała się w cierpienia. Dla niego istnienie w różnych czasach na raz oznaczało nakładanie się przeciwstawnych form istnienia, co musiało w ostatecznym rezultacie doprowadzić do rozdwojenia psychiki. Nie powiedziałem tego Głosowi, ale zdradziłem się ze swymi obawami Romerowi, kiedy odwiedził mnie w kabinie mieszkalnej.

— To chyba przedwczesny pesymizm, Eli! Wszystkie maszyny są już niemal stuprocentowo sprawne, a w każdym razie nie stwierdziliśmy śladowych zaburzeń w ich psychice.

Przepełniała go taka radość, z taką euforią przyjął powrót zwartego czasu, że musiałem nieco ochłodzić jego bezkrytyczny zapał.

— To niestety nie jest żadnym argumentem, Pawle, bo intelekt maszyn różni się diametralnie od naszego. Nauczono je konstruowania ciągów logicznych, to znaczy wyciągania prawidłowych wniosków z danych przesłanek, i to wszystko. Rozsądek to jeszcze nie rozum. Natura nie składa się bowiem ze zbiorowiska wyodrębnionych ciągów logicznych, lecz jest zwartą całością, spójną, rozumną, choć pozornie nie zawsze logiczną. Trzeba o tym zawsze pamiętać, Pawle, bo to jest niesłychanie ważne!

— Dlaczego pan mi to mówi, Eli? Czyżbym ja?... — Chwileczkę, Pawle. Jeszcze nie skończyłem. Nasza świadomość jest rozumna, a tak zwany zdrowy rozsądek jest jedynie jej cząstką. Zgadzam się, że każdy z nas tę cząstkę odzyskał, ale jego rozum mógł pozostać rozdarty. Co wtedy? Czy aby w jednym mózgu nie pojawiają się dwie osobowości? A jeśli tak, to czy pogodzą się ze sobą, czy też zaczną się nawzajem zwalczać?

— Jedna z pewnością pokona drugą! — A jeśli zwycięży ta gorsza?...

— Zbyt czarno patrzy pan na świat, Eli!

— Po prostu staram się przewidzieć niebezpieczeństwa, aby im w porę zapobiec albo przynajmniej ograniczyć skutki tych zagrożeń...

— Taką przezorność nazywano w dawnych czasach czarnowidztwem! — zauważył ironicznie Paweł. Najwidoczniej nadal mnie nie rozumiał! Spróbowałem zatem wyłożyć mu rzecz inaczej, uciekając się do elementarnej matematyki, której Romero, jak wszelki człowiek daleki od techniki, przypisywał sens magiczny i wierzył bez zastrzeżeń.

— Weźmy za przykład nas, Pawle. W swym normalnym bycie tworzymy parę Eli-Paweł. Możemy mieć dobre lub złe charaktery, ale nasz wzajemny stosunek zawsze będzie jednoznaczny.

— Możemy zwalczać się lub żyć w zgodzie...

— To nie ma w tym wypadku znaczenia. Powtarzam, nasze stosunki będą zawsze jednoznacznie określone. Załóżmy teraz, że nastąpiło w nas rozdwojenie jaźni. Będę zatem teraz jednocześnie Elim Starym i Elim Nowym, pan zaś Pawłem Starym i Pawłem Nowym, a zatem możemy utworzyć sześć par: Eli Stary — Eli Nowy, Paweł Stary — Paweł Nowy, Eli Stary — Paweł Stary, Eli Stary Paweł Nowy, Eli Nowy — Paweł Stary, Eli Nowy — Paweł Nowy. Inaczej mówiąc zaczyna się walka dwóch osobowości w nas samych, bowiem takie rozdwojenie musi być dramatyczne, jeśli tylko nie jest się Galaktem, w którym nowe i stare jest równie piękne i doskonałe. I cztery różne konfiguracje stosunków między nami zamiast jednej. Proszę się nad tym dobrze zastanowić, Pawle. Czterokrotnie zwiększa się możliwość konfliktów, niezgodności, odmiennych spojrzeń na tę samą sprawę!...

— I tak samo czterokrotnie zwiększa się prawdopodobieństwo zgodności poglądów, sympatii, przyjaźni!... Dlaczego widzi pan tylko czarne strony życia, Eli? Nie poznaję pana, admirale.

— Starzeję się, Pawle. Wszyscy się powoli na swój sposób starzejemy. Ja widocznie wybrałem ten gorszy sposób...

Nie pozwolił mi się wykpić żartem. Nie spuszczając ze mnie uważnego wzroku powiedział wolno:

— Ukrywa pan jakąś tajemnicę, Eli... Proszę mi ją zdradzić, a na pewno poczuje się pan lepiej.

Wstałem. Rozmowa zaszła za daleko.

— Tak, mam pewną gorzką tajemnicę — powiedziałem. — Ale jeszcze nie pora na to, żeby przestała być tajemnicą.

— Wydaje mi się, Eli, że znam pański sekret rzucił Romero już od progu.

Uśmiechnąłem się. Paweł nie mógł znać mojej tajemnicy.

6

Głos i Ellon mieli pecha. Z czterech utworzonych przez nich par górę wzięła najgorsza z możliwych: „Głos Stary — Ellon Stary”, co musiało doprowadzić do nieuchronnej tragedii. Niestety, stało się to jasne dopiero wówczas, kiedy już nie mogliśmy zapobiec nieszczęściu.

Byłem na stanowisku dowodzenia, kiedy Olega i mnie jednocześnie poprosili pilnie do siebie Głos i Ellon. „Koziorożec” w tym czasie wymijał niebezpieczne skupisko gwiazd. MUK pracował ze swą dawną precyzją, więc Osima i Kamagin, dublując siebie nawzajem, musieli jedynie nadawać jego zaleceniom kształt konkretnych rozkazów.

— Idź do laboratorium, a ja pójdę do Głosu zwróciłem się do Olega.

Głos powitał mnie pełnym lęku okrzykiem:

— Eli, Eli, Ellon zamyśla coś niedobrego. Zapobiegnij temu!

— Co to jest? — zapytałem szybko. — Muszę znać szczegóły!

— Nie wiem — jęknął Głos. — Coś bardzo niedobrego. Pospiesz się, Eli!

Popędziłem na złamanie karku do laboratorium, gdzie w oczy natychmiast rzuciła mi się Irena. Wychudła po przebytej chorobie dziewczyna w milczeniu stała przy kolapsanie. Uśmiechnąłem się do niej, co skwitowała zdawkowym skinieniem głowy. Ellon coś zapalczywie tłumaczył Olegowi, a kiedy podszedłem do nich, wykrzyknął agresywnie:

— Posłuchaj i ty, co powiedziałem dowódcy. Nie mam zamiaru dłużej tolerować twojego ulubionego mózgu. Wsadźcie go sobie w jakieś smocze albo ropusze cielsko. W takiej postaci potrafię go jeszcze jakoś strawić...

— Co powiedział dowódca? — poinformowałem się spokojnym tonem.

— Że smoków na statku nie ma, wobec czego mózg musi pozostać w swojej lewitującej kuli. Chyba wytłumaczysz dowódcy, że jego decyzja jest niesłuszna i skłonisz go do jej zmiany?

— Nie mam prawa zmieniać rozkazów dowódcy, a ponadto uważam jego decyzję za słuszną.

Gdyby wzrok mógł zabijać, zostałaby ze mnie tylko garstka popiołu. Ellon świdrował mnie oczyma i milczał. Ja z Olegiem również się nie odzywałem.

— Wasza decyzja jest ostateczna? — zapytał wreszcie Demiurg.

— Ostateczna! — odparliśmy niemal chórem. Ellon uniósł wysoko głowę na cienkiej szyi i z takim złowieszczym chrzęstem wbił ją w ramiona, że ciarki przeszły mi po grzbiecie.

— Skoro dwaj admirałowie są tego samego zdania, to dalsza dyskusja nie ma sensu — rzucił niemal obojętnie. Ten jego podstępnie udawany spokój całkowicie nas zmylił.

— Zawołałeś nas tylko po to, żeby zgłosić pretensje wobec Głosu? — zapytał Oleg.

— Nie, admirale! — wykrzywił się straszliwie Demiurg. — Jak wiesz, na rozkaz Orlana przerwałem pracę nad udoskonaleniem transformatora czasu, żeby zająć się stabilizatorem. Teraz go dokończyłem. Popatrzcie!

Pokazał nam nowy pulpit sterowniczy wyposażony w dźwignie czasu postępującego i wstecznego, dźwignie sterujące powrotem podróżnika w czasie do teraźniejszości i odcinające kolapsan od transformatora. Potem wróciliśmy do głównej części maszyny. W kuli transformatora stał fotel, a przy nim miniaturowy pulpit z dźwigniami o takim samym przeznaczeniu.

— W poprzedniej wersji urządzenia przebiegiem podróży w czasie sterował operator od pulpitu przy kolapsanie — powiedział Ellon. — Widzieliście, jak się to odbywało podczas doświadczenia z Mizarem. Teraz sam podróżnik decyduje o własnym losie.

Zrobił krok w kierunku otwartego włazu. Odruchowo chwyciłem go za ramię.

— Obawiasz się, że umknę do innego czasu? — zapytał z gryzącą ironią. — I sądzisz, że potrafisz mi w tym przeszkodzić? Zastanów się, admirale! Przecież mógłbym uciec wtedy, kiedy tu nie ma nikogo!...

Uwolniłem go, a Ellon spokojnie wszedł do wnętrza kuli i usiadł na fotelu, po czym zatrzasnął właz.

— Słyszycie mnie? — dobiegł nas jego głos. — No więc słuchajcie uważnie! Dla mózgu nie ma miejsca na statku, bo tu jedynie przeszkadza. Pożytek z niego może być jedynie w przeszłości, co mogę wam oświadczyć jako niedoszły Nadzorca Czwartej Kategorii Imperialnej, który doskonale wie, jak należy postępować z takimi wstrętnymi stworami. Dowiedzcie się, że transformator został zogniskowany na mózgu i że za chwilę wyrzucę go na Trzecią Planetę w czasy na długo przedtem zanim ją podbiliście.

Oleg skoczył do transformatora, a ja pomknąłem w stronę kolapsanu. Irena zastąpiła mi drogę. Pewnie liczyła na swą kobiecą nietykalność, ale pomyliła się. Odepchnąłem ją, ale leżąc już na ziemi wściekle wczepiła się w moją nogę. Usłyszałem triumfalny okrzyk Ellona:

— Za późno, admirale! Mózg już jest w Perseuszu. A teraz popędzę za nim. Odwiedź nas wczoraj, admirale! Dziś i jutro już nas nie będzie. Oczekujemy cię wczoraj! — Demiurg zaczął szybko znikać.

Oleg rzucił mi się na pomoc. Oderwał ode mnie Irenę, a ja szarpnąłem dźwignię kolapsanu. W transformatorze znów pojawił się cień Ellona: Demiurg wyrzucił się w niedaleką przyszłość i prawie natychmiast wrócił, aby minąć ruchem inercyjnym zero temporalne. Irena krzyknęła rozpaczliwie:

— Nie dotykaj dźwigni powrotu, admirale! On już jest w przeszłości i nie przeżyje ponownego przejścia przez zero czasowe!

Nie słuchałem jej. Bez względu na to, co się miało stać z Głosem, nie mogłem pozostawić go w przeklętej przeszłości. Irena przestała się wyrywać Olegowi i załkała. W kuli transformatora ponownie zmaterializował się Ellon. Sam i martwy. Irena straciła przytomność. Oleg krzyknął, żebym wezwał pomocy, ale ja zamiast tego wywołałem Głos. Ellon mógł się przecież pomylić w swych obliczeniach, tym bardziej że Głos ani razu nie ukazał się wewnątrz transformatora... Ale na moje rozpaczliwe wołanie odpowiedział jedynie przerażony Gracjusz:

— Admirale, Głos nagle zniknął! Potrząsnąłem brutalnie Ireną:

— Mów, co można zrobić! Mów natychmiast!...

— Nic się już nie da zrobić... — wyszeptała nie otwierając oczu. — Zabiliście Ellona.

Znów zaczęła omdlewać, ale ja potrząsnąłem ją jeszcze silniej.

— Ellon nic mnie nie obchodzi, zbrodniarko! Powiedz tylko jak uratować Głos!

Otworzyła oczy. Nigdy nie zapomnę jej spojrzenia. Oleg powiedział:

— Być może Irena istotnie jest zbrodniarką, ale w tej chwili potrzebuje pomocy...

— Nie będzie żadnej pomocy! — wrzasnąłem. Nie otrzyma żadnej pomocy, dopóki nie powie, co mamy teraz robić!...

— Mówiłam już, że nic nie da się zrobić... odezwała się Irena nieco pewniejszym głosem. — Niestety Włóczęga zginął, jest przecież organiczny... W Ellonie było tak wiele składników sztucznych, ale i on nie przeżył drugiego nawrotu. Za wcześnie przełożył pan dźwignię, admirale, a ja panu nie zdołałam przeszkodzić... Jestem taką samą morderczynią, jak pan, Eli! I rozpłakała się.

Staliśmy nad nią w milczeniu. Poczułem, że lada chwila zwalę się bez zmysłów na ziemię, gdy Oleg powiedział:

— Ireno, twój karygodny czyn osądzi cała załoga. Ale powiedz nam przynajmniej, dlaczego to zrobiłaś?

— Ellon mnie uprosił — odpowiedziała przez łzy. — Powiedział, że pochodzimy z różnych czasów i dlatego nie możemy się kochać, że kiedyś kobieta będzie mogła być szczęśliwa z Demiurgiem, ale nie nastąpi to za naszego życia i że najlepiej się rozstać...

— Nie odpowiadasz na pytanie, Ireno...

— Powiedział, że chce zniknąć w przeszłości, ale razem ze smokiem... Obiecałam mu pomóc i stałam się morderczynią. Nigdy sobie tego nie wybaczę!... — Jej głos utonął we łzach.

Wcale mnie tym nie wzruszyła. Powiedziałem:

— Przez próżność Demiurga i głupotę kobiety straciliśmy jednego bezbronnego przyjaciela i jednego genialnego wynalazcę. To tragiczne. Wydobądźmy teraz ciało Ellona, Olegu, aby mógł zająć należne mu miejsce w konserwatorze.

— Ireno, idź do siebie! — rzucił szorstko Oleg.

— Dobrze, pójdę do siebie — odparła pokornym tonem.

Spróbowałem wydobyć ciało Ellona z transformatora, ale szło mi to niesporo, więc Oleg pospieszył mi z pomocą. We dwójkę wynieśliśmy sztywne ciało Demiurga i położyliśmy je na wolnym stole pod ścianą. Zajęci tym nie zauważyliśmy, jak Irena przekradła się do laboratorium, przebiegła je i wskoczyła do kuli transformatora. Dopiero trzask zamykanego włazu zaalarmował Olega, który krzyknął:

— Ireno, błagam, nie rób tego!

— Żegnajcie! — odkrzyknęła z przezroczystej kuli. — Nie potępiajcie mnie! — I szarpnęła dźwignię. Zniknęła prawie natychmiast, zanim zdążyliśmy podbiec do kolapsanu. Oleg chwycił za dźwignię powrotu, ale go powstrzymałem:

— Sprawdź najpierw, gdzie ona jest i uważaj, jeśli znalazła się w przeszłości!

Szybko przebiegł wzrokiem lampki sygnalizacyjne na pulpicie.

— Jest w przyszłości, Eli!

— Wobec tego zawracaj, ale ostrożnie. Powrót z przyszłości jest możliwy.

Irena jednak nie wróciła, bo zbyt szybko pomknęła w przyszłość. Chyba z dziesięć minut staliśmy przy transformatorze, czekając na zmaterializowanie się jej w przezroczystej kuli. Wreszcie kolapsan po wyczerpaniu energii powrotu wyłączył się automatycznie.

— To już koniec, Eli! — powiedział Oleg znużonym głosem. — Dla nas Irena przestała istnieć. Co najwyżej nasi dalecy potomkowie będą ją mogli gdzieś spotkać. Chodźmy zawiadomić załogę o nowej tragedii.

— Musimy ją zawiadomić nie tylko o odejściu trzech przyjaciół...

— O czym ty mówisz. Eli? Czy to jeszcze nie koniec naszych nieszczęść?

— Niestety. Na pokładzie jest jeszcze jeden zdradziecki agent Ramirów. Zdemaskowałem go.

7

Zamknąłem się u siebie. Olegowi powiedziałem, że przygotuję raport na ogólne zebranie załogi i wyjdę dopiero wtedy, kiedy wszyscy się już zbiorą. Zapukał do mnie Romero, ale się nie odezwałem. Mary poprosiła przez zamknięte drzwi, żebym ją wpuścił, ja jednak odkrzyknąłem, że jestem bardzo zajęty, że muszę się skupić, a czyjakolwiek obecność mi w tym przeszkadza. Nie wpuszczałem nikogo. Raz tylko zawahałem się, gdy za drzwiami uslyszałem głośny płacz Olgi. Ona miała prawo mnie zobaczyć, ho jej córka zginęła na moich oczach... Otworzyłem drzwi i stanąłem w progu.

— Olgo, możesz uważać mnie za człowieka bez serca, ale w tej chwili nie mogę z tobą rozmawiać o Irenie. Sama wkrótce zrozumiesz dlaczego. Idź do Olega, on ci wszystko opowie, a ja naprawdę nie mogę, uwierz mi.

Popatrzyła na mnie nieprzytomnym wzrokiem i odeszła bez słowa. Wyglądała jak cień i było mi jej naprawdę serdecznie żal. Ta posiwiała, przygarbiona teraz kobieta przeżyła męża i córkę, przeżyła straszliwą śmierć obojga i potrzebowała jak nigdy mojej pomocy. Ale ja miałem zmartwienie o wiele cięższe nawet od jej tragedii...

Nie przygotowywałem raportu. Leżałem na tapczanie i gryzłem się, zadręczałem pytaniami bez odpowiedzi. Zastanawiałem się bez końca, dlaczego nigdy nie spotkaliśmy Ramirów w ich cielesnej postaci, chociaż ich fizyczne istnienie nie ulegało dla mnie najmniejszej wątpliwości; zachodziłem w głowę czym ich tak bardzo rozgniewaliśmy, że bez pardonu zniszczyli prawie całą eskadrę i dlaczego wreszcie nie rozpylili ostatniego statku, skoro już z nami walczą i zagłada gwiazdolotu leży w ich możliwościach... To była tajemnica, którą za wszelką cenę musiałem przeniknąć, ale tego nie umiałem. Myślałem też o Lusinie i nieszczęsnym Głosie, o Irenie, która tak okrutnie nas porzuciła, myślałem o Ellonie i mądrym, sympatycznym psie Mizarze, ale przede wszystkim o nowym szpiegu Ramirów. Nienawidziłem go jak nikogo dotąd i w swej nienawiści gotów byłem obedrzeć ze skóry ku przestrodze każdego, kto chciałby być agentem naszych wrogów.

Do drzwi w umówiony sposób zapukał Oleg. Wpuściłem go.

— Wszyscy wolni od wacht zebrali się w sali obserwacyjnej — powiedział chmurnie. — Jak się czujesz, Eli?

— Dlaczego o to pytasz?

— Jesteś bardzo blady.

— Za to pełen zdecydowania. Chodźmy!

— Poczekaj — zatrzymał mnie. — Chciałbym wiedzieć, kogo podejrzewasz o szpiegostwo.

— Dowiesz się na zebraniu. Chodźmy... Ale Oleg był uparty:

— Eli, jestem dowódcą eskadry. Mam prawo wiedzieć więcej i wcześniej niż inni.

Zastanowiłem się. Oleg przyparł mnie do muru, ale znalazłem wyjście. Uśmiechnąłem się krzywo.

— A jeśli podejrzewam ciebie? — zapytałem.

— Mnie?! Oszalałeś, Eli?

— Być może. Wszyscy przecież niedawno postradaliśmy rozum i nie jest wykluczone, że nie całkiem jeszcze powróciliśmy do zdrowia... — Patrzyłem mu prosto w oczy. — Jeśli wydasz rozkaz, będę go musiał wykonać, ale bardzo cię proszę, nie rób tego!

— Idziemy! — rzucił krótko i ruszył przodem. Ekrany gwiezdne w sali obserwacyjnej zostały wygaszone. Na podwyższeniu ustawiono stolik, przy którym usiedliśmy z Olegiem. Popatrzyłem na salę, w której zgromadzili się wszyscy moi przyjaciele, ludzie i Demiurgowie. Pod ścianą niczym majestatyczny posąg wznosił się górujący nad wszystkimi Gracjusz w towarzystwie Orlana. W pierwszym rzędzie siedziały Mary z Olgą, a między nimi Romero. Mary patrzyła na mnie z takim niepokojem, że pospiesznie odwróciłem oczy. Oleg poprosił o ciszę.

— Wiecie już o tragedii, jaka rozegrała się niedawno w laboratorium — powiedział. — Teraz jednak zebraliśmy się nie po to, żeby uczcić naszych poległych przyjaciół. Kierownik naukowy wyprawy jest zdania, że wykrył na statku kolejnego szpiega Ramirów i pragnie przedstawić ogólnemu zebraniu załogi odpowiednie tego dowody. Wstałem.

— Zanim to uczynię — powiedziałem — chciałbym prosić zebranych o przegłosowanie kary, na jaką ich zdaniem szpieg zasłużył. Moja propozycja brzmi: kara śmierci!

— Śmierć?! — dobiegł mnie oburzony głos Romera.

Jego protest utonął w głośnych krzykach sali. Oburzali się nie tylko ludzie, lecz także Demiurgowie, a majestatyczny Gracjusz zaczął wściekle wymachiwać rękami. Spokojnie czekałem, aż gwar ucichnie.

— Tak, kara śmierci! — powtórzyłem. — Nie uwięzienie, nie konserwacja, lecz właśnie stracenie. Kara śmierci to przeżytek starożytności, relikt barbarzyńskich czasów, ale nalegam na jej orzeczenie, gdyż szpiegostwo jest również reliktem barbarzyństwa. Kara za hańbiącą zbrodnię również powinna być hańbiąca.

Romero uniósł laskę, prosząc w ten sposób o głos. — Zechce pan wymienić nazwisko zbrodniarza, admirale, i dokładnie opisać przestępstwo — powiedział. Dopiero wówczas zdecydujemy czy zasługuje on na karę główną.

Wiedziałem, że wszyscy będą przeciwko mnie i byłem na to z góry przygotowany, powiedziałem więc zimno: — Kara musi być orzeczona zanim wymienię nazwisko zbrodniarza!

— Ale dlaczego, admirale? Może nam pan to wytłumaczyć?

— Wszyscy tu jesteśmy przyjaciółmi i kiedy podam nazwisko szpiega, nie zdołacie od razu się od niego odciąć, odzwyczaić od myśli, że jest waszym przyjacielem i natychmiast zaczniecie podświadomie szukać okoliczności łagodzących. Ja natomiast chcę, żeby ukarane zostało samo przestępstwo.

— To bardzo pięknie, ale w razie orzeczenia kary śmierci zostanie stracony konkretny członek załogi, według pana nader nam bliski, a nie abstrakcyjny przestępca! — upierał się Romero.

— Gdybym mógł osądzać jedynie przestępstwo, ignorując z pogardą samego zbrodniarza, wtedy bym mu wybaczył. Niestety jest to niemożliwe.

— Jak pan uważa, admirale! W każdym razie ja, zanim nie poznam nazwiska szpiega, powstrzymam się od głosowania.

Romero usiadł i z kolei głos zabrał Oleg:

— Kierownik naukowy wyprawy przedstawił problem, który nazwałbym problemem kodeksu. W starożytności istniał przepis, zgodnie z którym karano sprawcę niegodnego czynu za sam czyn, nie biorąc pod uwagę żadnych innych okoliczności. Eli zatem proponuje przywrócić, moim zdaniem słusznie, stary obyczaj.

— Ale również w starożytności zespół ludzi orzekających o winie, a nazywany wówczas sądem, wiedział o czyjej winie orzeka! — zaoponował gorąco Romero.

Postanowiłem za wszelką cenę zmusić go do milczenia.

— Romero zachowuje się tak — powiedziałem głośno — jakby obawiał się, że to on zostanie oskarżony o szpiegostwo!

Paweł opanował się z największym trudem, ale odpowiedział ze zwykłą godnością:

— Gdyby chodziło o mnie, z pewnością głosowałbym za karą śmierci!

— Może zatem lęka się pan, że domniemany zbrodniarz jest panu droższy od samego siebie?

— Dopuszczam taką możliwość — odparł ponuro. — W naszej sytuacji wszystko jest możliwe...

— To nie jest odpowiedź!

— Dobrze, niech i tak będzie! — wykrzyknął z determinacją Romero. — Głosuję za karą główną... jeśli przestępstwo zostanie dowiedzione.

— A zatem głosujmy wszyscy — powiedział Oleg. — Kto jest za?

Las rąk uniósł się nad głowami obecnych.

— Dopiął pan swego, Eli — zwrócił się do mnie Oleg. — Proszę więc wymienić nazwisko szpiega i przedstawić dowody jego winy.

Wiedziałem, że sprawię ból przyjaciołom, że ugodzę boleśnie Mary, ale nie miałem innego wyjścia. Postarałem się tylko, żeby moje słowa zabrzmiały spokojnie.

— Szpiegiem naszych wrogów jestem ja — powiedziałem.

8

Odpowiedzią była głucha cisza, w której zabrzmiał jedynie pełen współczucia okrzyk Galakta:

— Biedny Eli! On też... — I znów zrobiło się cicho. Wpatrywałem się w twarze zebranych i z ogromnym zdumieniem odkrywałem wszędzie ten sam wyraz serdecznego współczucia. Tylko Mary nie uwierzyła w moje szaleństwo. ...

Podbiegł do mnie Osima.

— Admirale! — wykrzyknął. — Proszę się nie martwić, wszystko będzie w porządku! Odprowadzę pana do łóżka...

Odsunąłem jego rękę. Oleg zwrócił się do sali, nadal milczącej i sparaliżowanej współczuciem:

— Czy nie powinniśmy odłożyć narady, przyjaciele? Elektroniczny medyk...

Romero przerwał mu stukając laską w podłogę.

— Protestuję! — powiedział zrywając się z miejsca. — Szukacie prostych rozwiązań, ale proste i najłatwiejsze rozwiązania nie istnieją. Admirał Eli cieszy się lepszym zdrowiem niż którykolwiek z nas i ma podstawy mówić to, co powiedział, a my musimy go wysłuchać.

— Pan jeden nie jest zdumiony — zauważyłem.

— Tak, Eli — odparł sucho Romero. — Nie jestem zdumiony, bo spodziewałem się takiego właśnie wyznania.

— A zatem kontynuujemy? — zapytał Oleg obecnych na sali i w odpowiedzi usłyszał kilka aprobujących okrzyków. Osima, potrząsając z niedowierzaniem głową wrócił na miejsce, a Oleg zwrócił się do mnie: — Mów!

Zacząłem od przypomnienia tego, co Oan mówił o zwyczaju Okrutnych Bogów, którry czasem penetrowali społeczność Aranów przybierając ich postać. Ale kimże są Aranowie? Do czego jest zdolna, czym może zagrażać ich uwsteczniona, słaba, pełna zabobonów cywilizacja? Czy nie wynika z tego, że Ramirowie napotkawszy przedstawicieli nieporównanie wyższej i potężniejszej cywilizacji będą maskować się jeszcze staranniej, że naślą na nich liczniejszych szpiegów niż na bezbronnych w gruncie rzeczy pająkokształtnych? Wysłali najpierw Oana, który rozszyfrował nasze plany i przekazał je swoim zleceniodawcom, ci zaś te plany skutecznie pokrzyżowali.

Ale nie koniec na tym. Byliśmy przekonani, że pozbywszy się Oana, pozbyliśmy się tym samym szpiega Ramirów. Zagłada „Strzelca” rozwiała te iluzje. Jak Ramirowie mogli się dowiedzieć, co zamierzaliśmy z nim zrobić? Z naszego zachowania nie mogli nic wywnioskować, a jednak bezbłędnie określili nasze cele. Musieli zatem poznać nasze plany niejako od środka. Kto je im zdradził? Szpieg, który zaczął wśród nas działać po śmierci Oana! Napad Ramirów na „Strzelca” dobitnie świadczy o tym, że na pokładzie „Koziorożca” rezyduje ich agent.

Nie ma w tym nic dziwnego, jeśli przyjąć, że nasi wrogowie nie są kompletnymi głupcami. Na pewno nie są głupsi od nas, a więc musieli zdawać sobie sprawę z tego, że jeden informator to za mało, że potrzebny jest rezerwowy szpicel i to taki, który ma dostęp do wszystkich planów i wpływ na ich realizację. Do wyboru mieli dwóch członków załogi odpowiadających tym kryteriom: dowódcę eskadry i jej kierownika naukowego.

W tym miejscu przerwał mi Romero:

— Myli się pan, Eli. Ramirowie nie mieli wyboru, gdyż jedynie kierownik naukowy całkowicie spełniał ich oczekiwania. Pan zna wszystkie zamierzenia dowódcy, natomiast on, chociażby z braku czasu, nie może wnikać w każdy szczegół prowadzonych badań.

— Ma pan rację, Romero! To musiałem być ja. Przypomnę tu, że zrządzeniem losu również w poprzednich wyprawach przeciwnik na mnie właśnie zwracał najpilniejszą uwagę. Czyż to nie ty, Orlanie, wybrałeś mnie na swojego powiernika, kiedy postanowiłeś przejść na naszą stronę? Czyż to nie ze mną kontaktował się Główny Mózg Trzeciej Planety? A więc Ramirowie postanowili mnie zwerbować i dopięli swego. Jestem ich agentem. Przyznaję to z wielkim wstydem, ale trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, jeśli nie chce się ponosić ciągłych porażek... Nabrałem powietrza i mówiłem dalej:

— Byliśmy naiwni jak dzieci sądząc, że schwytany w siłową pułapkę, martwy Oan nie może nam już w niczym zaszkodzić. Bo cóż może wskórać trup zamknięty w konserwatorze, myśleliśmy... Byliśmy naiwni, powtarzam. Ramirowie mogli bez trudu uratować swojego agenta, ale woleli, żeby jego zwłoki zostały wśród nas i kontynuowały służbę. Bo Oan jest teraz przekaźnikiem pochodzących ode mnie informacji, raportów szpiegowskich pochodzących z mojego zniewolonego mózgu. Ramirowie znają każdą moją myśl, każde moje zamierzenie, moje każde najskrytsze nawet pragnienie...

Tu znów na chwilę zamilkłem. Mary nie spuszczała ze mnie zrozpaczonych oczu, Romero gapił się ponuro na rączkę swojej laski, a Osima wręcz pożerał mnie wzrokiem. Na twarzy miał wypisane, że nie wierzy w bodaj jedno moje słowo. Gracjusz i Orlan wierzyli, chociaż nie chcieli uwierzyć...

Przeszedłem do tego, w jaki sposób dowiedziałem się o swojej haniebnej roli. Nie było to łatwe, chociaż nieraz zastanawiałem się, dlaczego tak mnie ciągnie do konserwatora, po co tak często rozmawiam na głos z nieboszczykami. Przecież nigdy nie miałem skłonności do wygłaszania monologów i w ogóle z natury jestem dość małomówny. Olśniło mnie po katastrofie „Strzelca”, kiedy stało się oczywiste, że ktoś musiał przekazać Ramirom tajne informacje. Kto? Po zastanowieniu się musiałem wykluczyć wszystkich członków załogi poza mną. Konserwator jest najlepiej ekranowanym pomieszczeniem na całym statku, a zatem Oan mógł najłatwiej nawiązać kontakt z tymi, którzy często go odwiedzają... Jeszcze jeden dowód na to, że właśnie ja jestem szpiegiem Ramirów!

— To wszystko, co wiem o sobie — powiedziałem na zakończenie. — Moja wina jest bezsporna, bo powinienem przewidzieć skutki dziwnych rozmów z ciałem szpiega, którego tajemnicza natura dla nikogo nie stanowiła sekretu. Zachowywałem się nieostrożnie, a w naszej ciężkiej sytuacji jest to zbrodnią. Żądam zgładzenia mnie nie tylko jako karę za przestępstwo przeze mnie popełnione, ale przede wszystkim jako gwarancji bezpieczeństwa całej wyprawy. Ramirowie precyzyjnie namierzyli mój mózg i choćbym tego bardzo nie chciał, zawsze zdołają za moim pośrednictwem uzyskać informacje o wszystkich naszych planach. A w momencie, kiedy podejmiemy nową próbę wyrwania się z jądra, taki przeciek będzie szczególnie niebezpieczny.

Usiadłem. Milczenie sali bardzo mnie przygnębiło. Nie dlatego, abym liczył na czyjąś obronę, lecz z tego powodu, że odejść z życia z obrazem zamarłej sali po prostu nie mogłem i nie chciałem. Oleg zapytał czy są jakieś pytania, opinie, uwagi — odpowiedziała mu grobowa cisza. Romero coś szepnął Mary do ucha, a ona kiwnęła głową.

— A więc kto chce zabrać głos? — zapytał ponownie Oleg.

Nieoczekiwanie wybuchnął Osima. Zaczął wykrzykiwać, że nie można mojej spowiedzi brać poważnie, bo to wszystko są płody mojej chorej wyobraźni. Admirał trzymał się najdzielniej z nas wszystkich, mówił gorąco, ale nerwy w końcu musiały odmówić mu posłuszeństwa. Zresztą jego choroba nie wygląda zbyt groźnie... Wystarczy żeby trochę sobie poleżał pod opieką żony i niebawem powróci do normy!

I znów wstał Romero:

— Mówiłem już, że Eli cieszy się znakomitym zdrowiem, więc nie ma co wracać do tej sprawy. Admirał udzielił nam zbyt ważnych informacji, abyśmy mogli je zignorować. Dlatego też nalegam na ich przedyskutowanie.

— W takim razie proszę zapoznać nas ze swoją opinią — powiedział Oleg.

— Zgoda. Otóż w słowach admirała są rzeczy, z którymi się zgadzam, ale również są i takie, z którymi kategorycznie zgodzić się nie mogę. Podzielam jego zdanie, że Oan nie jest zwyczajnym nieboszczykiem, lecz urządzeniem łącznościowym, sprytnie zakamuflowanym przekaźnikiem Ramirów. Uważam również, iż na statku znajdują się ich informatorzy i że jednym z nich jest admirał.

— A zatem w pełni popiera pan jego samooskarżenie? — zapytał Oleg.

— Ani mi się śni!

— Skoro jednak w tylu punktach zgadza się pan z relacją kierownika naukowego wyprawy...

— Punktów, w których zupełnie się z nim nie zgadzam będzie o wiele więcej. Wymienię najważniejsze. Zwłoki Oana nie są z pewnością jedynym przekaźnikiem danych wywiadowczych. Ramirowie musieli liczyć się z ewentualnością usunięcia przez nas Oana. Mogliśmy na przykład spalić jego zwłoki, a popioły wyrzucić w Kosmos... Dlatego też Oan za życia prawdopodobnie zainstalował na statku liczne urządzenia podsłuchujące, podpatrujące i czytające myśli tak dobrze zamaskowane, że z pewnością wszystkich nie znajdziemy. Dalej. Wątpię, by admirał był jedynym źródłem informacji dla Ramirów. Z tych samych powodów: mógł umrzeć, zachorować, zwariować... Kierownik naukowy uważa, że zdublował rolę Oana. Ale kto może zagwarantować, iż którykolwiek z nas nie dubluje w tym sensie samego admirała? Nie ulega wątpliwości, że jest najcenniejszym źródłem informacji, ale z pewnością nie jedynym.

— Jest pan o wiele większym pesymistą niż kierownik naukowy — zauważył Oleg.

— Zaraz się pan przekona, że wcale tak nie jest. Twierdzę, że admirał nie jest szpiegiem już chociażby dlatego, że został nim wbrew własnej woli, zaś agent wywiadu to zawód, a nie nazwa ofiary nieszczęśliwego wypadku, jaką jest Eli. I za to mamy go karać? Jest jeszcze poza tym jeden wyjątkowo ważki powód, dla którego musimy z oburzeniem odrzucić propozycję admirała. Czy mogę przedstawić go nieco obszerniej?

— Naturalnie! — wykrzyknął skwapliwie Oleg. Sala milczała, kiedy ja mówiłem, ożywiła się, gdy Romero przytaczał swoje kontrargumenty i znów pogrążyła się w pełnym napięcia milczeniu, kiedy wspomniał o „wyjątkowo ważkim powodzie”. W tym miejscu, zamiast mojej relacji, pozwalam sobie zamieścić zapis wypowiedzi Romera. Mógłbym wprawdzie pominąć pochwały pod moim adresem, ale nie zrobiłem tego, gdyż z tego fragmentu przemowy Pawła wyniknęły ważne wnioski praktyczne. A zatem cytuję:

— Admirale, znam pana od dzieciństwa i wciąż nie przestaję pana podziwiać. Jest pan zwyczajny i niezwykły zarazem, a to dlatego, że zawsze dostosowuje się pan do okoliczności w tym sensie, że potrafi pan jak nikt inny im sprostać. W normalnych warunkach jest najprzeciętniejszym z przeciętnych, ale w trudnych okolicznościach zmienia się pan diametralnie, staje się człowiekiem wybitnym... Przypomnijcie sobie przyjaciele jak niedawno umęczeni wibracją czasu wszyscy powoli wpadaliśmy w szaleństwo, traciliśmy wolę walki. Przypomnijcie sobie, że jedynym wśród nas, który oparł się zgubnemu rakowi czasu i zwalczył w sobie słabość, był kierownik naukowy wyprawy, nasz przyjaciel admirał Eli. Jak mogłeś, przyjacielu, zażądać od nas, abyśmy własnymi rękami zgładzili swojego wybawcę, zgasili wspaniały mózg, wyzbyli się największego bogactwa i jedynej gwarancji naszego bezpiecznego powrotu do domu?!”

Romero był mówcą w starym stylu, z gatunku tych, których w starożytności nazywano demagogami, nic więc dziwnego, że bez reszty przyciągnął uwagę sali. Na mnie nikt już nie patrzył, bo wszyscy jak zaczarowani wpatrywali się w niego. Sam bym z pewnością dał się porwać jego oracji, gdyby dotyczyła kogoś innego. Ale Romero mówił o mnie, spróbowałem więc sprowadzić go na ziemię:

— Nie wiem, Pawle, czy zdaje sobie pan sprawę z tego, że rezygnując z walki z mimowolnymi agentami Ramirów, oddajemy się w ten sposób na pastwę potężnego i bezlitosnego wroga?

— Głęboko się pan myli, admirale!

— Chce pan przez to powiedzieć, że Ramirowie nie są potężni i bezlitośni?

— Że są potężni, zgoda. Nie będę przeczył oczywistym faktom. Ale nie zgadam się z tym, że są bezlitośni. Popatrzyłem ze zdumieniem na Olega, który rewelacje Romera przyjął z tak kamienną twarzą, jakby zawczasu był o nich poinformowany.

— Jak może pan mówić coś podobnego — wykrzyknąłem z oburzeniem — mimo iż wie pan, jak Ramirowie znęcali się nad Aranami? Czy już zapomniał pan, jaką grozą przejmują tych biedaków ich tak zwani Okrutni Bogowie? Czy wreszcie nasi polegli i rozgromiona eskadra nie świadczą o bezlitosności naszych wrogów?

— Nie, drogi admirale!

— Ktoś tu naprawdę zwariował! I jestem pewien, że to nie ja. Kim zatem pańskim zdaniem, jeśli nie naszymi okrutnymi wrogami, są Ramirowie?

— Ramirowie są potężni, admirale, a my jesteśmy im zupełnie obojętni.

9

Są słowa wybijające się spośród innych, słowa-klucze, słowa-olśnienia otwierające w mgnieniu oka zamczyste drzwi tajemnic. Takim kluczowym słowem stał się dla mnie wyraz „obojętni”. Jeśli chodzi o mnie, to dalsza oracja Romera była zupełnie niepotrzebna, bo uwierzyłem mu od razu i bez zastrzeżeń.

A Romero tymczasem mówił i mówił, podniecając się własnym krasomówstwem i podziwem zapatrzonych w niego bez tchu słuchaczy. Opowiedział, jak to zagłada „Strzelca” podsunęła mu myśl, że Ramirowie po śmierci Oana wciąż mają na pokładzie „Koziorożca” swojego informatora, że któryś z członków załogi jest szpiegiem wrogów. Potem jednak w to zwątpił, bo przestał być pewien, że Ramirowie istotnie są naszymi wrogami. Przypomniał sobie podania Galaktów i Niszczycieli, w których powtarzała się informacja, że potężni Ramirowie przenieśli się do centrum Galaktyki, aby przebudować jądro, to jądro, ten przeraźliwy chaos, który nas teraz otacza. Jak przebudować, jak uporządkować taką permanentną eksplozję?

— Wyobraziłem sobie — powiedział — że jesteśmy o kilka rzędów potężniejsi niż obecnie i że postanowiliśmy podjąć się usunięcia z jądra na peryferie Galaktyki wszystkiego, co zagraża mu wybuchem, że zaczęliśmy wymiatać gwiezdne śmieci w rodzaju Ginących Światów i palić kosmiczne odpadki. Taka operacja nie może przebiegać bezboleśnie, bo zawsze może się zdarzyć, że przy okazji ucierpią jakieś formy życia, ale nie czas żałować róż, gdy płoną lasy, jak powiadali starożytni. Oburza was to? Mnie również. Wyobraźcie sobie jednak taką sytuację. Groźna choroba zaatakowała niewielki obszar lasu i coraz bardziej się rozprzestrzenia. Jeśli zostawić sprawy własnemu biegowi, zagładzie ulegnie cała puszcza, trzeba więc póki czas wyciąć chore drzewa. Czy drwale zajęci ratowaniem lasu będą zważać na to, że mimo woli zadepczą trochę mrówek? Po prostu nie zwrócą na nie uwagi. Ale jeśli owady, rozwścieczone burzeniem ich domów, zaatakują nas, to je najzwyczajniej w świecie wytępimy, żeby nie przeszkadzały. Czy nie widzicie analogii z tym, co obserwowaliśmy w Ginących Światach?

— Nas również zalicza pan do galaktycznych mrówek? — zapytał spokojnie Oleg.

— W jakimś stopniu tak. Ramirowie już dawno mogli nas wytępić, podobnie zresztą jak Aranów, gdybyśmy byli ich realnymi wrogami. Ale znaczymy dla nich tyle, ile mrówka dla człowieka. A że interesują się naszymi poczynaniami, to jeszcze nic nie znaczy. My też przecież chcielibyśmy znać trasy mrówek po karczowanym lesie, już chociażby dlatego, żeby ich bez potrzeby nie niszczyć... — W tym miejscu Romero zwrócił się wprost do mnie: — Przekonałem pana, przyjacielu?

— Tyłko w trzech czwartych, Pawle. — Dlaczego nie całkowicie?

— Nie mogę się pogodzić z rolą, jaką nam pan wyznaczył.

— Kiedyś ludzie nie mogli pogodzić się z myślą, że Ziemia krąży wokół Słońca, a nie na odwrót. Czasem prawda, jaką odkrywamy w procesie poznawania świata nie jest najprzyjemniejsza, co nie zmienia faktu, że jest obiektywną prawdą, Eli!

— Dlaczego zwraca się pan tylko do mnie? Proszę mówić do całej sali!

— Dyskutujemy o roli, jaką w planach Ramirów odegrał pan, a nie wszyscy tu obecni. Ale dobrze, będę mówił do całej załogi... Przyjaciele, popełniliśmy błąd wyobrażając sobie ich jako istoty człekopodobne lub szerzej stworzeniopodobne, do czego nie mieliśmy żadnych przesłanek. Owi Okrutni Bogowie nie mają zapewne żadnego stałego kształtu i mogą przybierać dowolną postać. Oan nie był zatem Ramirem w masce Arana, nie był przebranym szpiegiem, lecz zwyczajnym Ramirem, który wybrał cielesny kształt Arana... Kiedyś również nasi potomkowie będą swobodnie zmieniać swoje ciała, jeśli to z jakichś względów okaże się korzystniejsze od przebudowy ich środowiska. Głęboko w to wierzę, przyjaciele!

— Oczyściliśmy kierownika naukowego wyprawy z niesłusznych zarzutów, które sam sobie postawił — powiedział Oleg. — Bardzo mnie to cieszy! Martwi natomiast fakt, że nadal nie wiemy w jaki sposób wyprowadzić statek z jądra. Dotychczas szukaliśmy prostych rozwiązań, rozwiązań skutecznych same przez się. To był błąd. Tutaj można zastosować jedynie taką metodę ucieczki, która nie spowoduje kontrakcji Ramirów. Dlatego mam wielką prośbę do admirała. — Dowódca uśmiechnął się do mnie z pełną smutku ironią. — Jeśli naprawdę jest pan ich łącznikiem, to proszę wytłumaczyć Ramirom jak ważna jest dla nas odpowiedź na to pytanie. Może jednak zechcą odpowiedzieć, bo ja również nie bardzo wierzę w ich obojętność...

Po zamknięciu zebrania podszedłem do Mary, która patrzyła na mnie tak, jakbym wrócił z zaświatów. Sama też wyglądała jak żywy trup.

— Już po wszystkim — powiedziałem gładząc ją po mokrej od łez twarzy. — Tej nocy będziemy spać spokojnie. Podziękuj za to Pawłowi.

Romero skłonił się i powiedział unosząc laskę do góry:

— Wszyscy jesteśmy przekonani, że pan szczerze wierzył we własną zdradę, admirale. Nie sądzę jednak, aby pańska żona była tak naiwna.

— Sama już nie wiem, co o tym myśleć — odparła Mary znużonym głosem. — Przecież po Elim naprawdę można się spodziewać wszystkiego...

Zauważyłem Olgę kierującą się ku wyjściu, przeprosiłem więc Mary i podszedłem do niej.

— Teraz już rozumiesz dlaczego nie mogłem rozmawiać z tobą przed zebraniem, prawda? — zapytałem. — Chcesz mnie o coś zapytać?

— Tylko o jedno: czy Irena zginęła. Całą resztę opowiedział mi Oleg.

— Tego nie wiem — odparłem — mam jednak nadzieję, że nie... Zarówno Mizar, jak i Ellon wrócili martwi z przeszłości, ale Irena powędrowała w odwrotnym kierunku, można więc przypuszczać, że nic jej się nie stało.

— Oleg mówił mi to samo, ale obawiam się, że chciał mnie tylko pocieszyć.

— On sam potrzebuje pociechy, bo kocha Irenę. A zresztą słowo „pociecha” jest tu zupełnie nie na miejscu. Jesteś nie tylko kapitanem galaktycznym, lecz także znakomitym uczonym, a więc to raczej my powinniśmy cię zapytać o przypuszczalne losy Ireny, a nie ty nas.

— Mam prośbę do ciebie i Olega. Po zniszczeniu „Strzelca” pozostałam właściwie bez przydziału i mogę co najwyżej dublować Osimę, ale on już ma znakomitego dublera w osobie Kamagina. Chciałabym zająć się maszynami czasu, bo uważam za swój obowiązek dokończyć prace córki. Pamiętaj, że jakakolwiek awaria stabilizatora może znów unieruchomić MUK i wpędzić nas w nowe szaleństwo.

Domyślałem się, że nie powiedziała mi wszystkiego, że pragnie zająć się maszynami czasu przede wszystkim dlatego, żeby znaleźć bezpieczną drogę w przyszłość i w ten sposób dowiedzieć się o losy córki.

— Zgoda — powiedziałem. — Sądzę, że i Oleg nie będzie przeciwny.

10

Miejsce zaginionego Głosu zajął Gracjusz, chociaż zastanawialiśmy się poważnie, czy nie należałoby powrócić do poprzedniego systemu sterowania, opartego na schemacie „analizatory-MUK dowódca statku”. Przeważyło jednak zdanie, że nie możemy ryzykować utraty kontroli nad gwiazdolotem w razie kolejnych zaburzeń czasu, na które maszyny okazały się tak bardzo nieodporne. Osima i Kamagin, którzy byli bardzo przywiązani do starego systemu, ustąpili wreszcie, gdy Oleg ich zapewnił, że Gracjusz doskonale sobie poradzi z funkcją koordynatora lotu.

— Ma identyczną strukturę mózgu jak Głos — powiedział. — Przecież i Głos był kiedyś Galaktem.

Zanim jeszcze Gracjusz zajął kabinę sterowniczą Głosu odwiedził mnie nieoczekiwanie Orlan. Demiurg nie lubił chodzić w gości i dlatego spotykaliśmy się zazwyczaj w pomieszczeniach służbowych. Jedynie w mieszkaniu Gracjusza Orlan bywał dość często, prawdopodobnie z chęci podkreślenia, że między Demiurgami a Galaktami nie ma już nienawiści tak długo dzielącej ich narody.

— Eli, czy to prawda, że pracami nad transformacją czasu kieruje obecnie kapitan Olga Trondicke? — zapytał niesłychanie oficjalnym tonem.

— Masz coś przeciwko temu, Orlanie?

— Te prace prowadzili Demiurgowie — odparł sztywno. — Ja sam chciałbym zastąpić Ellona.

Zaskoczył mnie. W różnych okresach znałem Orlana jako admirała wrogiej floty, potężnego dostojnika Imperium Niszczycieli, wreszcie jako jednego z twórców Wspólnoty Gwiezdnej i mojego przyjaciela, najbliższego chyba spośród rozumnych nieludzi, ale nigdy nie myślałem o nim jako o inżynierze. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek wykazywał pociąg do matematyki lub jej technicznych zastosowań... Powiedziałem mu to, ale Demiurg wyjaśnił, że w młodości kształcił się na organizatora przemysłu, a nawet odbył staż w zakładach budowy statków kosmicznych i nie został ministrem tego resortu jedynie dlatego, że Wielki Niszczyciel poruczył mu sprawy wielkiej polityki galaktycznej.

— To Olga Trondicke i ty, Eli sprawiliście, że za rzuciłem działalność inżynierską. Po wtargnięciu „Pożeracza przestrzeni” do Układu Perseusza Wielki Niszczyciel postanowił otoczyć się tymi, którzy mogliby stanowić nie zachwianą podporę tronu...

— A teraz chciałbyś powrócić do techniki?

— Eli, jestem w tej chwili jedynym członkiem załogi „Koziorożca”, który nie ma indywidualnego przydziału pracy. Po zajęciu przez Gracjusza stanowiska Głosu, a zwłaszcza po śmierci wielkiego Ellona jeszcze trudniej znoszę swoją bezczynność.

— Czy zgodzisz się pracować z Olgą tak samo, jak jej córka pracowała z Ellonem?

— Jeśli tylko ona się zgodzi...

— Zgodzi się na pewno, Orlanie.

Załatwianie spraw bieżących zajęło mi parę dni i w tym czasie nie chodziłem do konserwatora, potem jednak znów zapragnąłem odwiedzić nasz pokładowy cmentarz.

W konserwatorze pojawił się nowy sarkofag, grób Ellona. Pomyślałem z żalem, że nawet ten geniusz nie mógł znieść rozdarcia między przeszłością a przyszłością, gdy spod nóg usunął mu się twardy grunt teraźniejszości.

Przechodziłem wolno od sarkofagu do sarkofagu, od Ellona do Mizara, od Mizara do Truba, od Truba do Lusina. Nie spieszyłem się też do Oana, chociaż znów chciałem z nim porozmawiać.

— Oanie — powiedziałem, gdy wreszcie stanąłem przed jego siłową klatką — nie wiem teraz, kim jesteś. Nie wiem czy jesteś szpiegiem, beznamiętnym badaczem, czy też życzliwym obserwatorem, posłańcem niewyobrażalnej potęgi. A przecież zgodzisz się ze mną, że zwłaszcza teraz muszę to koniecznie wiedzieć! Jesteś wprawdzie tylko przekaźnikiem informacji, to akurat wiem na pewno, ale możesz rozwiać moje wątpliwości. Powiedziałeś nam już wiele. Zdradziłeś, że macie szpiegów wśród Aranów i że ty jesteś jednym z nich, że czas tu jest chory i dlatego niebezpieczny również dla nas; że próbujecie opanować bieg czasu i że w trakcie takiej próby zginęło pięciu twoich towarzyszy... Jesteś zatem przekaźnikiem dwukierunkowym, możesz więc dać nam przynajmniej do zrozumienia, czego wy właściwie od nas chcecie. Powiedzieć w czym wam przeszkadzamy i gdzie skręcić z naszej drogi, żeby nie plątać się wam pod nogami...

Oan wciąż milczał, a ja wpadłem w histeryczną wściekłość, podniosłem głos, wrzeszczałem:

— Milczysz? Nie chcesz odpowiadać? To przynajmniej myśl o mnie, myśl o moich pytaniach, przekazuj je swoim obojętnym współbraciom. Nie jesteśmy galaktycznymi mrówkami bez względu na to, co Romero wygaduje o waszej potędze i naszej nicości. Wyrwiemy się z tego piekła, w którym nas zamknęliście. Myślicie, że zagrodziliście nam wszystkie drogi? Nieprawda! Wyrwiemy się przez ten czas, który uważacie za chory, chociaż w istocie stanowi jedyny ratunek przed zagładą Wszechświata. Urobimy ten czas jak miękką glinę i wyrwiemy się przezeń do przodu, wstecz lub w bok!...

Zamilkłem. Oszołomił mnie własny okrzyk. Stało się! Słowo zostało wypowiedziane i niczym błyskawica rozświetliło mrok tajemnicy. Na razie było to jedynie słowo, ale słowo na wagę ratunku. Brzmiało ono — „w bok”.

Jak szalony wybiegłem z konserwatora. Musiałem natychmiast zobaczyć się z Olegiem. Już na korytarzu przypomniałem sobie, że MUK pracuje i że można posłać wezwanie myślowe. Zażądałem natychmiastowego połączenia i usłyszałem zdziwiony głos Olega:

— Chcesz się ze mną pilnie zobaczyć, Eli? U ciebie czy w laboratorium?...

— Najlepiej u ciebie — odparłem.

— Czekam — Oleg się rozłączył.

Po chwili byłem już w jego kabinie. Popatrzył na moją rozgorączkowaną twarz i zapytał z nadzieją:

— Masz jakąś dobrą wiadomość, Eli?

— Znalazłem wyjście z pułapki! — odparłem. Spróbujemy wydostać się z niej przez czas prostopadły. Widać było, że Oleg natychmiast mi uwierzył, ale uwierzył jako człowiek prywatny, bo powiedział to, co na jego miejscu powinien powiedzieć każdy odpowiedzialny dowódca eskadry:

— Tak, to byłoby rozwiązanie... Ale czy czas prostopadły w ogóle istnieje, a jeśli tak, to czy zdołamy się nim posłużyć?

— Rozważmy to — powiedziałem, po czym zacząłem referować swoją koncepcję.

Zacząłem od tego, że do tej pory znaliśmy jedynie czas jednowymiarowy i jednokierunkowy, biegnący od przeszłości przez teraźniejszość ku przyszłości, czas wektorowy. Tylko wzdłuż niego przebiegają nasze mikroskopijne w skali kosmicznej procesy, procesy naszego małego światka. Patrząc na nie uwierzyliśmy, że inaczej w ogóle być nie może i kiedy w jądrze zetknęliśmy się z czasem giętkim i nieliniowym, nie zrozumieliśmy jego istoty i uznaliśmy za nietrwały, zrakowaciały i poszarpany.

— Innymi słowy twierdzisz, że wyrwy czasowe nie istnieją?

— Właśnie. Luka czasowa to jedynie nasze prymitywne wyobrażenie o niepomiernie bardziej złożonym procesie jego ugięcia... Czas realny jest dwuwymiarowy, a zatem można go przedstawić w postaci wektorów na płaszczyźnie, my natomiast badamy jedynie jego pokrywające się rzuty na osi. Na domiar złego jesteśmy przekonani, że nic poza tymi rzutami nie istnieje. I jeśli czas odszedł prostopadle w bok, na osi pojawi się przerwa, nieciągłość, którą uznajemy za przerażającą lukę czasową, której w istocie nie ma. Przypomnij sobie, dodałem sam niezmiernie zaskoczony tym wspomnieniem, że Oan też wspominał o ugięciach czy zawirowaniach czasu i że wówczas zlekceważyliśmy jego słowa.

— Pewnie dlatego, że trudno sobie było wyobrazić ugięcie czasu — zauważył Oleg.

— A łatwiej jest wyobrazić sobie zakrzywienie pustej przestrzeni? Zaręczam ci, że we Wszechświecie czas jednowymiarowy nie istnieje, że jest czystą abstrakcją. Taką samą abstrakcją jak bryła geometryczna pozbawiona właściwości fizycznych!

— Prawie mnie przekonałeś, Eli — przerwał mi Oleg — ale chciałbym wiedzieć, jak wyobrażasz sobie praktyczną realizację twojej koncepcji ucieczki przez czas prostopadły. Muszę przecież ustalić plan działania.

— Realizacja techniczna nie należy do mnie, bo się na tym nie znam — odpowiedziałem. — Mogę jedynie teoretycznie rozwinąć mój pomysł. Skoro ucieczka przez przyszłość lub przeszłość nie udała się, gdyż przekroczenie zera temporalnego jest zabójcze dla organizmów żywych, to należy przedostać się do czasu dwuwymiarowego, do pozaczasu, jeśli się tak można wyrazić. Można to zrobić odchylając czas własny, zakrzywiając go w ten sposób, aby poruszać się w nim w bok i do przodu, w stronę przyszłości. Utrzymując stały kąt odchylenia w jakimś punkcie rozstaniemy się ze swą przeszłością i nie przekraczając zera temporalnego zaczniemy zbliżać się do przeszłości, która w tej chwili jest właśnie naszą przyszłością.

— Opisujesz mi ruch po okręgu koła, Eli.

— Masz zupełną rację. Mój pomysł polega właśnie na tym, aby wyrwać się z czasu jednowymiarowego, prostoliniowego i znaleźć się w czasie dwuwymiarowym, zapętlonym.

— Pętla wstecznego czasu... — powiedział Oleg w zadumie. — Brzmi to nieźle. Zaraz porozumiem się z Olgą i Orlanem i zapowiem swoje przyjście do laboratorium. Naszkicujemy razem plan operacji powrotu do domu. Plan „Pętla wstecznego czasu”...

Podczas całej naszej rozmowy Oleg nie spuszczał wzroku ze stojącego na biurku rejsografu, miniaturowego urządzenia rejestrującego w krysztale nieptunianu cały przebieg podróży. Teraz wziął go, żeby odstawić do szafy pancernej.

— Czemu akurat teraz zainteresowała cię przebyta przez nas droga? — zapytałem.

Oleg w milczeniu postawił rejsograf na biurku i nacisnął klawisz. Na ekranie aparatu zapłonął wielokrotnie widziany obraz dzikiego gwiezdnego chaosu, nieruchomy obraz jednego z momentów naszego długiego lotu. Popatrzyłem na Olega ze zdziwieniem.

— Nie poznajesz tego miejsca, Eli? — Oczywiście, że nie.

— Tutaj właśnie odeszła od nas Irena.

— Rozumiem. Ale czy bolesne wspomnienia...

— Nie, Eli — przerwał mi. — Nie tylko wspomnienia... Powiedz mi, Eli, czy po szczęśliwym powrocie na Ziemię zdecydujesz się jeszcze na udział w jakiejś wyprawie galaktycznej?

— Wątpię. Będę na to za stary. Już jestem!

— A ja polecę. Jestem od ciebie znacznie młodszy i penetrowanie Kosmosu jest jedyną treścią mojego życia. — Wrócisz do jądra?

— Dotarliśmy tu po raz pierwszy, ale czyż można na tym poprzestać? Nowa wyprawa będzie z pewnością lepiej przygotowana, to pewne. I jeśli wezmę w niej udział, to zapis rejsografu bardzo mi się przyda.

— Chcesz odnaleźć Irenę? — zapytałem wprost. Ostrożnie wsunął rejsograf do gniazda w kasie pancernej, starannie sprawdził połączenia aparatu z mózgiem pokładowym i dopiero wtedy odparł z udawanym spokojem.

— W każdym razie pragnąłbym się dowiedzieć, co się z nią dzieje.

11

Dopiero teraz mogliśmy w pełni docenić geniusz inżynieryjny Ellona. Kolapsan pozwalał nie tylko zagęścić lub rozrzedzić czas, zmienić jego znak, ale również dowolnie zakrzywiać, odchylać pod żądanym kątem od pierwotnej osi. Olga nazwała to odchylenie „fazowym kątem ucieczki w pozaczas” i określiła jego pożądaną wielkość za pomocą skomplikowanych wzorów własnego pomysłu. Dla mnie była to kompletna czarna magia, ale Orlan rozumiał Olgę w pół słowa, a niektóre z wielopiętrowych wzorów były wręcz jego autorstwa. Wcale się temu nie dziwiłem, bo Demiurgowie mają wrodzone zdolności do mechaniki niebieskiej.

Próby modelowania przesunięcia fazowego czasu na procesach atomowych przebiegały na tyle sprawnie, że już niebawem Olga powiedziała do mnie przy śniadaniu:

— Być może jutro, Eli.

Znaczyło to, że już jutro inżynierowie wypróbują generatory odchylające makroczas całego statku.

— Prawdopodobnie jutro — rzucił Orlan podczas obiadu.

— A więc jutro, przyjaciele! — oświadczył Oleg w czasie kolacji.

Z samego rana pospieszyłem na stanowisko dowodzenia, gdzie zastałem już wszystkich kapitanów i Orlana. Sterowanie generatorami czasu fazowego przejął Gracjusz, bo dla nieśmiertelnego Galakta przerzut do innego czasu nie był takim wstrząsem, jak dla któregokolwiek z nas. Fotel pierwszego pilota statku zajął Kamagin, również obeznany już z podróżami w czasie. A całej reszcie przypadła rola biernych widzów. Czekałem niecierpliwie na wspaniałe widoki, których spodziewałem się przy przejściu do obcego czasu, choć bardzo się lękałem reakcji Ramirów. Po Okrutnych Bogach wszystkiego można się było spodziewać!...

— Trzy, dwa, jeden, zero! — wykrzyknął Kamagin i czas nieco się odchylił.

Powinien się odchylić, a tymczasem nic o tym nie świadczyło. Na ekranach trwał ten sam co przed chwilą niewyobrażalny gwiezdny chaos, nadal wszystko kotłowało się w tytanicznym wybuchu.

— Czy generatory aby na pewno pracują? — mruknął zaniepokojony Osima.

— Ramirowie nie dają o sobie znać — zauważył Kamagin. — Przegapili nasz manewr czy co?

— I tak byśmy nie zauważyli ich reakcji — powiedział poważnie Orlan. — Ich promień spopieli nas wcześniej niż cokolwiek zdążymy pojąć.

Po pewnym czasie MUK zakomunikował, że obraz chaosu gwiezdnego powoli się zmienia, a Gracjusz potwierdził tę informację. My jednak niczego nie dostrzegliśmy.

— Gwarantuję, że jesteśmy w pozaczasie — powiedziała Olga. — Kąt fazowy jest jednak tak niewielki, że musi upłynąć parę godzin zanim zmiany na niebie staną się wyraźnie widoczne.

Mary zaproponowała, żebyśmy poszli do nas i trochę odpoczęli. W kabinie wygasiła ekran i usiadła w fotelu, ja zaś postanowiłem nieco się zdrzemnąć. Żona obudziła mnie po dwóch godzinach.

— Popatrz na ekran! — wykrzyknęła z podnieceniem.

Na ekranie był zupełnie inny świat. Nie, świat był nadal ten sam. Ten sam świat rozszalałego jądra Galaktyki, tyle że teraz przybrał on nieuchwytnie inny kształt. Tak, to było jądro, lecz jądro w innym czasie, nie w przeszłym, nie w przyszłym, ale w innym...

— Mary, Ramirowie nas wypuścili! — zawołałem radośnie. — Już nas nie zaatakują!

Od tego dnia upłynęło wiele czasu. Może godzin, może wieków, a może nawet milionoleci. Nie potrafię określić jednostki, bo cżas, w którym się poruszamy jest nam obcy. Przyrządy go mierzą, MUK zapamiętuje, rejsograf rejestruje, a ja go nie rozumiem, bo to nie mój czas.

Pozwoliłem sobie na tę dygresję, siedząc w konserwatorze i dyktując historię naszej ucieczki z jądra Galaktyki, pozwoliłem sobie na nią po to tylko, aby oddać niecierpliwość z jaką oczekujemy powrotu do naszego normalnego czasu. Przebyliśmy już trzy czwarte okręgu pętli czasu wstecznego i niebawem zaczniemy doganiać naszą przeszłość, która po zatoczeniu niemal pełnego koła znalazła się przed nami, stała się naszą przyszłością.

Czekam na powrót do naszego czasu, ale myślę o czymś innym. Ramirowie nas wypuścili, to oczywiste, a zarazem bardzo dziwne. Chcę dociec, dlaczego tym razem pozwolili nam odejść. Muszę to zrozumieć, bo przecież ludzie jeszcze kiedyś spotkają się z tą nieuchwytną cywilizacją. Nie uwierzę w obojętność Ramirów... Wczoraj zaprosiłem do siebie Romera.

— Pawle — powiedziałem. — Nie podoba mi się pańska przypowieść o drwalach i mrówkach.

— Mogę ją więc zmodyfikować. Co by pan powiedział o ćmach lecących do ogniska drwali?

— Rola ćmy też mnie w pełni nie urządza — odparłem.

— Kim zatem wedle pana jesteśmy?

— Jesteśmy królikami, Pawle.

— Królikami? Nie przesłyszałem się?

— Tak, królikami. Królikami doświadczalnymi, jak to się kiedyś nazywało. Biednymi zwierzakami, na których nasi przodkowie dokonywali eksperymentów medycznych.

— Uważa pan, że jesteśmy obiektem doświadczalnym, że Ramirowie dokonują na nas eksperymentów?

— W każdym razie usiłują nas do tego celu użyć.

— W tym coś jest — powiedział z zastanowieniem Paweł. — A czy ma pan jakieś dowody?

— Raczej poszlaki, Pawle. Proszę posłuchać. Zacząłem od tego, że Ramirowie natychmiast zniszczyli pierwszą eskadrę wysłaną do jądra, a właściwie zabili załogi, pozostawiając w spokoju gwiazdoloty. Nędzne mróweczki zostały wytrute środkiem owadobójczym na wszelki wypadek, żeby czasem nie pogryzły zajętych ważną pracą drwali. Jednak w stosunku do drugiej wyprawy zachowali się już inaczej. Wprawdzie nie patyczkowali się również i z nami, kiedy „Strzelec” zakłócił tworzoną przez nich strukturę gromady Ginących Światów, ale oszczędzili „Koziorożca” i „Węża”. Dlaczego? Bo się nami zainteresowali i zaczęli badać. Nasłali na nas Oana, żeby mieć ścisłe informacje. Obudziliśmy ich ciekawość prawdopodobnie tym, że udało się nam uratować fałszywego Arana i że następnie zajęliśmy się problernem transformacji czasu. To w ich oczach podniosło naszą rangę.

— Z mrówek na króliki, to ma pan na myśli?

— Pawle, mówiłem panu kiedyś, że staram się przebudować swój system myślenia, upodobnić go do systemu myślenia Ramirów... Proszę sobie na moment wyobrazić, że ludzkość jest starsza o milion lat i że przez całe te tysiąclecia nieustannie się doskonaliła.

— To oznaczałoby niewiarygodną wprost potęgę!

— Tak, Pawle. Już teraz potrafimy tworzyć, przebudowywać i niszczyć planety, czy więc za milion lat nie zapragniemy uporządkować nie tylko pojedyncze układy planetarne lub gromady gwiezdne, lecz całą Galaktykę? Galaktyka jest chora, jej jądro grozi wybuchem, więc przy tej całej naszej przyszłej potędze z pewnością nie pogodzilibyśmy się z nieustannym balansowaniem na krawędzi zagłady i postarali raz na zawsze zapobiec niebezpieczeństwu. Proszę sobie teraz wyobrazić, że owa potężna ludzkość ustaliła, iż jedyną gwarancją zapewnienia stabilności gwiazd w jądrze jest dowolne kształtowanie czasu, a tego akurat przy całej swojej pozornej wszechmocy ludzkość robić nie potrafi... I oto zjawiają się jacyś żałośni przybysze, jakieś mrówki, które bezczelnie plączą się pod nogami i przeszkadzają w robocie. Jaka byłaby pana pierwsza reakcja? Naturalnie wytępić złośliwe owady!

— Ośmielę się zauważyć, admirale, że na razie nic nowego mi pan nie powiedział...

— Chwileczkę, Pawle! Wkrótce jednak okazuje się, że mrówki mają dziwną maszynową cywilizację i że potrafią dzięki tym swoim mechanizmom zagęszczać i rozrzedzać czas, a nawet zmieniać jego kierunek. Wprawdzie zaledwie na poziomie atomowym, ale... Tutaj z pewnością by się pan tymi mrówkami poważnie zainteresował, przyjrzał im się uważnie, zmusił do eksperymentowania w najtrudniejszych warunkach. Nie uda się im wyrwać z pułapki — mała strata, ale za to jeśli im się powiedzie, jeśli mrówki potrafią coś wymyśleć — czysta korzyść dla pana, bo można będzie skorzystać z gotowych rezultatów. Tak właśnie wyobrażam sobie nasze wzajemne stosunki z Ramirami, Pawle.

— Jeśli to prawda, to jesteśmy uratowani. Mnie taka sytuacja w pełni satysfakcjonuje.

— A mnie nie! — wykrzyknąłem zrywając się z miejsca. — Mnie taka sytuacja wręcz oburza! Nigdy nie pogodzę się z tym, żeby ktoś traktował nas jak dokuczliwe mrówki lub w najlepszym razie jak bezrozumne, ale pożyteczne króliki doświadczalne!...

— Czegóż więc pan chce, admirale?

— Równouprawnienia!

— Obawiam się — powiedział Romero kręcąc z powątpiewaniem głową — że nikt naszych pragnień nie będzie brał pod uwagę. A poza tym jak zamierza zakomunikować pan swoje żądanie Ramirom?

— Spróbuję znaleźć jakiś sposób... Popatrzył na mnie z uśmiechem i powiedział:

— Każdy z nas ma swoje powody do zdenerwowania, Eli. Pan podnieca się problemami globalnymi, mnie natomiast doskwierają rzeczy znacznie mniejszej wagi. Wie pan jakie?

— Nie sądzę, żeby to był jakiś zupełny drobiazg. — A jednak... Zbliżamy się do naszej przeszłości. MUK sporządza właśnie odpowiednią prognozę. Prognozę przeszłości, to przecież potworne!

— Nie rozumiem czemu.

— To jasne, Eli. Przeszłość należy opisywać, a nie przepowiadać... Przy czym wcale nie jestem pewien czy tę naszą przeszłość uda się nam naprawdę trafnie przepowiedzieć!

W żaden sposób nie mogłem pojąć, dlaczego Romera tak bardzo niepokoi sprawa przepowiedzenia przeszłości. Zadanie było proste, a w każdym razie nie przekraczające możliwości mózgu pokładowego i nadzorującego jego pracę Gracjusza.

12

Jesteśmy już poza granicami jądra. Nareszcie wyrwaliśmy się z promiennego piekła!

Dokoła rozpościera się normalny Kosmos, w którym gwiazdy dzielą od siebie dziesiątki lat świetlnych, a fundamentalne prawo Wszechświata, powszechne ciążenie, gwarantuje porządek niezakłócony szaleństwami czasu. Wspaniały świat!

Ale to jeszcze nie jest nasz własny świat, bo na razie znajdujemy się jeszcze w pozaczasie. Przeszłość jest jeszcze przed nami.

Odwiedziłem Olega.

Dowódca eskadry siedział przed rejsografem i porównywał otaczający nas pejzaż gwiezdny ze zdjęciami okolic jądra wykonanymi podczas zbliżania się do niego. Pełnej tożsamości na razie nie było, ale różnice zmniejszały się z każdym dniem. Gracjusz obwieścił niedawno, że kąt fazowy dzielący nas od swego czasu spadł poniżej dziesięciu stopni, podczas gdy jego maksymalna wartość wynosiła sto osiemdziesiąt stopni!

— Kręcimy się jak pies wokół własnego ogona powiedziałem.

— Ja wyraziłbym się mniej dosadnie — odparł Oleg z uśmiechem. — Powiedziałbym, że gonimy własny cień. Zbliża się południe, cień jest coraz krótszy... Orlan i Olga zmniejszają natężenie grawitacji w kolapsanie i niebawem wpłyniemy łagodnie do własnego czasu. Oby jak najprędzej!...

— W jakim punkcie przestrzeni?

— Romerowi z jakiegoś względu bardzo zależy na ścisłej prognozie...

— Z obliczeń Olgi wynika, że stanie się to w okolicach Ginących Światów.

— Doskonałe miejsce! Byle tylko znowu nie wpaść do jądra!

Porozmawiałem jeszcze chwilę i wyszedłem. Nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Mary każdego ranka szła do swego laboratorium astrobotanicznego, w którym hodowała nowe rośliny dla martwych planet, Romero pisał kronikę wyprawy, a ja włóczyłem się po statku, trwoniąc bezużytecznie pozaczas.

Wreszcie postanowiłem pójść do konserwatora. Fotel nadal stał przed sarkofagiem Oana. Usiadłem w nim i powiedziałem:

— Wiesz, Oanie, wciąż zastanawiam się, kim wy naprawdę jesteście i jaka jest wasza natura... Wiem tylko, że z pewnością nie jesteście istotokształtni, ale nic poza tym. Podejrzewam jedynie, że to, co nazywamy Ramirami, jest wysokozorganizowaną martwą materią, która osiągnęła poziom samoświadomości bez udziału struktur białkowych. Czymś w rodzaju naszych sztucznych mózgów rozbudowanych do skali kosmicznej. Wcale was tym porównaniem nie chcę obrazić! Wiem zresztą, że tego rodzaju reakcje są właściwe jedynie organizmom żywym... Kim więc jesteście? Myślącą planetą, myślącym układem planetarnym, a może nawet mózgiem, który przybrał kształt gwiazdy? Wszystko jest możliwe! Wiem przecież, że myślenie nie jest monopolem żywego mózgu i dopuszczam nawet, iż myślenie całą planetą może być łatwiejsze i skuteczniejsze. Tym bardziej, że taki planetarny mózg może tworzyć z własnego materiału dowolne żywe przedmioty tak samo, jak my lepimy rzeźby z gliny. Tworzyć i zachowując z nimi łączność myśleć w nich i za ich pośrednictwem. Wszyscy Ramirowie czy też cały Ramir myśli w tobie, Oanie!... Jesteście zatem zorganizowaną martwą materią, zagrożoną w swym bycie przez niestabilność jądra Galaktyki. Myślicie kategoriami martwego Kosmosu i zdaniem mojego przyjaciela jesteście obojętni na czyjekolwiek losy. Mój przyjaciel myli się: obchodzą was bardzo losy świata i jesteście obojętni tylko wobec materii żywej, wobec żywego rozumu. Popełniacie wielki błąd, potężni! Zaraz postaram się wam to udowodnić.

Zamilkłem, żeby opanować podniecenie, odetchnąć i uporządkować myśli. Nie chciałem, żeby mój głos drżał.

— Tak — ciągnąłem po chwili. — Jestem w porównaniu z wami drobinką, miniaturowym pyłkiem żywej materii, o wiele mniejszym niż mrówka wśród słoni, ale we mnie zawiera się cały Wszechświat. Tego właśnie nie potraficie zrozumieć. Nie potraficie zrozumieć tego, że mój mikroskopijny mózg potrafi wytworzyć 1060 połączeń, a więc więcej niż jest atomów w całym Kosmosie. A każde połączenie to obraz zjawiska, wydarzenia, cząstki, fali, sygnału, wizerunku tegoż Kosmosu. Mówię „ja”, ale myślę „my” i ostrzegam: my, życie rozumne, jesteśmy na razie siłą niemal niezauważalną w martwym Kosmosie, który wy staracie się utrzymać w stanie równowagi. Powstaliśmy na peryferiach Galaktyki i posuwamy się ku jej środkowi. Wszechświat dzięki nam się zmienia, życie nieuchronnie podporządkowuje sobie nowe obszary. Musicie się z tym liczyć, bo to my właśnie jesteśmy przyszłością tego świata. Jeśli nawet zginiemy, życie przez to nie wygaśnie, nie zaprzestanie swego marszu naprzód, bo po nas przyjdą tu nasi potomkowie, więcej wiedzący i lepiej uzbrojeni. To nie jest groźba, bo nie chcemy nikomu grozić. My chcemy jedynie poznawać świat na swój własny, niedoskonały jeszcze sposób, nawiązywać przyjaźń ze wszystkim, co rozumne, okazywać dobroć i doznawać dobroci, zatem i wy, potężni Ramirowie, dajcie nam dowody przyjaźni!

Podszedłem do Oana i długo wpatrywałem się w jego półprzezroczyste ciało.

— A teraz zniknij — powiedziałem. — Twoja misja dobiegła końca. Pamiętaj, że jestem człowiekiem, istotą potężną, ale jeszcze niedoskonałą. Nie nauczyłem się jeszcze rozumieć wszystkiego od razu, jeszcze do pełnego zrozumienia muszę mieć wyraźne znaki i sygnały... Jeśli znikniesz, będzie to dla mnie znakiem, że zostałem zrozumiany.

Już od dłuższej chwili w konserwatorze rozlegało się wezwanie:

— Admirał Eli proszony na stanowisko dowodzenia! Admirał Eli proszony na stanowisko dowodzenia!... Wyszedłem z konserwatora.

13

Na stanowisku dowodzenia zebrali się wszyscy moi przyjaciele: Oleg, Osima, Kamagin, Olga, Orlan. Oleg zapytał, wskazując gwiezdne ekrany:

— Eli, wiesz gdzie jesteśmy?

Obraz był tak znajomy, że bez wahania wykrzyknąłem:

— Jesteśmy w Ginących Światach!

— Dokładniej na skraju gromady gwiezdnej sprecyzował Oleg. — Na granicy otwartego Kosmosu. Stare i nowe kadry w rejsografie pokryły się ze stuprocentową dokładnością. Wróciliśmy w to samo miejsce, które kiedyś opuściliśmy.

— To znaczy kiedy? — popatrzyłem pytająco na Olgę.

— Byliśmy tu dokładnie jeden ziemski rok temu. Nasze wędrówki po jądrze i ucieczka z niego wzdłuż pętli czasu wstecznego trwały zaledwie rok według czasu pokładowego.

Naszą rozmowę przerwał głos Gracjusza. Galakt informował, że analizatory wykryły pozostawione przez nas dwa statki transportowe. Są jeszcze wprawdzie daleko, ale nie ulega wątpliwości, że transportowce są absolutnie sprawne i nadal oczyszczają przestrzeń.

— Postarzeliśmy się o rok, a Ginące Światy odmłodniały o stulecie — powiedział Oleg. — Do Układu Trzech Mglistych Słońc powracają barwy czystego nieba.

Do sterówki wbiegł podniecony Romero. Był tak blady i zadyszany, że spodziewaliśmy się najgorszego.

— Eli! Olegu! — wykrztusił z trudem Paweł. — Zajrzałem do konserwatora, żeby sprawdzić jak nasi nieboszczycy znieśli podróż przez wsteczny czas i zobaczyłem... To nieprawdopodobne, to zakrawa na cud, przyjaciele!...

— Nie ma w tym żadnego cudu! — przerwałem mu. — Chce pan powiedzieć, że Oan zniknął?

— Tak, z tym tu przybiegłem... Sarkofag jest nienaruszony, pola blokujące na miejscu, ale Oan zniknął bez śladu! Jeśli to nie jest cud, Eli...

Wziąłem go pod rękę i posadziłem na wolnym fotelu. — Uspokój się, Pawle. Żadne z praw natury nie zostało pogwałcone. Po prostu otrzymaliśmy znak, że zamknęliśmy jeszcze jedną pętlę, że przebyliśmy drogę od znajomości przez niechęć, walkę, wzajemne zainteresowanie do przyjaźni!